

Dodatek DVD z filmem *Ostatni korespondent. Obłężenie Warszawy 1939*

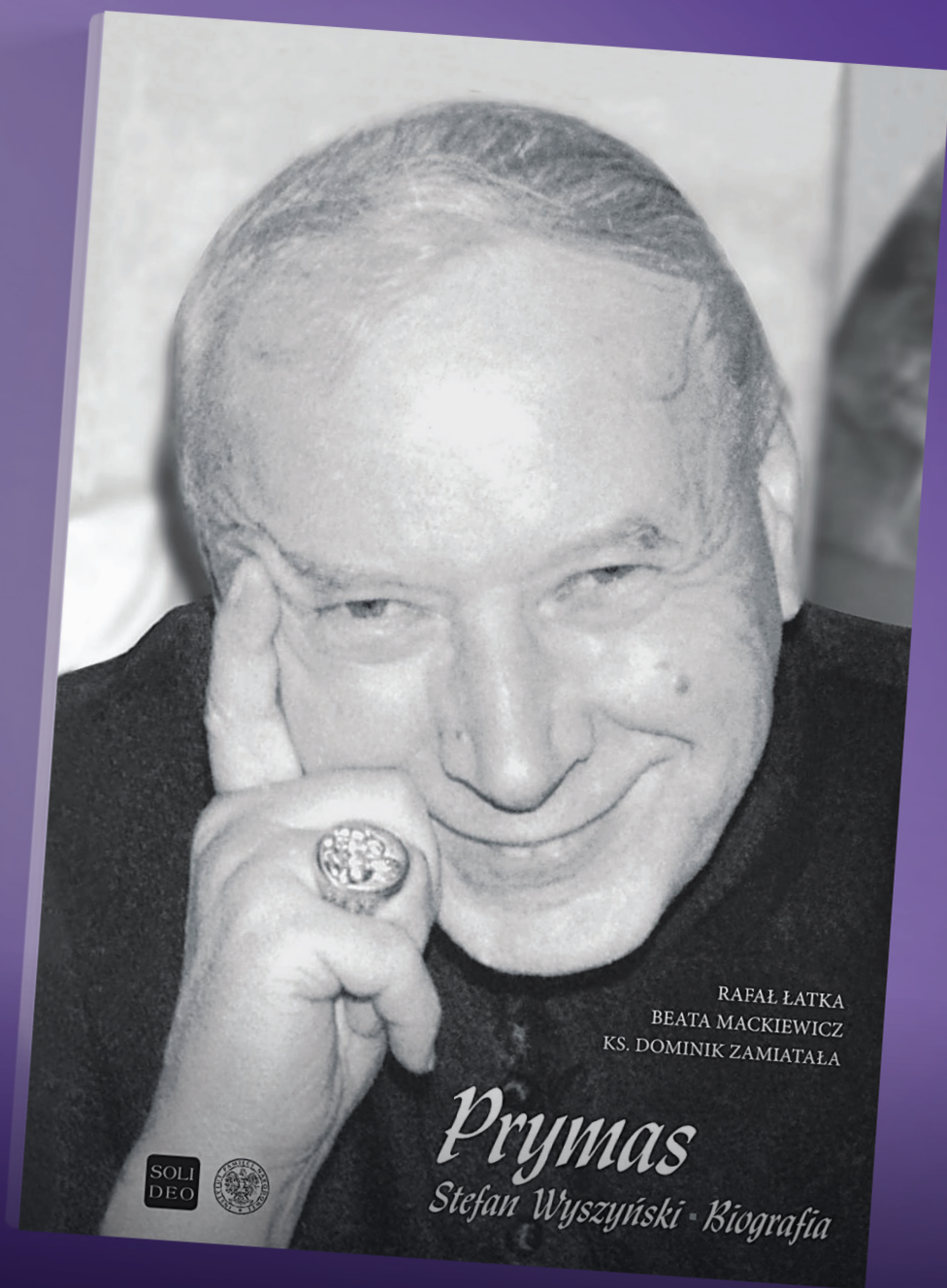
cena 8 zł (w tym 8% VAT) NR 5 (174) - maj 2020

BIULETYN IPN

PISMO O NAJNOWSZEJ HISTORII POLSKI



**NIESPRAWIEDLIWY
KONIEC WOJNY**



RAFAŁ ŁATKA
BEATA MACKIEWICZ
KS. DOMINIK ZAMIATAŁA

Prymas
Stefan Wyszyński - Biografia

SOLI
DEO



Nowości IPN

SPIS TREŚCI



Niesprawiedliwy koniec wojny

- Włodzimierz Suleja – Niezakończone rozrachunki 3
Straty demograficzne i materialne poniesione przez Polskę w czasie II wojny światowej – w przeliczeniu na jednego mieszkańca – są największe na tle wszystkich państw biorących w niej udział. Obciążają one przede wszystkim Niemcy, niemniej jednak za znaczną ich część odpowiadają również Sowieci. Do dziś nie został sporządzony ich pełny, wiarygodny bilans, choć specjalny zespół parlamentarny finalizuje takie prace w stosunku do Niemiec. Podobnych działań nie podjęto jeszcze w odniesieniu do ZSRS.
- Agnieszka Łuczak – Portret niemieckich grabieżców 12
- Andrzej Chmielarz – Polska podziemna przed sowieckim trybunałem 26
W czerwcu 1945 r. przed sądem w Moskwie zostali postawieni organizatorzy polskiego podziemia niepodległościowego. Choć na ich skazanie nie było przyzwolenia aliantów, nikt nie powstrzymał Stalina i sowiecki plan został wykonany.
- Paweł Naleźniak – Czy był koniec wojny dla Lwowa? 40
- Krzysztof Sychowicz – Obława Lipcowa 53
- Joanna Hytrek-Hryciuk – „Rezultatem tej historii jest nienawiść”. Niemcy, Polacy i Rosjanie na Dolnym Śląsku po wojnie 61
- Dariusz Węgrzyn – Deportacje z Górnego Śląska do ZSRS w 1945 roku 72
- Tomasz Łabuszewski – Warszawa w objęciach Wielkiego Brata 80
Warszawa była dla Stalina i polskich komunistów miejscem wyjątkowym przede wszystkim z tego powodu, że tu znajdowały się wszystkie centralne aktywa Polskiego Państwa Podziemnego – Komenda Główna Armii Krajowej, Delegatura Rządu i Rada Jedności Narodowej – ale także jeden z najsilniejszych miejskich garnizonów armii polskiej w kraju. Dopiero ich złamanie i likwidacja dawały realną szansę na uchwycenie i utrzymanie władzy w Polsce przez Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego.



Sylwetki

- Kajetan Rajski – O lepszą i sprawiedliwszą Polskę.
Piłk Aleksander Dellman „Urban”, „Dziadek”
(1894-1969) 94
- Wioletta Lipińska – Żołnierz „Zapory”.
- Lucjan Ronduda „Lutek” (1927-2003) 102



Rocznice

Marek Gałęzowski – „Umarł »Dziadek«
siwy a żelazny...” 115

„Piłsudski miał fanatycznych wielbicieli, którzy go kochali więcej niż własnych rodziców, niż własne dzieci, ale było wielu ludzi, którzy go nienawidzili [...]. I oto nie znać było tego w dniu pogrzebu” – pisał Stanisław Cat-Mackiewicz.

Dariusz Zalewski – Ruch Wolność
i Pokój a „desakralizacja” Ludowego
Wojska Polskiego 126

Trzydziesta piąta rocznica powstania Ruchu Wolność i Pokój stanowi dobrą okazję do przypomnienia roli, jaką ten ruch odegrał w procesie demistyfikacji komunistycznej armii. Skłania też do zastanowienia się nad przyczynami dość pozytywnego stosunku do wojska w okresie PRL, mimo zaangażowania LWP w utrwalanie systemu komunistycznego.

Książki

Marek Klecel – Ambasadorzy o Polsce
zdradzonej 135

Recenzja

Michał Chlipała – Naród morderców,
czyli niektóre ofiary nie zasługują
na pamięć 147

W czasie pandemii sprawy publikacji historycznych odchodzą na daleki plan życia społecznego. Dlatego też niemal bez echa przeszła premiera książki Jana Grabowskiego *Na posterunku. Udział polskiej policji granatowej i kryminalnej w zagładzie Żydów*.

Kolegium:

dr hab. Adam Dziuba, dr Wojciech Frazik,
Adam Hlebowicz, dr Kazimierz Krajewski,
dr hab. Mariusz Krzysztofiński,
dr hab. Sebastian Ligarski, dr Agnieszka Łuczak,
dr Marcin Majewski, dr hab. Filip Musiał,
dr Wojciech Muszyński, Jan M. Ruman,
dr hab. Krzysztof Sychowicz

Redaguje zespół:

Wojciech Butkiewicz – sekretarz redakcji
(tel. 22 5818813,
wojciech.butkiewicz@ipn.gov.pl),
dr Filip Gańczak (filip.ganczak@ipn.gov.pl),
Jakub Gołębiewski
(jakub.golebiewski@ipn.gov.pl),
Romuald Niedzielko –
zastępca redaktora naczelnego
(romuald.niedzielko@ipn.gov.pl),
Jan M. Ruman – redaktor naczelny
(jan.ruman@ipn.gov.pl),
Andrzej Sujka (andrzej.sujka@ipn.gov.pl),
Ewa Tylus (ewa.tylus@ipn.gov.pl),
Anna Zechenter (anna.zechenter@ipn.gov.pl),
Piotr Życieński – fotoreporter
Sekretariat: Maria Wiśniewska
(tel. 22 5818819, maria.wisniewska@ipn.gov.pl)


Projekt graficzny: Sylwia Szafrąnska
Projekt okładki i tamanie:
Katarzyna Dziedzic-Boboli

Korekta: Beata Stadrzyńiak-Saracyn

Adres do korespondencji:
ul. Wołoska 7, 02-675 Warszawa

Druk:
LEGRA Sp. z o.o. ul. Albatrosów 10c,
30-716 Kraków

Na okładce:
Winston Churchill, Franklin D. Roosevelt i Józef Stalin
w czasie konferencji w Jałcie, która podporządkowała
Europę Środkowo-Wschodnią imperium sowieckiemu,
1945 r. Fot. domena publiczna.



Warszawskie Stare Miasto w 1945 r.
Fot. Wikimedia Commons

Włodzimierz Suleja

Niezakończone rozrachunki

Straty demograficzne i materialne poniesione przez Polskę w czasie II wojny światowej – w przeliczeniu na jednego mieszkańca – są największe na tle wszystkich państw biorących w niej udział. Obciążają one przede wszystkim Niemcy, niemniej jednak za znaczną ich część odpowiadają również Sowieci. Do dziś nie został sporządzony ich pełny, wiarygodny bilans, choć specjalny zespół parlamentarny finalizuje takie prace w stosunku do Niemiec. Podobnych działań nie podjęto jeszcze w odniesieniu do ZSRS.

Polacy na wielu frontach II wojny światowej

Od 1 września 1939 r. do 8 maja 1945 r. Polska była czynnym uczestnikiem II wojny światowej. We wrześniu walczyła w osamotnieniu, najpierw z Niemcami, a od 17 września również z Sowiecami. Nigdy nie skapitulowała – polski żołnierz bił się w Norwegii i Francji, bronił brytyjskiego nieba, przemierzał atlantyckie szlaki, był pod Tobrukiem, Monte Cassino, Falaise, Arnhem i Wilhelmshaven. Ci zaś, którzy na „nie ludzkiej ziemi” nie zdążyli dotrzeć do szeregów armii pod dowództwem gen. Władysława Andersa, zmierzali wraz z czerwonarmistami

na Berlin, krwawiąc pod Warszawą, Kołobrzegiem i Budziszynem.

Przywołanie pól bitewnych nie daje wszakże wyobrażenia o skali czysto ludzkiego wysiłku. Przed wrześniem 1939 r. mobilizacja objęła niemal milion żołnierzy. W kampanii norweskiej, a potem w walkach we Francji wzięło udział ok. 50 tys. Polaków, z czego na Wyspy Brytyjskie zdołała się przedostać połowa. W Armii Polskiej sformowanej w ZSRS znalazło się blisko 100 tys. żołnierzy. Samodzielna Brygada Strzelców Karpackich liczyła ich niemal 4 tys. Dopowiedzmy, że w 2. Korpusie Polskim znalazło się ponad 50 tys. żołnierzy, w 1. Dywizji Pancernej prawie 16 tys., wreszcie 1. Samodzielna Brygada Spadochronowa liczyła ich blisko 2 tys., a przecież w tym zestawieniu należy uwzględnić również lotników i marynarzy. W ten sposób w momencie zakończenia wojny w Polskich Siłach Zbrojnych na Zachodzie znajdowało się ok. 200 tys. żołnierzy. W tym samym czasie w Ludowym Wojsku Polskim służyło ich ok. 370 tys. żołnierzy. A zatem ta najbardziej czytelna, ludzka miara, to blisko 600 tys. żołnierzy walczących z Niemcami. Realny bilans, po uwzględnieniu niemal 400 tys. zaprzysiężonych członków Armii Krajowej, kolejny raz, podobnie jak latem 1939 r., przekłada się na milion walczących. Do rangi symbolu urasta to, że zachodni alianci nie uznali za stosowne, by ich polscy sojusznicy uczestniczyli w londyńskiej paradzie zwycięstwa w czerwcu 1946 r. Rok wcześniej, 24 czerwca 1945 r., jak na urągowisko, na czele polskiej kolumny na placu Czerwonym kroczył sowiecki gen. Władysław Korzcyc...

W skrajnie trudnych warunkach wojennych swoistym fenomenem było istnienie Polskiego Państwa Podziemnego dysponującego własną konspiracyjną armią i strukturami administracyjnymi, niezwykle istotnymi zwłaszcza w zakresie oświaty (tajne nauczanie) i wymiaru sprawiedliwości. Poczynania na tych polach nie były iluzoryczne – wymierzano i wykonywano wyroki, przede wszystkim w przypadku zdrajców, kształcono dzieci i młodzież. Przygotowywano się również



Władysław Korzcyc. Fot. Wikimedia Commons

do odbudowy kraju, już po wojnie, w kształcie skorygowanym ustrojowo, ale bez ubytków terytorialnych. Stąd zjawisko kolaboracji z okupantami było marginalne, a żadna z liczących się podziemnych sił politycznych nie tylko nie brała pod uwagę możliwości zmniejszenia obszaru państwa polskiego, lecz wręcz przewidywano, chociaż w różnych wariantach, jego rozrost kosztem pokonanych Niemiec.

Polska zdradzona

Koniec wojny z tej perspektywy był narodową katastrofą. Sojusznicze deklaracje okazały się świstkami papieru. W kwestii polskiej decydujące znaczenie miał głos sowieckiego dyktatora Józefa Stalina, wspieranego przez prezydenta USA Franklina Delano Roosevelta, przy całkowitej bezsilności brytyjskiego premiera Winstona Churchilla. W rezultacie decyzję o okrojeniu terytorium państwa polskiego na wschodzie przy jednoczesnym przyznaniu rekompensat terytorialnych na zachodzie podjęły trzy wielkie mocarstwa na konferencjach w Teheranie (28 listopada – 1 grudnia 1943 r.), Jałcie (4 – 11 lutego 1945 r.) i Poczdamie (17 lipca – 2 sierpnia 1945 r.). Zachodni alianci milcząco aprobowali tym samym sowiecką politykę faktów dokonanych, stosowaną na wschodnich obszarach II Rzeczypospolitej. Już od początku 1944 r. ZSRS, w miarę postępów Armii Czerwonej, przejmował administrację na terenach zaanektowanych jeszcze w 1939 r., a dopiero 27 lipca 1944 r. narzucił satelickiemu Polskiemu Komitetowi Wyzwolenia Narodowego umowę odnoszącą się do kształtu polskiej granicy wschodniej. Warto pamiętać, że komitet lubelski nie był legalnym reprezentantem państwa polskiego. Dodajmy, że granica na zachodzie była konstruowana początkowo jako prowizoryczna linia rozgraniczenia polskiej i sowieckiej administracji okupacyjnej w Niemczech. Najistotniejsze jest jednak to, że ostatecznym rezul-

Spotkanie oddziałów
niemieckich i sowieckich
w Brześciu nad Bugiem,
1939 r. Fot. AIPN





Niemcy rabują zbiory warszawskiej Zachęty, 1944 r. Fot. Wikimedia Commons

tatem wojny stała się utrata przez Polskę ponad 45 proc. obszaru sprzed września 1939 r. (ZSRS zaanektował 178 tys. km kw.), co nie zostało w dostateczny sposób zrekomensowane ziemią na zachodzie. Obecnie powierzchnia państwa polskiego jest mniejsza o niemal jedną piątą od przedwojennej powierzchni II Rzeczypospolitej.

Zbrodnie niemieckie

Znaczące terytorialne okrojenie państwa otwiera wojenny bilans polskich strat. Wojna przyniosła inną jeszcze, niewyobrażalną katastrofę – demograficzną. U jej podstaw leżała zbrodnia obciążająca obu okupantów. Mordowano jeńców wojennych i ludność cywilną, w ulicznych egzekucjach i obozach, metodami przemysłowymi i poprzez niewolniczą pracę. W sumie Niemców obciąża śmierć 6 mln polskich obywateli, ofiar działań wojennych, rozstrzeliwań, pacyfikacji, pracy ponad siły. Ziemie polskie miały zostać zgermanizowane. Obywatele Rzeczypospolitej zostali posegregowani w oparciu o kryteria rasowe. Kategorią usytuowaną najniżej byli Żydzi, których Niemcy zamierzali wyniszczyć w pierwszej kolejności. Powyżej obywateli polskich pochodzenia żydowskiego umieszczono etnicznych Polaków – niemiecki okupant planował przekształcić ich w przymusowych robotników, eksterminując uprzednio inteligencję, zdolną do organizowania oporu.

» **W wyniku wojny Polska utraciła ponad 45 proc. obszaru sprzed września 1939 r. (ZSRS zaanektował 178 tys. km kw.), co nie zostało w dostateczny sposób zrekompensowane ziemią na zachodzie. Obecnie powierzchnia państwa polskiego jest mniejsza o niemal jedną piątą od przedwojennej powierzchni II RP.** »

Odębne miejsce zajmowali tzw. folksdojce, którzy w przyszłości cieszyliby się pełnymi prawami obywateli Rzeszy. Ten plan Niemcy konsekwentnie wprowadzali w życie. Swoistym zapowiadającym go prelude stały się masowe, utrzymane w ścisłej tajemnicy egzekucje pomorskiej, śląskiej i wielkopolskiej inteligencji, tych wszystkich, którzy charakteryzowali się aktywnością o charakterze politycznym, a przede wszystkim społecznym. Symbolem tej zbrodni jest położona w pobliżu Wejherowa kaszubska Piaśnica, pomorski „mały Katyń”, gdzie wymordowano kilkanaście tysięcy Polaków. Metodę tę stosowano również na terenie Generalnego Gubernatorstwa, zwłaszcza w samej Warszawie i jej okolicach – tu symbolem pozostają Palmiry. Zbiorowe egzekucje towarzyszyły nieodmiennie akcjom pacyfikacyjnym na wsi – nierzadko zdarzały się przypadki palenia mieszkańców żywcem, bez względu na wiek i płeć...

Oddzielne, a zarazem szczególne miejsce w realizacji niemieckiej polityki eksterminacyjnej odegrały, jakże liczne na ziemiach polskich, obozy koncentracyjne. Grozę budziły ich nazwy, zwłaszcza takie jak Auschwitz i Majdanek, ale polscy obywatele ginęli również w Dachau (wśród nich wielu duchownych), Mauthausen-Gusen, Groß-Rosen, Bergen-Belsen, Stutthof, Ravensbrück (tu dokonywano przerażających eksperymentów medycznych na kobietach) czy w sztolniach Dory. Oprócz nich istniał cały system obozów specjalnych, karno-śledczych, przejściowych czy przesiedleńczych, wreszcie pracy przymusowej. Straszliwą rolę Niemcy przeznaczili dla obozów zagłady, którymi były Kulmhof am Ner, Belzec, Sobibor i Treblinka. To właśnie w nich w latach 1942–1944 na skalę przemysłową mordowano Żydów – obywatele polskich. Podobny los dotknął również polskich Cyganów.

Pałac Saski w Warszawie, wysadzony przez Niemców w grudniu 1944 r.
Fot. Wikimedia Commons

W tym przerażającym zestawieniu demograficznym nie można pominąć procedur germanizowania polskich dzieci. Jego ofiarą padło ok. 200 tys. istnień – po zakończeniu wojny do rodzinnych domów spośród nich powróciło niespełna 30 tys. Jeżeli dodać do tego stale obecny w dobie okupacyjnej głód, choroby, wszechobecne poczucie nie tylko materialnego, lecz przede wszystkim fizycznego zagrożenia, to obraz staje się wprawdzie znacznie bardziej kompletny, ale wciąż pozostaje niepełny.

Zbrodnie sowieckie

Na ziemiach zagarniętych przez ZSRS wprowadzono w życie mechanizm ich sowietyzacji. O skuteczności owego zabiegu miała zdecydować celowa depolonizacja tych terenów. Oznaczało to uruchomienie spirali zbiorowych represji, co dotknęło w pierwszym rządzie tych wszystkich, których z państwem polskim byli silnie związani przez służbę dla niego, czyli policjantów, zawodowych wojskowych, pracowników wszelkiego rodzaju urzędów, ale też leśników czy pocztowców. Zwieńczeniem działań represyjnych stały się masowe deportacje, głównie do środkowej Azji i na Syberię. Do pierwszej deportacji, pomijając incydentalne wywózki mające miejsce już późną jesienią 1939 r., doszło w lutym 1940 r. Objęła ona niemal 140 tys. ludzi, w tym przede wszystkim osadników wojskowych i urzędników, a ponadto leśników i kolejarzy wraz z rodzinami. Dwa miesiące później wywieziono z Kresów ponad 60 tys. ludzi. Z kolei między majem a lipcem 1940 r. – 80 tys.; byli to głównie mieszkańcy centralnej i zachodniej Polski uciekający przed Niemcami. Ostatnia fala deportacyjna przypadła na czas między majem a czerwcem 1941 r. i dotknęła blisko 40 tys. osób. Ogółem wywózki objęły ponad 330 tys. obywateli II Rzeczypospolitej, przy czym liczba śmiertelnych ofiar podczas transportów wciąż nie jest znana. Szacunkowo ocenia się, że zginęło ok. 10 proc., głównie najbardziej narażonych, czyli najstarszych oraz dzieci.

Bilans strat ludzkich spowodowanych przez Sowietów wciąż nie jest precyzyjny, obejmuje bowiem zarówno tych, którzy ginęli w masowych egzekucjach, w trakcie transportów wysiedleńczych, jak i w łagrach Workuty czy Kołymy. Symbolem owych poczynań jest Zbrodnia Katyńska – jej ofiary to nie tylko oficerowie i policjanci pozbawieni życia strzałem w tył głowy, lecz także ludzie pogrzebani w zbiorowych mogiłach w Bykowni i Kuropatach. Wielu umierało podczas transportów, także tych w czerwcu i lipcu 1941 r. A przecież obywate-

le polscy ginęli również jako żołnierze wcieleni do Armii Czerwonej w wojnie z Finlandią, a potem z Niemcami (przymusowy pobór objął ok. 150 tys. osób). Trzeba też pamiętać, że w rozliczeniu strat wojennych muszą bezwzględnie zostać uwzględnione ofiary sowieckiego terroru z lat 1944–1946. To wówczas nadszedł czas „dopalania Kresów”, a symbolem zbrodni z tego okresu pozostaje Obława Augustowska z lipca 1945 r.

Bilans wojenny obejmuje również, wciąż nieoszacowane, straty materialne. Oprócz wymiernych, odnoszących się np. do wszelkich nieruchomości i ruchomości, uwzględnić należy i potencjalne, bezpowrotnie utracone dochody. Obaj okupanci rabowali i konfiskowali polski majątek, korzystali z niewolniczej pracy robotników przymusowych, w bezwzględny sposób eksploatowali zagarnięte ziemie. Nie ulega zatem wątpliwości, że w wyniku wojny zarówno Polskę pojmovaną jako jednostka państwowa, jak też – ujmując rzecz z innej perspektywy – indywidualnie każdego z jej obywateli siłą pozbawiono olbrzymiej części majątku wypracowanego nie tylko przez ówczesne, lecz również przez poprzednie pokolenia. Co gorsza, znaczna część narodowego majątku nie tylko została przejęta i bez umiaru wyeksploatowana, lecz również była systematycznie wywożona do Niemiec i Związku Sowieckiego, a nawet państw satelickich III Rzeszy. Wreszcie trudna do precyzyjnego określenia część dóbr narodowych bezpowrotnie przepadła w rezultacie zmian terytorialnych, do których doszło już po zakończeniu wojny.

Pierwotne straty materialne były skutkiem działań wojennych, które toczyły się na ziemiach państwa polskiego wpraw w 1939 r., następnie 1941 r., a wreszcie w latach 1944–1945. Najcięższe zniszczenia czasu kampanii wrześniowej miały miejsce w rejonach szczególnie zaciętych bitew, zwłaszcza w okolicach Bzury, Narwi czy wokół Warszawy. Miasta, zakłady przemysłowe i linie kolejowe były intensywnie bombardowane przez Luftwaffe – w wielu przypadkach, tak jak chociażby Wielunia, nie chodziło o efekt militarny, lecz jedynie brutalny terror...

Przez wschodnie, kresowe obszary II Rzeczypospolitej front przetoczył się latem 1941 r., jednak zniszczenia materialne, ze względu na szybkie tempo niemieckiej ofensywy, nie były znaczne. W o wiele większym wymiarze, zwłaszcza z powodu walk o charakterze manewrowym, doszło do nich podczas kolejnych ofensyw Armii Czerwonej, poczynając od początku 1944 r. Wszystkie te zniszczenia okazały się nieporównywalne do tego, co latem i jesienią 1944 r. wy-



Warszawa w 1945 r. (rekonstrukcja). Kadr z filmu *Miasto ruin* produkcji Muzeum Powstania Warszawskiego

darzyło się w Warszawie, gdzie ludzkiej hekatombie towarzyszyło zrównanie z ziemią lewobrzeżnej części miasta, wyburzanego już po stłumieniu powstania. A przecież trzeba pamiętać, że poważnie zniszczone zostały także Białystok, infrastruktura przemysłowa Górnego Śląska, Poznań, a na terenach poniemieckich, przyznanych Polsce, w gruzach leżał Wrocław, zamieniony w Festung Breslau, nie mówiąc już o przypadkach takich, jak Głogów, gdzie doszczętnie zniszczone zostało 90 proc. miasta. Tym razem nieporównywalnie do wcześniejszego okresu zrujnowane zostały przyfrontowe tereny wiejskie – w wielu przypadkach zaminowane lub zrównane z ziemią. Te straty wciąż nie zostały w pełni oszacowane. W odniesieniu do materialnej substancji majątkowej

» Dla zamknięcia tragicznego bilansu lat 1939–1945 niezbędne jest policzenie wszystkich ofiar wojny – obywateli RP – i precyzyjne oszacowanie strat w sferze materialnej, jak też obejmującej dobra kultury. »

II Rzeczypospolitej zbliżają się one do połowy jej przedwojennej wartości.

Zniszczenia spowodowane przesuwaniem się frontów okazały się jednak znacznie mniejsze aniżeli te, które były

rezultatem niemieckiej i sowieckiej okupacji. Żaden inny kraj nie doświadczył jej w aż tak długim czasie na całym swym obszarze i nigdzie indziej nie miały one aż tak bezwzględny charakter. Skrajna materialna eksploatacja była przy tym nie celem, lecz jedynie środkiem zmierzającym do zupełnego unicestwienia polskiej państwowości. Rabowano zatem i konfiskowano majątek wypracowany przez II Rzeczpospolitą. Nakładano sekwestr na przedsiębiorstwa należące do osób prywatnych, przy czym pod okupacją sowiecką własność prywatna została zastąpiona przez państwową oraz nominalnie spółdzielczą. Tam też doszło, o czym warto pamiętać, do masowego wycinania lasów, bezsensownego demontowania fabryk lub przenoszenia ich w całości w głąb Rosji.

Dla zamknięcia tego tragicznego bilansu niezbędne jest zatem policzenie wszystkich ofiar wojny – obywateli RP – i precyzyjne oszacowanie strat w sferze materialnej, jak też obejmującej trudne do wyceny dobra kultury. III Rzeczpospolita nie musi wystawiać ani zawyżonych, ani też niewiarygodnych rachunków. Nie wszystkie strefy mogą zresztą zostać nimi objęte. Jednak przez szacunek dla tych, którzy Niepodległej bronili, byli jej wierni, a spoczywają do dziś w anonimowych mogiłach, wysiłek i na tym polu jest zwyczajnie niezbędny. Jest naszym obowiązkiem.



Włodzimierz Suleja (ur. 1948) – historyk, prof. dr hab., dyrektor Biura Badań Historycznych IPN, pracownik Instytutu Historycznego Uniwersytetu Wrocławskiego. Autor książek: *Józef Piłsudski* (wyd. 2: 2004), *Dolnośląski Marzec '68. Anatomia protestu* (2006), „Solidarność” na Dolnym Śląsku 1980–2010 (2010); *Mundur na nim szary... Rzecz o Józefie Piłsudskim 1867–1935* (2018); *Dawniej to było. Przewodnik po historii Polski* (2019) i in.

Madonna della Sedia – reprodukcja dzieła Rafaela autorstwa Ireny Serdy-Zbigniewiczowej;
obraz nigdy nie powrócił do kraju. Fot. dzielaautorane.gov.pl



Agnieszka Łuczak

Portret niemieckich grabieżców

We wszystkich krajach europejskich okupowanych przez III Rzeszę w świadomości zbiorowej mieszkańców bardzo szybko zaistniała postać Niemca-rabusia. Zdaniem prof. Tomasza Szaroty postać ta urosła wręcz do rangi symbolu. Wyrazem tego był chociażby dowcip krążący po Europie o błyskawicznym aresztowaniu w Paryżu, Brukseli czy Amsterdamie brytyjskich szpiegów przebranych w niemieckie mundury, rozpoznanych po tym, że... nie dźwigali paczek ani tobołów¹.

¹ T. Szarota, *Niemcy w oczach Polaków podczas II wojny światowej*, [w:] *idem, Niemcy i Polacy. Wzajemne postrzeganie i stereotypy*, Warszawa 1996, s. 144.

Jeden z najistotniejszych elementów polityki ekonomicznej Rzeszy Niemieckiej na okupowanych ziemiach polskich stanowiła grabież mienia. Celem grabieży było zarówno zaspokajanie doraźnych potrzeb gospodarki wojennej, jak i wzmocnienie niemieckiego potencjału ekonomicznego. W latach 1939–1945 na wszystkich ziemiach polskich Niemcy masowo przywłaszczali sobie ponadto dzieła sztuki ze zbiorów prywatnych i publicznych, biżuterię i waluty obce, zabierane zwłaszcza w czasie prowadzonych wysiedleń i rekwizycji.

Takie zachowanie Niemców zostało natychmiast dostrzeżone i odpowiednio podsumowane przez społeczeństwo polskie. Już jesienią 1939 r. krążył w Warszawie dowcip o wycieczce do Berlina, organizowanej przez „Orbis” pod hasłem „Poznaj swoje meble”. Również prasa konspiracyjna podejmowała ten problem. W lutym 1940 r. w „Komunikacie Informacyjnym” (nr 2) napisano: „Niemcy uprawiają dziki i prymitywny rabunek, co robi wrażenie »ewakuacji w pośpiechu«. Rzuca się w oczy rażąca nieuczciwość Niemców. Powszechny jest widok wojskowych i urzędników dźwigających wielkie paczki towarów zabranych w sklepach polskich”.

„Elita, której złamano charakter”

Niemieccy uczeni i intelektualiści zostali wprzęgnięci w maszynę grabieży dóbr kulturalnych utworzoną na okupowanych ziemiach polskich. Służyli jako jej trybiki bez szczególnego oporu, a niekiedy nawet ze znacznym zaangażowaniem. Warto przytoczyć tekst ogłoszenia zamieszczonego w spreparowanym przez polską konspirację numerze krakowskiej gadzinówki: „Poszukuję choćby jednego uczonego niemieckiego, który by nie był doktorem kłamstwa, profesorem złodziejstwa lub magistrem morderstwa – Naród Polski”². Mniej humorystycznie napisał w czasie wojny prof. Ludwik Hirszfild: „Ich elita? Co nas obchodzi elita, której złamano charakter. Przez długie jeszcze lata naród poetów i filozofów będzie żył w pamięci Europy jako naród morderców, grabieżców i złodziei”³.

² *Ibidem*, s. 146. Autor powołuje się na faksymile strony z ogłoszeniami podrobionego „Gońca Krakowskiego” (nr 282, 1 XII 1943 r.) w publikacji: G. Załęski, *Satyra w konspiracji 1939–1944*, wyd. 2, Warszawa 1958, s. 87.

³ T. Szarota, *Niemcy w oczach Polaków...*, s. 146. Autor cytuje za: L. Hirszfild, *Historia jednego życia*, Warszawa 1957, s. 438.

Według powojennych wspomnień i zeznań historyków sztuki Stanisława Lorentza i Karola Estreichera, naukowcy niemieccy starannie przygotowywali się do grabieży w Polsce i pod pretekstem naukowych wycieczek zwiedzili polskie muzea w latach 1934 i 1938. I dlatego akcja grabieży dóbr kultury rozpoczęła się natychmiast po wkroczeniu wojsk niemieckich do Warszawy na podstawie dokumentacji zbieranej już od 1933 r.

Głównymi instytucjami sprawczymi były niemieckie ośrodki badawcze, jak chociażby Instytut Badań Sztuki Wschodnioeuropejskiej na uniwersytecie we Wrocławiu, który zajmował się obszarem Śląska, centralnej, południowej i wschodniej Polski. Druga instytucja, która już przed II wojną światową interesowała się zabytkami na terenie II Rzeczypospolitej, to Studium do Badań Sztuki Pomorskiej i Poznańskiej na uniwersytecie w Królewcu.

Zagadnienie stopnia przygotowania poszczególnych instytucji i organów niemieckich do grabieży w Polsce wymaga jeszcze dodatkowych badań. Niektórzy zwracają uwagę na to, że to raczej posiadane kompetencje spowodowały, że naukowcy niemieccy zostali wciągnięci w proces grabieży na byłych ziemiach polskich. Jednak przedwojenne przyjazdy niemieckich uczonych do Polski – zwłaszcza w 1938 r. – mogły mieć już inny charakter niż czysto poznawczy. Zważywszy że w okresie poprzedzającym wybuch wojny resort nauki III Rzeszy zalecał niemieckim badaczom utrzymywanie jedynie sporadycznych kontaktów z polskimi uczonymi oraz instytucjami naukowymi. Zabezpieczały to drobiazgowo przepisy wewnętrzne, których przybywało zwłaszcza po 1937 r., gdy zaczęły się psuć stosunki polityczne między Polską a Niemcami. Mimo tych ograniczeń niektórzy niemieccy badacze dysponowali znacznymi środkami finansowymi, które umożliwiały im liczne podróże do Polski i tym samym zapoznanie się ze zbiorami dzieł sztuki.

Pretorianie z Ahnenerbe

Jedną z nazistowskich instytucji, które odegrały wiodącą rolę w grabieży, była Wspólnota Naukowo-Badawcza „Dziedzictwo przodków” (Forschungs- und Lehrgemeinschaft „Das Ahnenerbe”). Powołana w 1935 r., pozostawała pod bezpośrednim wpływem Heinricha Himmlera, Reichsführera SS i szefa niemieckiej policji przy Ministerstwie Spraw Wewnętrznych Rzeszy, a następnie została włączona

do jego osobistego sztabu. Mobilizacja liczego grona naukowców wokół Himmlera miała na celu opracowanie dziejów „germaństwa”. Całość badań, obejmująca kwestie z dziedziny prehistorii, językoznawstwa, antropologii, folklorystyki, medycyny itp., miała złożyć się na „encyklopedię germaństwa”. „Das Ahnenerbe” było wyrazem dążenia SS do stworzenia specjalnej wiedzy, służącej najbardziej istotnym i dalekosiężnym celom III Rzeszy.

Interesujące jest zagadnienie, na ile i w jakim stopniu władze „Das Ahnenerbe” były przygotowane do inwazji na Polskę pod względem grabieży dzieł sztuki i na ile wykazywały się dobrą znajomością rozmieszczenia zabytków. Według ustaleń prof. Andrzeja Mężyńskiego, dopiero po wkroczeniu wojsk niemieckich „Das Ahnenerbe” zaczęło przygotowywać podstawowe spisy polskich instytucji kulturalnych – i to nie wszystkich, lecz głównie muzeów posiadających zbiory prehistoryczne. W spisach tych, sporządzonych przez prof. Petera Paulsena i prof. Ernsta Petersena, nie wymieniono żadnej biblioteki ani archiwum. Ponadto to nie „Das Ahnenerbe” przeprowadziło akcję, lecz Główny Urząd Bezpieczeństwa Rzeszy (RSHA), który na polecenie Himmlera przejął zorganizowanie przedsięwzięcia i jego finansowanie.

Zaniechanie rozpoznania polskich zbiorów przez służby SS w Berlinie – zdaniem Mężyńskiego – nie powinno dziwić, gdyż Polska nie była przedmiotem ich specjalnego zainteresowania. W tej sytuacji brakowało czasu na przygotowanie w Berlinie precyzyjnych planów rabunku polskiego mienia kulturalnego, co nie wyklucza faktu żywiołowej grabieży po wkroczeniu wojsk niemieckich.

Już 4 września 1939 r. sekretarz generalny „Das Ahnenerbe” Wolfram Sievers (1905–1948) skierował do Himmlera jako przewodniczącego „Das Ahnenerbe” pismo, w którym pod pretekstem zabezpieczania dowodów odwiecznej germańskości tych ziem proponował grabież w muzeach Bydgoszczy, Poznania, Gniezna, Torunia i Krakowa. Zgodnie z zadaniami „Das Ahnenerbe”, wśród obiektów wyznaczonych w pierwszej kolejności do zajęcia znalazły się wykopaliska i zabytki prehistoryczne oraz dokumentacja naukowa na ten temat, gdyż miały one być materialnymi dowodami na germańskość ziem polskich.

Poprowadzenie akcji „zabezpieczania” powierzono profesorowi prehistorii na uniwersytecie berlińskim, SS-Untersturmführerowi Peterowi Paulsenowi, który przed wojną kilkakrotnie zwiedzał muzea w Polsce. Z tego powodu był odpo-



Gabinet w krakowskim mieszkaniu znanego psychografologa Rafała Schermanna; zbiory zostały zagrabione przez Ludwiga Leista. Fot. AIPN

wiednim kandydatem na stanowisko dowódcy przyszłego oddziału powołanego z inicjatywy „Das Ahnenerbe”. Paulsen należał do kadry młodych naukowców, członków NSDAP i SS, których kariera nabrała tempa po dojściu Adolfa Hitlera do władzy. Do oddziału Paulsena „Das Ahnenerbe” planowało skierować swoich wykwalifikowanych pracowników jako komisarzy specjalnych. Z podobnym pomysłem utworzenia grupy ekspertów „zabezpieczających” prehistoryczne i wczesnohistoryczne wykopaliska wraz z dokumentacją wyszedł wspomniany już profesor prehistorii Petersen, dyrektor Urzędu Krajowego ds. Prehistorii we Wrocławiu.

Lista zabytków wchodzących w zakres zainteresowania „Das Ahnenerbe” szybko się wydłużyła. Już 10 września 1939 r. Sievers przesłał do Himmlera obszerny memoriał w sprawie „przedsięwzięć ochronnych dla zabytków kulturalno-historycznych w Polsce”, w którym za konieczne uznał przejęcie kontroli nad „wykopaliskami, warownymi zamkami, kościołami, urządzeniami miejskimi, muzeami, zbiorami, galeriami i archiwami, ważnymi dokumentami przeciwko teorii Prasłowian i polskiej propagandzie kulturalnej w służbie panslawizmu”. Plan ten uzyskał akceptację Himmlera, a Sievers otrzymał wykazy zabytków do priorytetowego zajęcia w Polsce przygotowane przez profesorów Petersena i Paulsena.

Funkcjonariusze „Das Ahnenerbe” dzięki swojej inicjatywie i wsparciu przez Himmlera znaleźli się na kierowniczych szczeblach powstających urzędów zajmujących się konfiskatą dóbr kultury, które działały na ziemiach wcielonych do Rzeszy (Główny Urząd Powierniczy Wschód, Generalny Powiernik).

Kommando Paulsen

Decyzją Himmlera z 23 września 1939 r. utworzono specjalny oddział wspomnianego prof. Paulsena (Einsatzkommando Paulsen), który został podporządkowany Reinhardowi Heydrichowi, szefowi Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy. Członkowie Oddziału otrzymywali pensje i diety od RSHA, a podczas wyjazdów do Polski znajdowali oparcie w grupach operacyjnych (Einsatzgruppen) przy poszczególnych armiach.

Pierwszą akcją, zakończoną połowicznym sukcesem, Paulsen przeprowadził w Krakowie w październiku 1939 r. Jego zamiar dokonania na tym terenie grabieży został jednak pokrzyżowany przez Kajetana Mühlmanna, historyka sztuki z Wiednia, który 9 października 1939 r. otrzymał od marsz. Hermanna Göringa pełnomocnictwo do zabezpieczenia dzieł sztuki w Polsce. W efekcie w Krakowie działały dwie konkurujące ze sobą grupy naukowców-grabieżców. Mühlmann miał tylko spisywać i „zabezpieczać” dzieła sztuki, Paulsen zaś otrzymał wyraźne instrukcje dotyczące wywożenia do Rzeszy, tego, co zagrabili. Po negocjacjach Mühlmanna i Paulsena (dzięki pośrednictwu Heydricha) zdecydowano, że sprawą zdemontowania Ołtarza Zaśnięcia Najświętszej Maryi Panny Wita Stwosza i przetransportowania go do Berlina zajmie się grupa Paulsena. Stamtąd ołtarz został przewieziony do Norymbergi. Podczas wykonywania tego zadania Paulsen zdołał również przejrzeć inne zbiory sztuki i muzea, prawdopodobnie również pojawił się w Warszawie. Zarekwirował ponadto dokumentację dotyczącą zbiorów sztuki w Krakowie. Kommando Paulsen działało w Krakowie do 28 października 1939 r. W grupie tej byli też funkcjonariusze SS (dr Günther Thäringen i prof. Hans Schleiff) mający odnaleźć zabytki i przedmioty pochodzące z „ziemi wcielonych do III Rzeszy” i umieszczone w zbiorach Łazienek Królewskich w Warszawie. Obiekty te przewieziono do Poznania, a następnie porosyłano do muzeów w poszczególnych okręgach według proveniencji (Katowice, Poznań, Gdańsk).

W związku z rosnącą rywalizacją o przejęcie kontroli nad kolejnymi „rewirami łowieckimi” dokonano podziału stref wpływów. Zwołano na 28 paździer-

nika 1939 r. specjalną konferencję w Krakowie. Mimo wysiłków Himmlera nie udało się podporządkować „Das Ahnenerbe” całej akcji grabieży dóbr kultury na terenie GG. Dzieła sztuki nie miały być odsyłane natychmiast do Rzeszy, lecz początkowo gromadzone w Krakowie, gdzie sztab współpracowników miał je zbadać. Mühlmann nie wyrażał natomiast sprzeciwu wobec wywozu przez „Das Ahnenerbe” szczególnie interesujących obiektów prehistorycznych. Na wniosek Paulseny postanowiono, że starożytności z Warszawy i Polski centralnej, wraz z należącym do nich piśmiennictwem, znajdą miejsce w Poznaniu, a podobne zbiory z Krakowa – we Wrocławiu. Konflikt między Paulsenem a Mühlmannem został jednak rozstrzygnięty tylko pozornie.

Przystopowanie działalności organizacji Paulseny stało się widoczne już przy „zabezpieczaniu”, wyborze i wywózce warszawskich zbiorów, które zostały skierowane nie do Berlina, lecz do Krakowa. Według Mężyńskiego, Kommando Paulsen odegrało rolę pomocniczą w stosunku do komisji Mühlmanna. Pracownicy Paulseny próbowali jeszcze wynegocjować wywóz do Berlina niektórych obiektów z Muzeum Narodowego (obiektów żydowskich i masonskich) do prywatnego muzeum Himmlera mieszczącego się w zamku Wewelsburg.

Inicjatywę przejmuje gubernator Frank

Tymczasem kontrolę nad grabieżą dóbr kultury w GG starał się przejąć gubernator Hans Frank. Już 15 listopada 1939 r. wydał w Krakowie rozporządzenie o objęciu konfiskatą wszystkich nieruchomości i dóbr ruchomych „byłego Państwa Polskiego” w granicach GG. Realizację tej grabieży powierzono Urzędowi Powierniczemu przy Urzędzie Generalnego Gubernatora.

Tydzień później, 22 listopada 1939 r., Frank wydał kolejne zarządzenie, w którym zabraniał wywozu dóbr sztuki i kultury poza granice GG. Wszystkie obiekty sztuki miały być zwożone do Krakowa. Rozporządzenia Franka wstrzymały transport obiektów do Rzeszy (z wyjątkiem zbiorów bibliotecznych i prehistorycznych), a zatem dalsze funkcjonowanie grupy Paulseny w Warszawie miało się z celem. Z końcem listopada 1939 r. oddział powrócił do Berlina i zakończył w ten sposób działalność.

Niezrażony tym Himmler pod pretekstem „umacniania niemczyzny” (otrzymał od Hitlera takie specjalne pełnomocnictwo) usiłował rozszerzyć zasięg swoich

uprawnień na tereny GG. Rywalizacja obu nazistowskich dygnitarzy – Himmlera i Franka – zaostrzała się. Zwycięsko na ogół wychodził z niej Frank, niemniej Himmler nie zgadzał się na zwrot rzeczy wcześniej skonfiskowanych.

Gubernator 16 grudnia 1939 r. powołał na obszarze GG Urząd Specjalnego Pełnomocnika ds. Rejestracji i Zabezpieczania Dzieł Sztuki oraz Zabytków Kultury, który prowadził konfiskatę tych przedmiotów. Stanowisko przypadło wspomnianemu już dr. Mühlmannowi (dawnemu pełnomocnikowi Göringa). Utworzenie tego urzędu miało ukrócić działalność specjalnych komand, wojska i innych instytucji na terenie GG, jednak w praktyce nie do końca się to udało. Na przykład współpracownik „Das Ahnenerbe” SS-Obersturmführer prof. Eduard Tratz (dyrektor Muzeum Przyrodniczego w Salzburgu) zdołał wywieźć do Rzeszy (gdzie znalazły się pod kontrolą właśnie tej organizacji) zbiory z Łazienek Królewskich. Lista przedmiotów zrabowanych przez niego w grudniu 1939 r. zawiera kilkaset pozycji.

Kolejnym posunięciem Franka była konfiskata dóbr kultury na podstawie rozporządzenia o konfiskacie dzieł sztuki w GG z 16 grudnia 1939 r. oraz postanowienia wykonawczego z 15 stycznia 1940 r. Zgodnie z nim konfiskatą objęto również prywatne zbiory dzieł sztuki oraz większość kościelnych (z wyjątkiem przedmiotów niezbędnych do codziennych czynności liturgicznych), pochodzących sprzed 1850 r.

Rozporządzenia te zostały skomentowane w następujący sposób przez instytucje Polskiego Państwa Podziemnego: „Ważnym etapem w opisanej wyżej akcji niemieckiej, zmierzającej do ogołocenia Kraju z przedmiotów i zbiorów dzieł sztuki, stało się rozporządzenie Generalnego Gubernatora z 16 grudnia 1939 r. o konfiskacie dzieł sztuki w Guberni Generalnej i postanowienie wykonawcze doń z 15 stycznia 1940 r. stworzyło formalną podstawę do [...] grabieży w odniesieniu do zbiorów publicznych, pozostawiając na dalszym planie zbiory prywatne, często zamknięte dla władz niemieckich ze względu na [...] brak dokładniejszych o nich informacji. Dopiero rozporządzenie z 16 grudnia, sankcjonujące cały istniejący już poprzednio stan faktyczny w dziedzinie konfiskat, stawia przed władzami niemieckimi otworem również zbiory prywatne, gdyż zmusza właścicieli drogą terroru i groźbą więzienia do wskazywania samym drogi. W ten sposób rozbijanie zasobów artystycznych kraju, polegające na masowym sięganiu do domów prywatnych, osiągnęło dalszy etap [...]. Na szczególną uwagę zasługuje fakt, że rozporządzenie z 16 grudnia 1939 r. obejmuje nie tylko zbiory artystyczne, ale także wszystkie przedmioty z kategorii wybitnie



Okładka *Sichergestellte Kunstwerke im Generalgouvernement*, katalogu dzieł sztuki zagrabionych w Polsce, przeznaczonych dla niemieckich muzeów; raport przygotowało biuro Specjalnego Komisarza ds. Zabezpieczenia Dzieł Sztuki na Wschodnich Terenach Okupowanych. Fot. dziełautracone.gov.pl

w związku ze szczególnymi okolicznościami natury politycznej, mianowicie następowała wówczas, gdy mienie to stanowiło własność osób aresztowanych oraz osób żydowskiego pochodzenia [...]. Wszystko, co stanowiło własność Żydów i ludzi oskarżonych o żydowskie pochodzenie, zostało zagrabione przez gestapo i częściowo na miejscu zniszczone, częściowo zabrane i rozproszone. A że kulturalne rodziny żydowskie były niejednokrotnie w posiadaniu poważnych zbiorów sztuki (głównie obrazów, lecz także przedmiotów z zakresu przemysłu artystycznego, mebli, ceramiki, tkanin itd.), strata stąd płynąca dla muzealnictwa polskiego jest bardzo dotkliwa⁵.

Zbiory Radziwiłłów w Nieborowie zostały zagrabione przez Urząd Specjalnego Pełnomocnika, który wywiózł je w dziewiętnastu skrzyniach. Jednak naj-

pamiątkowych, jak dokumenty heraldyczne, sygnety, autografy, meble stare, mające czysto subiektywną wartość dla rodzin, będących ich posiadaczami⁴.

Ostateczny termin zgłoszenia dzieł sztuki i przedmiotów o wartości historycznej wyznaczono na 15 lutego 1940 r.

Według raportu MSW RP z 1944 r., skala grabieży nie była w praktyce aż tak szeroka, jak to początkowo zapowiadało rozporządzenie Franka: „Niezależnie od rozporządzenia z dn. 16 grudnia 1939 r., które nie zostało wprowadzone w życie tak konsekwentnie i rygorystycznie, jak należało się spodziewać, konfiskata prywatnego mienia muzealnego w Polsce odbywała się ponadto

⁴ IPiMS, MSW, A.9.III.2c/65, Sprawozdanie informacyjne o zniszczeniach kulturalnych w Kraju (opracowane w Kraju dla Ministerstwa Spraw Zagranicznych), październik 1940 r., k. 6–7.

⁵ IPiMS, MSW, A.9.III.1/50, Raport „Straty kulturalne” nr 18-a/44, C. II, Londyn 1944, k. 9.

cenniejsze obiekty, jak rzeźby antyczne, obrazy europejskich mistrzów i pamiątki historyczne, właściciele zdołali ukryć i uratować przed grabieżą⁶.

W GG spośród obiektów zwiezionych do Biblioteki Jagiellońskiej w Krakowie oraz Muzeum Narodowego w Warszawie zostały wyodrębnione najcenniejsze dzieła sztuki (i opatrzone kategorią Wybór Pierwszy/*Wahl I*). Były przeznaczone dla Hitlera lub – w drugiej kolejności – dla Franka. Zostały wyszczególnione w odrębnym katalogu *Sichergestellte Kunstwerke im Generalgouvernement* (Breslau 1940), a obejmowały 521 pozycji dzieł malarstwa, rzeźby, rzemiosła artystycznego, starej broni, monet i medali. Według wstępu opublikowanego w katalogu, te wybrane dzieła sztuki reprezentowały „sztukę niemiecką oraz te obiekty, które miały znaczenie dla historii i rozwoju sztuki ogólnoeuropejskiej”.

Faktyczny cel podjętej akcji był jednak inny niż naukowe uzasadnienie tezy o „przenikaniu ducha niemieckiej kultury na Wschód”, gdyż w rzeczywistości „zabezpieczono” i spisano ogromną liczbę zabytków ruchomych, podzielono je na kategorie, a pierwszemu i drugiemu wyborowi dodano wycenę.

Akwizytor Hitlera

Hitler zastrzegł sobie prawo dysponowania dziełami pochodzącymi z grabieży okupowanych terenów. Klasyfikacją obiektów najwyższej klasy – przeznaczonych dla Führera – zajmował się dr Hans Posse, dyrektor Galerii Drezdeńskiej. Urodzony 6 lutego 1879 r., studiował w Marburgu i Wiedniu, gdzie obronił doktorat, a następnie został asystentem w Kaiser-Friedrich-Museum w Berlinie. Od 1910 r. był dyrektorem galerii malarstwa w Dreźnie. Został mianowany przez Hitlera dyrektorem muzeum w Linzu, które miało się stać największe na świecie. Poszukiwał najcenniejszych obiektów we wszystkich okupowanych krajach Europy: w Holandii, we Włoszech, w Czechosłowacji, i we Francji. Rozmach przedsięwzięcia był ogromny – przez cały okres powstawania muzeum wydano 100 mln marek i zdobyto 8 tys. obrazów (dla porównania – obecnie National Gallery w Waszyngtonie posiada 3 tys., a Rijksmuseum w Amsterdamie 5 tys.).

Posse w pierwszej kolejności spenetrował zbiory warszawskie – w grudniu 1939 r., a kolejną wizytację planował po lutym 1940 r. Miał prawo pierwszeń-

⁶ K. Jabłoński, W. Piwkowski, *Nieborów Arkadia*, Warszawa 1996, s. 43.



Dr Hans Posse zajmował się klasyfikacją dzieł sztuki najwyższej klasy przeznaczonych dla Adolfa Hitlera.
Fot. Wikimedia Commons

stwa, co pozwoliło mu na wybranie najcenniejszych dzieł sztuki do muzeum w Linzu. Przy okazji zabiegał również o wywiezienie do Dreżna ocalałych części urządzeń Zamku Królewskiego w Warszawie. Następnie przejrzał zbiory prywatne, publiczne i kościelne w Krakowie i Warszawie. Warto przytoczyć fragment jego sprawozdania na temat przeprowadzonych prac: „Potwierdza się, że oprócz znanych nam już w Niemczech dzieł sztuki pierwszej jakości (np. ołtarz Wita Stwosza i obrazy na drzewie Hansa Kulmbacha z kościoła Mariackiego w Krakowie, obrazy Rafaela, Leonarda

da da Vinci i Rembrandta ze zbiorów Czartoryskich oraz kilka dzieł z Muzeum Narodowego w Warszawie) nie ma tu zbyt wiele, co by wzbogaciło niemieckie zasoby wielkiej sztuki (malarstwo i plastyka). Bogatsze i bardziej wielostronne są polskie zbiory artystycznego rzemiosła: kute w złocie i srebrze przedmioty (w przeważnej części pochodzenia niemieckiego, głównie z krakowskiego kościoła Mariackiego i katedry wawelskiej), gobeliny, broń, porcelana, meble, brązy, monety, drogocenne pergaminowe rękopisy, książki itd. Polska działalność kolekcjonerska skupia się bowiem – prócz mało wartościowej sztuki narodowej, zwłaszcza wieku XIX – głównie na tych dziedzinach”⁷.

Posse cieszył się poparciem Hitlera. Również jego sugestie i decyzje odnośnie do doboru dzieł sztuki wzbudzały uznanie Führera. Dreźnieńczyk zmarł 7 grudnia 1942 r. Na jego stanowisko powołano prof. Hermanna Vossa (1884–1969). Od 1936 r. pełnił on funkcję dyrektora Krajowego Muzeum w Wiesbaden. Był szanowanym ekspertem w dziedzinie malarstwa, ale jego nominacja wywołała

⁷ *Sprawozdanie z delegacji służbowej do Krakowa i Warszawy celem dokonania przeglądu rodzaju i zakresu skonfiskowanych dzieł*, [w:] *Walka o dobra kultury*, red. S. Lorentz, Warszawa 1970, t. 2., s. 412–414.

» **W latach 1939–1945 na wszystkich ziemiach polskich Niemcy masowo przywłaszczali sobie dzieła sztuki. Hitler niemalże do końca wojny osobiście podejmował decyzje o ich przeznaczaniu do muzeów w Rzeszy.** »

u wielu nazistów zaskoczenie, gdyż odgrywał drugorzędną rolę wśród funkcjonariuszy nazistowskich administrujących dziełami sztuki w III Rzeszy.

Co ciekawe, Hitler niemalże do końca wojny pragnął osobiście

podejmować decyzje o przeznaczaniu dzieł sztuki do niemieckich muzeów (Nowej Galerii w Linzu, Muzeum Broni w Linzu, Gabinetu Muzycznego w Linzu oraz innych galerii publicznych). Rzeczoznawcami Hitlera byli: Voss (obrazy i sztuki piękne), prof. Leopold Ruprecht (broń o wartości artystycznej), dr Fritz Dworschak (monety i metale), dr Friedrich Wolfhardt (książki i piśmiennictwo).

Pod koniec wojny, w drugiej połowie 1944 r., Voss doszedł do wniosku, że liczba obrazów zgromadzonych dla muzeum w Linzu jest tak olbrzymia, że niemożliwe i pozbawione sensu będzie eksponowanie wszystkich przejętych dzieł. Pojawiła się wówczas koncepcja, aby część obiektów przekazać w pierwszej kolejności na tereny wschodnie Rzeszy – głównie do muzeum poznańskiego. Konkretnie rozwiązania odłożono jednak na czasy po zakończeniu działań wojennych.

Trudno ustalić precyzyjną liczbę dóbr kultury zagrabionych przez administrację Generalnego Gubernatora. W przemówieniu wygłoszonym z okazji trzylecia GG 26 października 1942 r. Frank oświadczył, że na jego terytorium „zabezpieczono” około 90 proc. dzieł sztuki, oraz stwierdził, że są one własnością Generalnego Gubernatorstwa. Przez cały okres okupacji dobra kultury służyły jako wyposażenie wewnątrz urzędowych lub prywatnych siedzib dygnitarzy nazistowskich.

Urząd Specjalnego Pełnomocnika nie był w stanie zapanować nad skonfiskowanymi przez siebie dziełami sztuki. Wykorzystał to gubernator Frank, który dążył do eliminacji wpływów Mühlmanna, traktując go jako ciało obce wstawione przez Göringa i reprezentujące w rzeczywistości jego interesy. W 1942 r. Frank przeprowadził wiele zmian w strukturach urzędów zajmujących się grabieżą dóbr kultury. W kwietniu 1942 r. mianował architekta Wilhelma Ernsta von Palezieux rzeczoznawcą gubernatora ds. wyposażenia Zamku Królewskiego. Ponadto 27 lipca 1942 r. przekształcił Urząd Specjalnego Pełnomocnika w Urząd Opieki nad Sztuką Dawną (Amt für die Pflege alter Kunst), który był już podporządko-

wany decyzjom Franka w znacznie większym stopniu. W lipcu 1943 r. Mühlmann zgłosił rezygnację. Miał wprawdzie przekazać oficjalnie „zabezpieczone” dobra kultury, co jednak nie nastąpiło. Tuż po wojnie oficer holenderskiego wywiadu Jan Vlugs, współpracujący z amerykańską jednostką prowadzącą dochodzenie w sprawie grabieży, napisał odrębny raport na temat działalności Dienststelle Mühlmann. Nie mógł się w nim powstrzymać od oceny i podkreślił, że Mühlmann jest „uparty, pozbawiony sumienia, nic go nie obchodzi sztuka, jest kłamcą i złym człowiekiem”⁸.

Koniec wojny

Dygnitarze nazistowscy z GG wysyłali sukcesywnie do Rzeszy meble i cenne przedmioty. W sierpniu 1944 r. do GG codziennie przyjeżdżało pięćdziesiąt pociągów w celu przetransportowania zagrabionych cennych obiektów. Od jesieni 1944 r. trwała „ewakuacja” dóbr kultury w głąb Rzeszy, zorganizowana przez władze niemieckie, głównie na teren Dolnego Śląska, Górnego Śląska oraz Śląska Opolskiego, Turynii, Saksonii, austriackiego Tyrolu, Bawarii oraz kopalni soli Graslleben w Dolnej Saksonii. Ukrywano je w kopalniach, wojskowych umocnieniach, zamkach, klasztorach, kościołach i magazynach. Niemieccy specjaliści od grabieży starali się w ten sposób zabezpieczyć swoje losy na wypadek przegranej wojny i zwiększyć swój potencjał negocjacyjny.

Frank 17 stycznia 1945 r. ewakuował się z Krakowa do Neuhaus pod Monachium, gdzie miał własną willę. Zabrał także *Damę z gronostajem* Leonarda da Vinci, pochodzącą ze zbiorów Czartoryskich. Właśnie ten obraz i osiem innych miał przy sobie w momencie zatrzymania go przez Amerykanów. Aresztowany Mühlmann, który dwukrotnie próbował uciec, najpierw podczas przesłuchania odpowiadał z pogardą, jednak w końcu udzielił oficerom amerykańskim całkiem sporo informacji o zagrabionych zabytkach – łącznie z kilkoma anegdotami o Hitlerze. Z kolei Voss, aresztowany w okolicach Wiesbaden, zaproponował Amerykanom pomoc w odzyskaniu zbiorów muzeum w Linzu, znajdujących się w Altaussee, licząc na łagodne traktowanie. Z zaskoczeniem przyjął potraktowanie go jak zbrodniarza wojennego, aresztowanie i poddanie przesłuchaniom.

⁸ L. Nicholas, *Grabież Europy*, Poznań 2014, s. 541.



Karol Estreicher przejmuje odzyskane rzeźby Wita Stwosza z Ołtarza Zaśnięcia Najświętszej Maryi Panny, maj 1946 r. Fot. AIPN

Podczas dochodzeń wyłonił się obraz niesłychanego rozmachu całego przedsięwzięcia. „Hitlerowska grabież [...] różniła się od grabieży którejkolwiek z poprzednich wojen, tym że została oficjalnie zaplanowana i sprawnie przeprowadzona [...] w celu zwiększenia kulturalnego prestiżu Rasy Panów”⁹ – napisał Lane Faison, jeden z amerykańskich oficerów śledczych prowadzących po wojnie poszukiwania ukrytych przez nazistów dzieł sztuki.

⁹ *Ibidem*, s. 541.



Agnieszka Łuczak (ur. 1969) – historyk, dr, pracownik Biblioteki Raczyńskich w Poznaniu. Autorka książek: (z A. Pietrowicz) *Polityczne oczyszczanie gruntu. Zagłada polskich elit w Wielkopolsce (1939–1941)* (2009); *Utracone decorum. Grabież dóbr kultury z majątków ziemiaństwa polskiego w Wielkopolsce w czasie okupacji niemieckiej w latach 1939–1945* (2011); (z J. Kubiakiem) *Wypędzeni 1939. Deportacje obywateli polskich z ziem wcielonych do III Rzeszy* (2015) i in.

Andrzej Chmielarz

Polska podziemna przed sowieckim trybunałem

W czerwcu 1945 r. przed sądem w Moskwie zostali postawieni organizatorzy polskiego podziemia niepodległościowego. Choć na ich skazanie nie było przyzwolenia aliantów, nikt nie powstrzymał Józefa Stalina i sowiecki plan został wykonany.

Sowiecki aparat bezpieczeństwa 27 i 28 marca 1945 r. aresztował w Pruszkowie niemal całe kierownictwo Polskiego Państwa Podziemnego: Delegata Rządu RP na Kraj wicepremiera Jana Stanisława Jankowskiego, członków Krajowej Rady Ministrów Adama Bienia, Stanisława Jasiukowicza i Antoniego Pajdaka, przewodniczącego Rady Jedności Narodowej (RJN) Kazimierza Pużaka i jego zastępcę Aleksandra Zwierzyńskiego, członków Rady Jedności Narodowej: Kazimierza Bagińskiego, Józefa Chacińskiego, Eugeniusza Czarnowskiego, Kazimierza Kobyłańskiego, Stanisława Michałowskiego, Stanisława Mierzwę, Zbigniewa Stypułkowskiego, Franciszka Urbańskiego, dowódcę rozwiązanej Armii Krajowej gen. Leopolda Okulickiego i pełniącego funkcję tłumacza urzędnika Delegatury Rządu Józefa Stemler-Dąbskiego. Aresztowano ich, gdy zjawili się na zaproszenie strony sowieckiej, by podjąć rozmowy prowadzące do normalizacji stosunków w kraju.

Przyjęcie propozycji Sowietów przez kierownictwo Polskiego Państwa Podziemnego bywa oceniane jako wielka nieroztropność. Była to jednak decyzja świadoma, podjęta w sytuacji, gdy Polacy znali już rezultaty lutowej konferencji w Jałcie, gdzie w sprawie

polskiej Józef Stalin odniósł pełne zwycięstwo polityczne. Kierownictwo krajowe, zdając sobie sprawę z tego, że jest osamotnione i nie może liczyć na żadne wsparcie, starało się uchronić Polskę przed pełną sowietyzacją. Szansą na to miał być kompromis z rządem lubelskim, powołanym przez komunistów – niemożliwy bez zgody Stalina. W tym beznadziejnym położeniu przyjęcie propozycji rozmów było aktem odwagi ludzi, dla których odpowiedzialność za przyszłość Polski stanowiła wartość najwyższą.

Stawili się oni na rozmowy, chociaż każdy z nich miał w pamięci los oficerów polskich w Katyniu, a także Armię Czerwoną stojącą beczynnym nad Wisłą, gdy na jej drugim brzegu płonąła Warszawa. Każdy z nich wiedział, jaki los spotkał tych, którzy próbowali podjąć rozmowy z Sowietami w czasie akcji „Burza” w lipcu 1944 r.: komendanta Okręgu Wilno Armii Krajowej ppłk. Aleksandra Krzyżanowskiego „Wilka”, komendanta Obszaru Lwów AK płk. Władysława Filipkowskiego, komendanta Okręgu Lublin AK płk. Kazimierza Tumidajskiego „Marcina” i wielu innych.

Mimo tych tragicznych doświadczeń, ze świadomością ryzyka, jakie niesie za sobą ta decyzja, propozycja rozmów została przyjęta, chociaż gwarancją było jedynie „słowo honoru” sowieckiego oficera. Pułkownik Jan Rzepecki, szef Biura Informacji i Propagandy Komendy Głównej AK, w swoich niepublikowanych pamiętnikach zanotował: „Los nasz zależał od zasięgu, przebiegu i wyników rozmów z władzami sowieckimi”.

Przewodniczący RJN Kazimierz Pużak, w swych wspomnieniach spisanych po powrocie z sowieckiego więzienia, zanotował: „gdybyśmy nie wzięli udziału w tej konferencji, to – sądząc po dalszych perypetiach – Moskale mogliby z całą stanowczością twierdzić, że podziemie polskie unika spotkań, gdyż ma na sumieniu wszystkie akty antyradzieckie i oczywiście dąży do wojny z ZSRR. Dodatkowo zaś podziemie, uchylając się od rozmów ze stroną rosyjską, i to na wezwanie dowództwa wojskowego Sowietów, w którego zasięgu działa strona polska, tym samym uchyla się od rozmów (konsultacji jałtańskich) z Anglią, Ameryką i ZSRR. [...] Jednak niezależnie od przypuszczeń racja stanu wymagała, bez względu na to, co wyniknie, stawiennictwa naszych osób”.

Rząd RP w Londynie, poinformowany o podjęciu pertraktacji, nie kwestionował zasadności tej decyzji. „Rozumiemy, iż w warunkach, w jakich się znajdujecie, nie możecie odrzucać propozycji rozmów” – czytamy w depeszy nadanej 30 marca 1945 r., dwa dni po aresztowaniu delegacji polskiej przez NKWD.

Tą „racją stanu”, o której pisze Pużak, była możliwość powołania, zgodnie z decyzjami jałtańskimi, nowego rządu polskiego z udziałem polityków spoza kręgu komunistów związanych z Moskwą. Wierzano, że przy mocnym poparciu aliantów zachodnich i Rządu RP na Uchodźstwie będzie możliwe wejście do nowego gabinetu tych, którzy mieli za sobą pięcioletnią walkę niepodległościową z okupantem i niekwestionowany udział w jej przywództwie. Silni poparciem całego niemal społeczeństwa polskiego, liderzy podziemia niepodległościowego sądzili, że strona sowiecka, zdając sobie sprawę z faktycznego układu politycznego w Polsce, będzie szukała kompromisu.

Rada Jedności Narodowej przyjęła 21 lutego 1945 r. uchwałę, w której, krytykując jednostronność postanowień jałtańskich, stwierdzała, że ma nadzieję na nadanie im „konkretnej treści porozumienia się w sprawie utworzenia Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej w Kraju wraz z Rządem i Radą Narodową w Londynie. Rada Jedności Narodowej jako przedstawicielka Polski Podziemnej deklaruje swą gotowość podjęcia rokowań w tej sprawie”.

Stanisław Mikołajczyk, były premier rządu RP, który zgłosił zamiar udziału w nowym rządzie, w depeszy z 15 marca 1945 r. do kierownictwa Stronnictwa Ludowego w kraju naciskał: „Bierzcie inicjatywę, póki nie jest za późno, idąc na lojalne ułożenie stosunków polsko-sowieckich. Tym samym powiążecie wasze działania z naszymi i umożliwicie nam więcej wydatne popieranie waszych wysiłków”.

Przewidziane uchwałami jałtańskimi konsultacje z Polakami w sprawie utworzenia nowego rządu opóźniały się. Komisja Dobrych Usług (Komisja Trzech) w Moskwie, składająca się z ludowego komisarza spraw zagranicznych ZSRS Wiaczesława Mołotowa oraz ambasadorów Stanów Zjednoczonych i Wielkiej Brytanii, praktycznie nie rozpoczęła działalności. Stalin chciał dać czas komunistom w Polsce, by mogli ugruntować zdobytą władzę i rozbić solidarny front stronnictw niepodległościowych. Jedno i drugie było realizowane środkami przemocy i terroru prowadzonego przez NKWD i Ministerstwo Bezpieczeństwa Publicznego. Mołotow, z premedytacją opóźniający pracę Komisji Trzech, nie zamierzał zapraszać do rozmów przedstawicieli polskiej konspiracji niepodległościowej. Spokojnie czekał na koniec operacji prowadzonej przez gen. Iwana Sierowa, której celem było uwięzienie przywódców Polskiego Państwa Podziemnego.



Konstantin Pimienow. Fot. nkvd.memo.ru

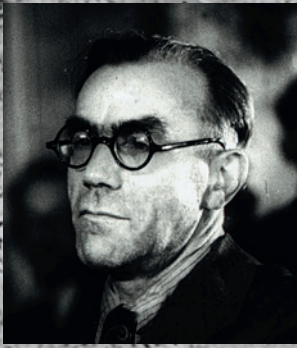
Samolot do Moskwy, nie do Londynu

Sowieccy agenci już od połowy lutego 1945 r. gorączkowo szukali kontaktu z wicepremierem Jankowskim i z Okulickim. To właśnie generał pierwszy otrzymał informację o tym, że dowództwo Armii Czerwonej pragnie nawiązać kontakt. Wkrótce – 6 marca do Okulickiego, a do Delegata Rządu 10 marca – dotarły listy oficera sowieckiego Smierszu, płk. Konstantina Pimienowa, w których zapraszał Polaków na spotkanie ze sztabem marsz. Georgija Żukowa, gwarantując im bezpieczeństwo osobiste.

17 marca doszło do pierwszego spotkania Jankowskiego z Pimienowem. Wicepremier uwierzył zapewnieniom sowieckiego oficera, że rozmowy umożliwią podjęcie jawnej działalności stronnictw z RJN i bezpośrednie porozumienie z rządem, uwierzył nawet w obietnicę zapewnienia samolotu do Londynu.

21 marca odbyło się kolejne spotkanie Delegata Rządu z Pimienowem, na którym ten zaproponował Jankowskiemu zorganizowanie rozmów w szerszym gronie, w celu przedyskutowania przekazanych wcześniej zagadnień, jak stosunek do ZSRS, stanowisko wobec uchwał jałtańskich, kwestia zachowania spokoju na zapleczu frontu. Jankowski przyjął propozycję. Ustalono, że ze strony sowieckiej będą obecni gen. Iwanow (tak przedstawiano Iwana Sierowa) i płk Pimienow, a stronę polską będą reprezentowali Jankowski, gen. Okulicki oraz przedstawiciele stronnictw wchodzących w skład Komisji Głównej RJN: Pajdak i Pużak z Polskiej Partii Socjalistycznej „Wolność-Równość-Niepodległość”, Jasiukowicz, Kobylański, Stypułkowski i Zwierzyński ze Stronnictwa Narodowego, Chaciński i Urbański ze Stronnictwa Pracy, Bagiński, Bień i Mierzwa ze Stronnictwa Ludowego, Czarnowski i Michałowski ze Zjednoczenia Demokratycznego oraz Stemler-Dąbski jako sekretarz delegacji.

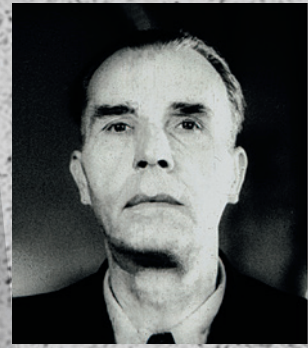
W składzie delegacji znalazło się niemal całe kierownictwo Polskiego Państwa Podziemnego: Delegat Rządu RP na Kraj wicepremier Jankowski, dowódca rozwiązanej Armii Krajowej gen. Okulicki, ministrowie Krajowej Rady Ministrów – Bień, Jasiukowicz i Pajdak – oraz najwybitniejsi reprezentanci stronnictw politycznych.



Kazimierz Bagiński
„Biernacki”, „Dąbrowski”;
wiceprzewodniczący Rady Jedności Narodowej,
wiceprezes Stronnictwa Ludowego,
skazany na 1 rok pozbawienia wolności.



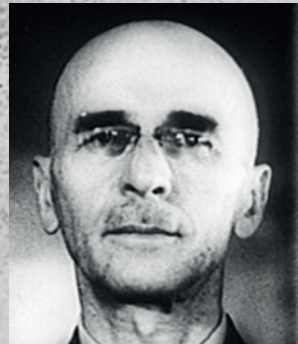
Adam Bień
„Wajkowicz”, „Bronowski”;
I zastępca Delegata Rządu RP na Kraj,
członek Krajowej Rady Ministrów,
skazany na 5 lat pozbawienia wolności.



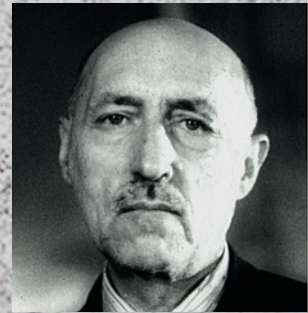
Józef Chaciński;
członek Rady Jedności Narodowej,
prezes Stronnictwa Pracy,
skazany na 4 miesiące pozbawienia
wolności.



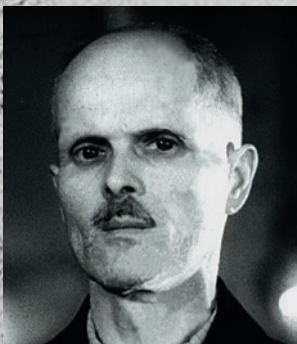
Eugeniusz Czarnowski
„Czernik”, „Adam”, „Piotr”; członek Rady
Jedności Narodowej, prezes Zjednoczenia
Demokratycznego, pracownik Biura Informacji
i Propagandy Komendy Głównej AK, skazany
na 6 miesięcy pozbawienia wolności.



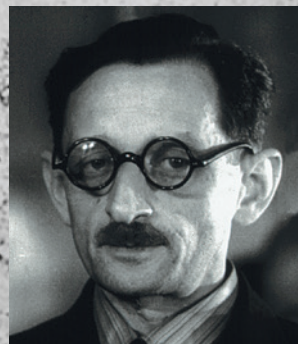
Jan Stanisław Jankowski
„Soból”, „Jan”, „Klonowski”;
delegat Rządu RP na Kraj, wicepremier,
skazany na 8 lat pozbawienia wolności.



Stanisław Jasiukowicz
„Opolski”, „Ignacy”, „Kucieński”;
zastępca Delegata Rządu RP na Kraj,
członek Krajowej Rady Ministrów,
wiceprzewodniczący Stronnictwa Narodowego,
skazany na 5 lat pozbawienia wolności.



Kazimierz Kobylański
„Inżynier”, „Jerzy”, „Markowski”;
przedstawiciel Stronnictwa Narodowego
w Radzie Jedności Narodowej,
uniewinniony.



Stanisław Michałowski
„Małcki”, „Michał”;
członek Rady Jedności Narodowej,
wiceprzewodniczący Zjednoczenia
Demokratycznego, uniewinniony.



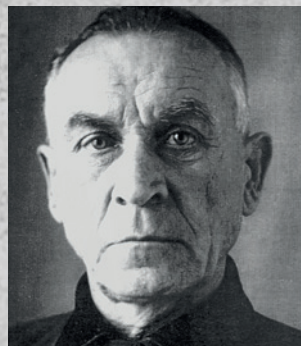
Stanisław Mierza

„Słomka”; przedstawiciel Stronnictwa Ludowego w Radzie Jedności Narodowej, skazany na 4 miesiące pozbawienia wolności.



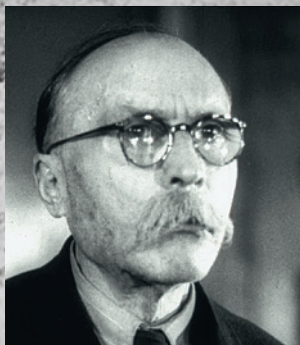
Gen. bryg. Leopold Okulicki

„Niedźwiadek”, „Kobra”, „Mrówka”; komendant Główny Armii Krajowej, skazany na 10 lat pozbawienia wolności.



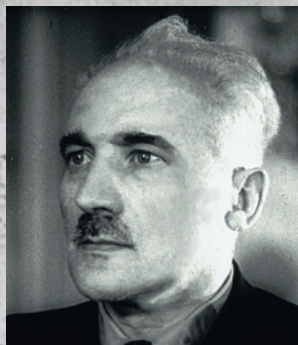
Antoni Pajdak

„Traugutt”, „Antoni”, „Okrzejski”; zastępca Delegata Rządu RP na Kraj, członek Krajowej Rady Ministrów, skazany na 5 lat pozbawienia wolności.



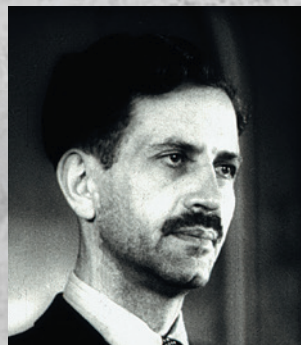
Kazimierz Pużak

„Grzegorz”, „Bazyli”, „Seret”; przewodniczący Rady Jedności Narodowej, sekretarz generalny Polskiej Partii Socjalistycznej, skazany na 1,5 roku pozbawienia wolności.



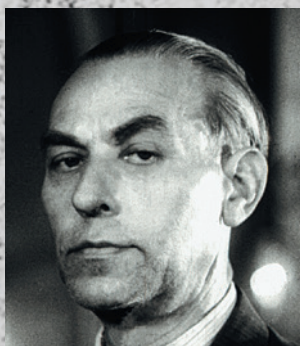
Józef Stemler

„Dąbski”, „Doliński”; pracownik Departamentu Informacji i Prasy Delegatury Rządu, uniewinniony.



Zbigniew Stypułkowski

„Zbyszek”, „Czeski”, „Sobota”; przedstawiciel Stronnictwa Narodowego w Radzie Jedności Narodowej, skazany na 4 miesiące pozbawienia wolności.



Franciszek Urbański

„Franciszek”, „Rzewuski”; przedstawiciel Stronnictwa Pracy w Radzie Jedności Narodowej, skazany na 4 miesiące pozbawienia wolności.



Aleksander Zwierzyński

„Oleśnicki”, „Emil”, „Tokarski”; wiceprzewodniczący Rady Jedności Narodowej, przewodniczący Stronnictwa Narodowego, skazany na 8 miesięcy pozbawienia wolności.

27 marca do Pruszkowa na rozmowy z „gen. Iwanowem” udali się Delegat Rządu Jankowski, gen. Okulicki, przewodniczący RJN Pużak i tłumacz Stemler-Dąbski. Po ich powrocie z Pruszkowa miało się odbyć wspólne posiedzenie Krajowej Rady Ministrów i Rady Jedności Narodowej. Ponieważ z Pruszkowa nikt nie wrócił, posiedzenia nie zwołano. Wzbudziło to zaniepokojenie pozostałych członków polskiej delegacji, ale nie na tyle silne, by poczekać na wyjaśnienie zaistniałej sytuacji. Postanowiono iść na konferencję wyznaczoną na dzień następnym, mając nadzieję, że Jankowski, Pużak i Okulicki być może już rozpoczęli rokowania z płk. Pimienowem.

Tak więc 28 marca, mimo że z obrad wstępnych nikt nie powrócił, reszta delegatów stawiła się na rozmowy. Żadnej konferencji nie było. Następnego dnia delegację polską przewieziono na Okęcie, a stamtąd do Moskwy – do więzienia NKWD na Łubiance. Dzień wcześniej przywieziono tam Jankowskiego, Pużaka i Okulickiego.

Podstępne, wiarołomne aresztowanie przywódców Polskiego Państwa Podziemnego przeprowadzone przez Sierowa pozwoliło Stalinowi na wyeliminowanie faktycznych przedstawicieli społeczeństwa polskiego z pertraktacji o utworzeniu Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej, co w efekcie doprowadziło do pełnego podporządkowania Polski Moskwie.

Polskie wołanie o pomoc i sowieckie kłamstwa

Wobec braku informacji o losach polskiej delegacji, szef Biura Prezydialnego Delegatury Rządu Tadeusz Miklaszewski 30 marca poinformował o tym Londyn. 31 marca obszerną depeszę, informującą szczegółowo o spotkaniach z Sowietami przed 27 marca, wysłał Stefan Korboński, dyrektor Departamentu Spraw Wewnętrznych, który objął tymczasowe kierownictwo Delegatury Rządu. Korboński podejrzewał aresztowanie lub prowadzenie rozmów w warunkach izolacji. Kilka dni później przekazał do Londynu informację, że delegaci zostali wywiezieni do Moskwy.

Depesze Korbońskiego stały się podstawą do interwencji dyplomatycznej rządu polskiego u władz brytyjskich i amerykańskich. Ambasador Edward Raczyński w nocy z 1 na 2 kwietnia złożył w Foreign Office list wzywający do wyjaśnienia sprawy u Sowietów. Podobną notę złożył polski ambasador w Waszyngtonie Jan Ciechanowski. Brytyjczycy 4 kwietnia zwrócili się do Mołotowa. Jednak ambasadorowi Archibaldowi Clarkowi Kerrowi, mimo czynionych wysiłków, nie udało się uzyskać żadnych informacji o losie Polaków.



Willi przy ul. Pęcickiej 3 (obecnie Armii Krajowej 11) w Pruszkowie, gdzie w marcu 1945 r. Sowieci aresztowali przywódców Polskiego Państwa Podziemnego. Fot. AIPN

Początkowo Brytyjczycy i Amerykanie obawiali się, że Sowieci wykorzystają obecność wśród członków polskiej delegacji osób, które zamierzano włączyć w skład warszawskiego Rządu Tymczasowego, do jego reorganizacji i ogłoszą, że postanowienia jałtańskie zostały zrealizowane. Pragnąc zablokować taką możliwość, rząd RP 6 kwietnia podał do wiadomości publicznej informację o podjęciu rozmów z Rosjanami i zaginięciu polskiej delegacji.

7 kwietnia ambasador Clark Kerr rozmawiał z Andriejem Wyszynskim, zastępcą Mołotowa. Dwa dni później indagował go w sprawie Polaków ambasador USA William Averell Harriman, który usłyszał, że Polacy wymyślili całą sprawę. 11 kwietnia Clark Kerr otrzymał oficjalną odpowiedź na swą notę z 4 kwietnia. Stwierdzono w niej, że sowieckie władze wojskowe nie otrzymały zaleceń co do prowadzenia jakichkolwiek rokowań z przedstawicielami rządu RP w Polsce. Dodano enigmatycznie, że jest prowadzone dochodzenie w sprawie kilku „wymienionych w Pana liście agentów londyńskiego rządu emigracyjnego, o których aresztowaniu Pan pisze”.

Po tej odpowiedzi Kremla – chociaż Sowieci uparcie twierdzili, że los delegacji nie jest im znany – nie można było mieć żadnych złudzeń. Ale Brytyjczycy,

nie chcąc nagłaśniać sprawy, zataili przed polskim rządem i opinią publiczną stanowisko Mołotowa.

20 kwietnia z apelem o pomoc w wyjaśnieniu losów polskich działaczy podziemnych zwrócił się do prezydenta USA Harry'ego Trumana prezydent Władysław Raczkiewicz, a 25 kwietnia Rada Jedności Narodowej wystąpiła w tej sprawie do uczestników konferencji założycielskiej Organizacji Narodów Zjednoczonych w San Francisco. 27 kwietnia polski szef dyplomacji Adam Tarnowski zaapelował do brytyjskiego ministra Anthony'ego Edena i sekretarza stanu USA Edwarda R. Stettinius o interwencję w sprawie zatrzymania przez Sowieców przywódców Polskiego Państwa Podziemnego. 28 kwietnia brytyjski premier Winston Churchill pytał Stalina o los przywódców polskiego podziemia.

2 maja w sprawie braku odpowiedzi od rządu sowieckiego na temat losu Polaków interpelowali u ministra spraw zagranicznych posłowie w Izbie Gmin. Odpowiadający w jego imieniu Richard K. Law oświadczył: „Ambasada Jego Królewskiej Mości w Moskwie nie otrzymała żadnych informacji w odpowiedzi na swe liczne zapytania. Przykro mi, ale nie mogę dać Izbie żadnych zapewnień o bezpieczeństwie osób wymienionych w interpelacjach”.

Wyniki działań dyplomatycznych rozczarowywały. Korboński zapisał w swych wspomnieniach: „Wszyscy z napięciem i nadzieją oczekiwali na reakcję aliantów. Przyszła, ale jakże słabsza i bez widoków na dobry skutek. Miejsce podniecenia i oczekiwania zaczęło zajmować rozczarowanie i bezgraniczne przygnębienie”.

Świat się dowiedział, nic nie powiedział

Aresztowanie Szesnastu Sowieci utrzymywali w tajemnicy aż do 3 maja 1945 r., kiedy to Mołotow w San Francisco publicznie potwierdził ten fakt. Dzień później Stettinius i ambasador Harriman dowiedzieli się w rozmowie z Mołotowem, że szesnastu Polaków zatrzymanych przez władze sowieckie jest oskarżonych o działalność przeciwko Armii Czerwonej i wkrótce staną oni przed sądem. Tego samego dnia Stalin, odpowiadając na list Churchilla z 28 kwietnia, potwierdził aresztowanie Polaków.

Wiadomość o ich zatrzymaniu pod zarzutem prowadzenia działań dywersyjnych na zapleczu Armii Czerwonej została podana do wiadomości publicznej 5 maja 1945 r. Tego samego dnia Eden i Stettinius powiadomili Mołotowa o zawieszeniu rozmów

w sprawach polskich. Były to jednak tylko puste deklaracje. Ani Brytyjczycy, ani Amerykanie nie przewidywali podjęcia jakichkolwiek działań w obronie uwięzionych przywódców Polskiego Państwa Podziemnego. Jedynym wytłumaczeniem jest to, że sowieckie kłamstwa były aliantom na rękę. Pozwalały zachować wobec rządu RP wszelkie pozory „troski” o sprawy polskiego sojusznika. Brak stanowczej



Archibald Clark Kerr (w środku), lipiec 1945. Fot. Wikimedia Commons

reakcji mocarstw zachodnich utwierdził Stalina w przekonaniu, że kwestię realizacji uchwał jałtańskich będzie mógł rozegrać według własnego scenariusza.

21 maja na łamach „The Times” ukazała się wypowiedź Stalina w sprawie Szesnastu, udzielona moskiewskiemu korespondentowi dzienników „The Times” i „The New York Times”. Stalin mówił m.in.: „Aresztowanie w Polsce 16 Polaków, ze znanym dywersantem gen. Okulickim na czele, nie ma żadnego związku ze sprawą rekonstrukcji Rządu Tymczasowego. [...] Nieprawdą jest, jakoby aresztowani Polacy zaproszeni zostali do prowadzenia rokowań z władzami radzieckimi. Władze radzieckie nie prowadzą rokowań z osobami, które naruszają ustawę o ochronie zaplecza Armii Czerwonej”.

Stalin jasno dawał do zrozumienia, że jest gotów kontynuować rozmowy w sprawach polskich, ale na swoich warunkach. 25 maja w Moskwie zjawił się Harry Hopkins, wysłannik Trumana. W trakcie rozmów ze Stalinem zapytał o aresztowanych. Ten poinformował go, że będą sądzeni, ale wyroki nie będą surowe. Po tej rozmowie w depeszy do Trumana Hopkins napisał, że nie ma potrzeby uzależniania rozmów na temat nowego rządu polskiego od sprawy Szesnastu.

Mikołajczyk, główny kandydat do konsultacji moskiewskich, początkowo uzależniał swój udział w nich m.in. od zwolnienia uwięzionych przywódców Polskiego Państwa Podziemnego. Dał się jednak przekonać Churchillowi i 16 czerwca odleciał

do Moskwy. Dwa dni wcześniej został podpisany protokół zakończenia śledztwa w sprawie szesnastu przywódców Polski Podziemnej i sporządzony akt oskarżenia.

16 czerwca 1945 r. prezydent Raczkiewicz wysłał do Trumana i Churchilla depeszę z prośbą o użycie wpływu aliantów w celu niedopuszczenia do poniżającego procesu i zwolnienia aresztowanych. W aktach Foreign Office jest kompromitujący projekt odpowiedzi, która nie została już wysłana, gdyż 5 lipca 1945 r. Wielka Brytania wycofała uznanie dyplomatyczne dla rządu RP. W piśmie argumentowano, że wobec poważnych zarzutów postawionych aresztowanym nie można domagać się ich zwolnienia przed rozprawą sądową.

Cel Stalina

18 czerwca przed Kolegium Wojskowym Sądu Najwyższego ZSRS w Moskwie rozpoczął się proces Szesnastu. Sądowi przewodniczył gen. Wasilij Ulrich, znany z pokazowych procesów politycznych z lat trzydziestych. Jako oskarżyciele państwowi wystąpili gen. mjr służby sprawiedliwości ZSRS Nikołaj Afanasjew i radca państwowy służby sprawiedliwości Roman Rudenko. Do obrony zostali powołani adwokat Iwan Braude i inni członkowie Moskiewskiego Kolegium Adwokatów. Ambasady oraz prasa USA i Wielkiej Brytanii miały wolny wstęp na salę sądową. Dyplomaci alianccy nie przyszli jednak na proces. Wybierał się Clark Kerr, ale Amerykanin Harriman odradził mu udział, argumentując, że mogłoby się to nie spodobać Stalinowi.

Pokazowa rozprawa, o której polska prasa w Londynie pisała, że to „proces nad przedstawicielami prawowitych władz Polskiego Państwa Podziemnego”, odbyła się w Domu Związków Zawodowych, miejscu znanym z tego, że to właśnie tu toczyły się wcześniej m.in. procesy przywódców komunistycznych zamordowanych na rozkaz Stalina (Nikołaja Bucharina, Lwa Kamieniewa). Proces nieprzypadkowo odbywał się w czasie konsultacji w sprawie utworzenia Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej. Był brutalną formą nacisku, która miała pomóc w przeforsowaniu stalinowskiej wizji powojennej Polski. Proces miał skompromitować w oczach opinii międzynarodowej zarówno kierownictwo Polski Podziemnej, jak i Polaków sprzeciwiających się narzuceniu sowieckiej dominacji.

Akt oskarżenia zarzucał Okulickiemu, Jankowskiemu, Bieniowi i Jasiukowiczowi udział w „nielegalnej AK”, „nielegalnej Radzie Ministrów” i „nielegalnej Radzie Jedności Narodowej”, organizowanie podziemia na Zachodniej Białorusi, Ukrainie,

a także na Litwie i w Polsce oraz kierowanie nim według instrukcji „polskiego rządu emigracyjnego”. Pozostałym zarzucono udział w „wywrotowej robocie” polskich organizacji podziemnych na terytorium wyzwolonym przez Armię Czerwoną.

Bezprawny i pokazowy proces polityczny, tzw. proces Szesnastu (właściwie piętnastu, bo szesnastego oskarżonego, Antoniego Pajdaka, skazano w listopadzie 1945 r. w osobnym, tajnym procesie), toczący się przy kompromitującej milczącej aprobacie Zachodu, zakończył się ogłoszeniem wyroku 21 czerwca. Proces moskiewski przywódców Polskiego Państwa Podziemnego, najdobitniejszy znak zniewolenia Polski przez Sowietów, miał pokazać światu, kto jest faktycznym panem nad Wisłą. Drugoplanowym celem miało być zdyskredytowanie Mikołajczyka. Nie było przypadku w tym, że w dniu, gdy sowiecki sąd wydawał wyrok na przywódców Polskiego Państwa Podziemnego, został podany do wiadomości publicznej komunikat o porozumieniu moskiewskim w sprawie Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej, do którego Mikołajczyk wszedł jako wicepremier.

Podczas narady u Stalina 12 czerwca 1945 r., na której reżyserowano proces, Stalin, jak napisał w swoich wspomnieniach Afanasjew, stwierdził wprost: „Nie chodzi w ostatecznym rozrachunku o Okulickiego i jego emisariuszy, lecz

» **Proces moskiewski przywódców Polskiego Państwa Podziemnego, najdobitniejszy znak zniewolenia Polski przez Sowietów, miał pokazać światu, kto jest faktycznym panem nad Wisłą.** »

o to, że trzeba wytrącić wszystkie atuty z rąk Churchilla i nie dopuścić do zainstalowania reżimu Mikołajczyka w Polsce, człowieka wro-

go nastawionego do Związku Sowieckiego. W Polsce powinien być Rząd Ludowy – a Churchill ciągle swoje, chce poprzedniego rządu na czele z Mikołajczykiem. Nie możemy do tego dopuścić, dlatego Mikołajczyka i jego bandę trzeba zdemaskować przed ludźmi i zdyskredytować tak, żeby wszyscy, a w pierwszej kolejności Churchill, zrozumieli, że Mikołajczyka i jego kompanii w Polsce nie będzie”.

Zgoda na bezprawie

Sowiecki trybunał wojskowy skazał gen. Okulickiego na 10 lat więzienia, Jan-kowskiego – na 8 lat, Bienia i Jasiukowicza – na 5 lat, Pużaka – 18 miesięcy, Bagińskiego – rok, Zwierzyńskiego – 8 miesięcy, Czarnowskiego – pół roku,



a Chacińskiego, Mierzwę, Stypułkowskiego i Urbańskiego – 4 miesiące. Uniewinnieni zostali Kobyłański, Michałowski i Stemler-Dąbski.

Spośród skazanych trzech zmarło lub zostało zamordowanych w sowieckich więzieniach: gen. Okulicki w moskiewskich Butyrkach 24 grudnia 1946 r., Jankowski 13 marca 1953 r. we Włodzimierzu nad Kłazmą, a Jasiukowicz 22 października 1946 r. w butyrskim szpitalu więziennym. Pozostali powrócili do Polski w 1945 r. (poza Bieniem, zwolnionym w 1949 r.).

Po latach lord Nicholas Bethell napisał, że wyrok w sprawie przywódców Polskiego Państwa Podziemnego wywołał na Zachodzie powszechne odczucie ulgi i zachwytu, uznano bowiem, iż skazani: „Odsiedzą w jednym z więzień Stalina tylko parę lat – niedogodność, o którą nie bardzo warto robić dużego hałasu”.

Moskiewska „Prawda” 22 czerwca 1945 r. donosiła: „Naród radziecki przywitał z zadowoleniem wyrok radzieckiego sądu, wyrok w równej mierze sprawiedliwy jak wielkoduszny. [...] Nie może ulegać wątpliwości, że również koła postępowe całego świata przywitają z zadowoleniem ten wyrok, ponieważ cios wymierzony polskiemu ruchowi nielegalnemu jest ciosem wymierzonym planom i zamiarom wszystkich wrogów pokoju między narodami, wrogów powszechnego bezpieczeństwa”.

Ambasador brytyjski informował Churchilla, że proces był wymierzony przeciwko rządowi polskiemu w Londynie, i z zadowoleniem stwierdzał, że przewód sądowy nie stawiał żadnych zarzutów władzom Zjednoczonego Królestwa oraz że nie wpłynął ujemnie na moskiewskie konsultacje w sprawie utworzenia nowego rządu polskiego. W liście do ambasadora z 22 czerwca Churchill pisał: „Nie mogę

tak spokojnie jak Pan oceniać bardzo wysokich wyroków na Okulickiego i innych. Nie mogę się także zgodzić z Pana konkluzją, że możemy być zupełnie zadowoleni ze sposobu prowadzenia procesu. Losy tych ludzi, którzy zostali skazani na długoletnie więzienie, nie mogą być sprawą obojętną dla rządu Jego Królewskiej Mości”.

Za tą wypowiedzią nie poszły żadne działania. Natomiast tego samego dnia londyński „The Times” zamieścił haniebny komentarz do wyroku: „Nie ma w tych zeznaniach nic, co by zdziwiło tych, którzy śledzili z niepokojem coraz wyraźniej antysowiecką działalność polskich agentów tutaj [tj. w Wielkiej Brytanii] i za granicą w ciągu ostatnich dwunastu miesięcy”.

1 lipca 1945 r. podziemna Rada Jedności Narodowej wydała odezwę do Polaków, w której protestowano przeciwko postawieniu przed moskiewskim sądem przywódców Polski Podziemnej: „Przed sądem w Moskwie stanęli najlepsi synowie Polski, którzy przez 5 lat z największym poświęceniem, z bohaterskim narażeniem życia kierowali nieugiętą walką Narodu przeciwko hitleryzmowi [...]. Cały naród jednoczy się duchowo w obliczu przeżywanej tragedii i okrywa żałobą”.

Ostatnią próbą interwencji w sprawie Szesnastu było wystąpienie nowego premiera Wielkiej Brytanii Clementa R. Attlee na konferencji w Poczdamie. Wykrętniej i ogólnikowej odpowiedzi udzielił Mołotow, stwierdzając, że niektórzy oskarżeni wrócili już do Polski, a inni może zostaną zwolnieni. To wystąpienie zakończyło zainteresowanie Brytyjczyków i Amerykanów sprawą przywódców polskich uwięzionych przez Stalina.

Stanowisko niedawnych aliantów gorzko skomentował 22 czerwca 1945 r., w nowojorskim „Nowym Świecie”, Ignacy Matuszewski, pisząc: „Zbrodnia dokonywana w tej chwili w Moskwie nad Rządem podziemnym Państwa Polskiego jest zbrodnią straszliwszą w swoich skutkach niż wszystko, czego świadkami byliśmy dotychczas. [...] W ciągu tych pięciu lat widzieliśmy więcej zapewne rzeczy straszliwych niż w ciągu pięciu poprzednich wieków. Zabito miliony bezbronnych i niewinnych. [...] Ale [...] tamte morderstwa świat potępiał, temu ma przyklasnąć; tamtych zabójców nazywał zbrodniarzami, z tymi ma żyć w przyjaźni”.



Andrzej Chmielarz (ur. 1950) – historyk wojskowości, dr, pracownik Wojskowego Centrum Edukacji Obywatelskiej w Warszawie. Autor książek: (z A.K. Kunertem i E. Piontkiem) *Proces moskiewski przywódców Polskiego Państwa Podziemnego* (2000); *Polskie Państwo Podziemne* (2007); (z G. Jasińskim) *Armia Krajowa 1939–1945* (2011); (z W. Rawskim) *Śladami Marszałka Józefa Piłsudskiego. Przewodnik historyczny*, cz. 1–2 (2017–2018) i in.



Paweł Naleźniak

Czym był koniec wojny dla Lwowa?

Kresowy Lwów w 1944 r. był – wraz z zachodnim Wołyniem i Wilnem – jednym z trzech miejsc, w których Armia Krajowa najsilniej zaakcentowała swój udział w walkach z Niemcami w ramach akcji „Burza”. Jej żołnierze samodzielnie lub wspólnie z Armią Czerwoną oczyścili z nieprzyjaciela całe dzielnice miasta, zabezpieczając przed zniszczeniem wiele ważnych obiektów. Tygodniowe zmagania, które stanowiły swoisty plebiscyt na rzecz przynależności Lwowa do Rzeczypospolitej, zostały okupione ofiarą ponad dwustu rannych i zabitych żołnierzy. Wszystko to w ostatecznym rozrachunku okazało się daremne.

Pomnik Adama Mickiewicza na pl. Mariackim we Lwowie, 1944 r.

Fot. Arkadij Szajchet / photo-lviv.in.ua

O tym, że stolica Małopolski Wschodniej znajdzie się w granicach ZSRS, przywódcy Wielkiej Trójki zdecydowali już jesienią 1943 r. na konferencji w Teheranie. Polityczny interes mocarstw zachodnich, tj. chęć wciągnięcia Sowietów do wojny z Japonią, okazał się o wiele ważniejszy niż „pretensje małego alianta”, dążącego do zachowania swej integralności terytorialnej.

Kiedy w lipcu 1944 r. rozpoczęła się lwowska „Burza”, stosunki polityczne między Rzeczpospolitą Polską a ZSRS od ponad roku były zerwane. Żołnierze AK, niezorientowani w decyzjach teherańskich, z entuzjazmem przystąpili do walki z Niemcami. Przejmowanie przez nich kontroli nad kolejnymi dzielnicami miasta zostało z radością przyjęte również przez ludność cywilną, która dekorowała je flagami narodowymi. W tym czasie stosunki z Armią Czerwoną były jeszcze dobre: sowieccy czołgiści chętnie współdziałali z AK-owcami znajdującymi miasto, uzgadniano przebieg dalszych działań, jednym słowem wspólnie opłacano krwią wolność, która miała nie nadejść. Jednocześnie w Moskwie, co utajono, zostało podpisane porozumienie graniczne między rządem ZSRS a przedstawicielami marionetkowego Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego, który rzekł się połowy przedwojennego terytorium Rzeczypospolitej, w tym także Lwowa – miasta od przeszło sześciuset lat związanego z Polską.

Umowa ta była całkowicie bezprawna, ale jej skutki okazały się dalekosiężne. Uzupełniły ją porozumienia z republikami sowieckimi: litewską, białoruską i ukraińską o „wymianie ludności”. We Lwowie miała się ona rozpocząć 15 października 1944 r. Przewidziano „dobrowolny” exodus do Polski wszystkich, którzy mogli udowodnić swe polskie obywatelstwo i zamierzali zgłosić chęć wyjazdu. Rejestracja miała się zakończyć 31 grudnia 1944 r., a sama „repatriacja” – bo tak określono wysiedlanie Polaków – do 1 kwietnia 1945 r.¹ Czas pokazał, że w mieście nad Pełtwią żaden z tych terminów nie został dotrzymany.

Gdy we Lwowie trwały wciąż walki z Niemcami, Sowietci zaczęli ujawniać swe prawdziwe oblicze. Wprawdzie jeszcze 25 lipca na spotkaniu z gen. Władysławem Filipkowskim „generał Iwanow” (faktycznie Siergiej Szatilow)² wyraził zgodę na

¹ D. Markowski, *Anatomia strachu. Sowietyzacja obrwodu lwowskiego 1944–1953. Studium zmian polityczno-gospodarczych*, Warszawa 2018, s. 173–175.

² G. Mazur, J. Skwara, J. Węgiński, *Kronika 2350 dni wojny i okupacji Lwowa 1 IX 1939 – 5 II 1946*, Katowice 2007, s. 502.

sformowanie 5. Dywizji Piechoty, ale już dwa dni później zażądał, by oddziały AK w ciągu sześciu godzin złożyły broń. Nie mając wyjścia, polski dowódca podjął decyzję o rozwiązaniu podległych sobie jednostek i wydał pożegnalny rozkaz do żołnierzy. Szef lwowskiego NKWD gen. Jewgienij Gruszko oświadczył Polakom bez ogródek: „Tu sowiecka ziemia i sowiecki naród, nie macie co tu szukać”³. Niespodziewającym się jeszcze podstępem najwyższym rangą oficerom lwowskiej AK zaproponowano rozmowy z gen. Michałem Rolą-Żymierskim – nowo mianowanym Naczelnym Dowódcą Wojska Polskiego, podporządkowanego Sowietom. 31 lipca 1944 r. wylecieli samolotem do Żytomierza, gdzie kilka dni później zostali uwięzieni.

Koniec polskiej konspiracji

NKWD przystąpiło do rozbicia struktur lwowskiego podziemia, by ułatwić sobie przyszłą sowietyzację miasta. Jeszcze tego samego dnia wieczorem pod hasłem organizacji 5. Dywizji Piechoty zwołano odprawę dla pozostałych w mieście wyższych oficerów AK (komendantów dzielnic, ich zastępców, dowódców kompanii i zgrupowań). W domu przy ul. Kochanowskiego 27, w którym w czasie „Burzy” mieściła się komenda AK, stało się 25–30 osób. Rozpoczęcie spotkania się opóźniało, a Sowietci poinformowali zebranych, że „generał Iwanow” jest zajęty i zaprasza wszystkich do siebie. Podstawionymi samochodami przetransportowano Polaków do pałacu Biesiadeckich. Tam zostali rozbrojeni, a następnie przewieziono ich do więzienia przy ul. Łąckiego. Tego samego dnia o 23.00 aresztowano okręgowego delegata Rządu RP Adama Ostrowskiego. NKWD urządziło kocioł w budynku komendy AK i wyłapywało kierujących się tam Polaków.

Odtąd nie było już dnia bez aresztowań, a potem wywozek w głąb ZSRS. Na skutek donosów represje zaczęły dotyczyć nie tylko żołnierzy podziemia, lecz także osoby zupełnie z nim niezwiązane. W czasie rewizji enkawudziści dopuszczali się rabunków mieszkań. W mieście organizowano łapanki młodych mężczyzn, których wcielano do Armii Czerwonej i Ludowego Wojska Polskiego.

Sowietci stali na gruncie legalności swych zaborów dokonanych jeszcze w 1939 r. Świadczy o tym wydany 27 lipca 1944 r. Rozkaz nr 1 dla garnizonu miasta Lwowa, w którym dowództwo Armii Czerwonej informowało ludność

³ J. Węgiński, *W lwowskiej Armii Krajowej*, Warszawa 1989, s. 240.



Sowietci na ul. Ludwika Kubali we Lwowie, obecnie ul. Romana Szuchewycza, lipiec 1944 r. Fot. Arkadij Szajchet / photo-lviv.in.ua

o wyzwoleniu miasta spod niemieckiej okupacji oraz „jego powrocie do rodziny narodów sowieckich”. Nieprzyjemna dla Sowietów musiała być zatem sytuacja, do której doszło trzy dni później na wyreżyserowanym wiecu przed Teatrem Wielkim z udziałem I sekretarza Komitetu Centralnego Komunistycznej Partii Ukrainy Nikity Chruszczowa oraz dowódcy 1. Frontu Ukraińskiego marsz. Iwana Koniewa. Niespodziewanie Polacy zaintonowali hymn narodowy i wzniesli okrzyki: „Niech żyje polski Lwów!, Lwów!, Lwów do Polski!, Polski Lwów!”⁴.

Co warto podkreślić, Lwów był wtedy najbardziej polskim miastem w swej historii. Potwierdzała to sowiecka statystyka, według której 1 października 1944 r. miały tu mieszkać 154 284 osoby, z czego 102 983 stanowili Polacy (66,7 proc.), 40 743 Ukraińcy (26,4 proc.), 8426 Rosjanie (5,5 proc.) i 1689 Żydzi (1,1 proc.)⁵. Miałoby to znaczenie, gdyby o przynależności państwowej miasta decydował plebiscyt.

⁴ *Ibidem*, s. 241–242.

⁵ G. Hryciuk, „Sprawa Lwowa właściwie wciąż otwarta”. *Między nadzieją a zwątpieniem – Polacy we Lwowie w 1945 r.*, [w:] „Dzieje Najnowsze” 2005, nr 4, s. 116.

Lwów wciąż biało-czerwony

Okupanci rozumieli, że bez zmiany struktury narodowościowej miasta nie może być mowy o jego sowietyzacji. Za pomocą specjalnie organizowanych transportów kolejowych i samochodowych zaczęli ściągać do Lwowa dziesiątki tysięcy ludzi z odległych obszarów ZSRS. O intensywności i pośpiechu, z jakimi prowadzono tę akcję, świadczy to, że przysyłano gotowe „piony” władz, biur, urzędów, a nawet placówek kulturalnych. W efekcie w ciągu zaledwie miesiąca liczba mieszkańców Lwowa wzrosła o ok. 80 tys. Według szacunków sowieckich, 1 listopada 1944 r. Lwów liczył już 244 285 mieszkańców, w tym 112 413 Polaków, czyli 46 proc. ogółu⁶. W ten sposób w sprawie przyszłości miasta Sowietci wytręcali Polakom ważny argument.

Istotną rolę w dziele zasiedlania metropolii nad Pełtwią odegrała też Uchwała Komitetu Wykonawczego Lwowskiej Obwodowej Rady Delegatów Robotniczych z 20 września 1944 r., nakazująca przeprowadzenie w całym obwodzie lwowskim inwentaryzacji i szacunku powierzchni domów⁷. Co istotne, jako punkt wyjścia przyjęto stosunki własnościowe według stanu na 22 czerwca 1941 r., uznając wszelkie zmiany, jakie zaszły do tego czasu, za nieodwracalne. Za należące do państwa uznano również posiadłości tych osób, które ewakuowały się z Niemcami. Inwentaryzacja stała się wstępem do zasiedlania przez obywateli sowieckich mieszkań

Tragizm sowieckiej okupacji z lat 1939–1941 spowodował, że większość lwowian w ostateczności przeniosła się na Ziemie Zachodnie, choć oznaczało to utratę dorobku życia i ogromną traumę. Tylko taki wybór umożliwił dalsze życie w Polsce i wśród rodaków.

należących do Polaków (deportowanych w głąb ZSRS lub tych, którzy zapisali się już na wyjazd) i przejmowania ich mienia. Na jej

podstawie prowadzono też „dosiedlanie” zbyt dużych lokali. Najważniejszą rolę w dziele depolonizacji miasta miała jednak odegrać zapowiedziana tzw. repatriacja Polaków. W teorii dobrowolna, dla większości lwowian była alternatywą bez wyboru. Tragizm sowieckiej okupacji z lat 1939–1941 spowodował, że większość

⁶ S. Makarczuk, *Ewakuacja polaków z Lwowa u 1944–1946 r.*, [w:] *Lwów. Miasto–społeczeństwo–kultura*, t. 4, red. K. Karolczak, Kraków 2002, s. 401.

⁷ „Czerwony Sztandar” [Lwów] 1944, nr 31, s. 2.

mieszkańców miasta przeniosła się na Ziemię Zachodnie, choć oznaczało to utratę dorobku życia i ogromną traumę. Tylko taki wybór umożliwiał dalsze życie w Polsce i wśród rodaków. Do ekspatriacji bardzo skutecznie „motywowały” sowiecki terror i ustawiczne „perewirki” – czyli nocne sprawdzanie dokumentów i liczby osób przebywających w domach i kamienicach. Wielu lwowian do wyjazdu zmusiły tzw. nakazy, na podstawie których sowieckim przybyszom przydzielano ich mieszkania. Propaganda sowiecka naciskała coraz bardziej na Polaków, aby opuszczali „Zachodnią Ukrainę”. Nie lada problemem było też fatalne zaopatrzenie miasta, w którym nadal utrzymywano kartkowy system racjonowania żywności.

Rząd Rzeczypospolitej Polskiej, świadom nieodwracalności sytuacji, podjął próbę uratowania dla Polski przynajmniej części Kresów w bezpośrednich rozmowach z Sowietami. Premier Stanisław Mikołajczyk, przewodniczący Rady Narodowej RP Stanisław Grabski oraz minister spraw zagranicznych Tadeusz Romer dwukrotnie, w sierpniu i październiku 1944 r., przebywali w Moskwie i usiłowali przekonać Józefa Stalina do pozostawienia Lwowa Polsce. Dyktator dał im jednak do zrozumienia, że waży się niepodległość państwa polskiego. Pozycja negocjacyjna Polaków była słaba, ponieważ sowiecki punkt widzenia w sporze granicznym przyjęli również Brytyjczycy.

Podczas drugiej wizyty w stolicy ZSRS polską delegację poddano już brutalnemu naciskowi, aby bez żadnych warunków zgodziła się na linię Curzona, tj. rozgraniczenie pozostawiające Lwów po stronie sowieckiej. Polscy politycy oparli się jednak presji, godząc się jedynie na potraktowanie tej linii jako granicy tymczasowej. Ze względu na dużą rozbieżność stanowisk rozmowy zakończyły się fiaskiem.

W tym czasie lwowianie demonstrowali swą polskość – okazją ku temu stały się obchody uroczystości Wszystkich Świętych na cmentarzu Obrońców Lwowa. Na terenie nekropolii pojawiły się hasła: „Nie oddamy Lwowa ZSRR!”, „Chwała bohaterom za polski Lwów!” oraz mapa Polski w granicach sprzed 1939 r. z podpisem: „Co wróg zabrał siłą – szablą odbierzemy!”. Zebrani śpiewali hymn Polski i inne pieśni patriotyczne oraz wznosili okrzyki: „Niech żyje Polska!”, „Niech żyje Armia Krajowa!”, „Śmierć bolszewikom!” itp.⁸ Możliwe, że te ostatnie były sowiecką prowokacją. Aktywność podziemia wzbudziła jednak czujność władz okupacyjnych, które obawiały się, że 11 listopada wybuchnie we Lwowie polskie powstanie.

⁸ P. Mitzner, „Oczyścić Lwów”, [w:] „Karta” 1995, nr 17, s. 137.

Manifestacyjnie polski charakter miał też pogrzeb rzymskokatolickiego metropolity Lwowa Bolesława Twardowskiego, zmarłego 22 listopada 1944 r. Arcybiskupa na trasie ostatniej drogi z katedry łańciskiej do kościoła Matki Bożej Ostrobramskiej na Górnym Łyczakowie żegnało spokojnie i w skupieniu ok. 100 tys. osób. Władze, obawiając się antysowieckich wystąpień, obstawiły kondukt tysiącami żołnierzy z bronią, a na skrzyżowaniach postawiły czołgi⁹.

W tym czasie wielu lwowian nadal żywiło nadzieję, że decyzją przyszłej konferencji pokojowej miasto pozostanie przy Polsce. Dlatego też liczby rejestrujących się i tych, którzy wyjeżdżali ze Lwowa, były znikome.

6 grudnia 1944 r. gen. Iwan Hruszecki (Gruszecki) przekazał polskiej inteligencji następujące ostrzeżenie: „Ludność polska [...] powinna zrozumieć, że Lwów był, jest i będzie miastem sowieckim, a jeśli tak, to i porządki we Lwowie będą sowieckie. Będziemy je z całą siłą sowieckiej praworządności wprowadzać w życie. Nie będziemy prowadzić polityki kokietowania [z] lat 1939–1940, a to znaczy, że w stosunku do ludności polskiej jako obywateli Związku Sowieckiego będziemy stosowali wszystkie nasze środki bez jakichkolwiek modyfikacji, wszystkie sowieckie prawa powinny być dla nich obowiązującymi”¹⁰. Zwolennikiem szybkiej depolonizacji miasta był zwłaszcza Chruszczow. Jeszcze w tym samym miesiącu zmieniono nazwy 63 ulic na sowieckie lub ukraińskie¹¹. Zniesiono też wszystkie przedwojenne święta religijne i narodowe oraz zakazano ich obchodów. Wprowadzono za to takie, jak: Nowy Rok, Dzień Armii Sowieckiej (23 lutego), Dzień Kobiet (8 marca), Dzień Urodzin Lenina (22 kwietnia), Dzień Zwycięstwa (9 maja), Święto Wielkiej Rewolucji Październikowej (7–8 listopada), Dzień Konstytucji Stalinowskiej (5 grudnia), Dzień Powstania ZSRS (30 grudnia). Obchodzono też, tak jak w II Rzeczypospolitej, Święto Pracy, nazywane Międzynarodowym Dniem Ludzi Pracy¹². Już wcześniej

⁹ S. Bizuń, *Historia krzyżem znaczone*, Lublin 1993, s. 244–245; R. Terlecki, *Wielki wygnaniec*, [w:] *Kościół w godzinie próby*, Kraków 2006, s. 31.

¹⁰ *Kultarne žyttia w Ukraini. Zachidni zemli. Dokumenty i materialy*, t. 1: 1939–1953, Kyjiv 1995, s. 231–232.

¹¹ D. Markowski, „Odwieczne ukraińskie miasto”... *Sowiecka polityka pamięci wobec Lwowa i okolic w okresie późnego stalinizmu (1944–1953). Miejscowości, ulice, upamiętnienia*, „Przyszłość i Pamięć” 2013, nr 42, s. 193–194.

¹² A. Matyukhina, *W sowieckim Lwowie. Życie codzienne miasta w latach 1944–1990*, Kraków 2000, s. 25.



Piechota sowiecka wkracza do Lwowa; ul. Gródecka, 1944 r. Fot. Arkadij Szajchet / Wikimedia Commons

usunięto religię ze szkół. Zapadła również decyzja o przeprowadzeniu masowej operacji aresztowań „polskiego elementu nacjonalistycznego i antysowieckiego”. Zamierzano przy tym uderzyć nie tylko w polskie podziemie, lecz także w elity intelektualne opierające się ekspatriacji.

Operacja rozpoczęła się nocą z 3 na 4 stycznia 1945 r. i trwała do wczesnej wiosny tegoż roku. W samym Lwowie aresztowano ok. 3 tys. ludzi¹³. Wśród nich byli profesorowie, inżynierowie, technicy, lekarze, artyści, księża, urzędnicy i osoby powiązane z AK. Większość wywieziono potem do obozów filtracyjnych w Krasnodonie i Kamieńsku Górniczym nad Donem. W tym samym miesiącu we Lwowie odbył się pokazowy proces przedstawicieli lwowskiej Delegatury Rządu RP na Kraj. Jej członkowie zostali skazani na długoletni pobyt w łagrach.

Sowieci dopięli swego – liczba rodzin polskich rejestrujących się na wyjazd gwałtownie wzrosła. Na razie jednak nie było ich dokąd przesiedlić, ponieważ granice Polski nie były wyznaczone, a tereny, które miały wkrótce jej przypaść, były wciąż zajmowane przez Wehrmacht.

¹³ G. Hryciuk, „Sprawa Lwowa właściwie wciąż otwarta”..., s. 119.



Dzieci ukraińskie podczas wiecej poparcia dla Armii Czerwonej, Lwów, 1944 r. Fot. Arkadij Szajchet / photo-lviv.in.ua

Lwów coraz bardziej sowiecki

Tymczasem atmosfera w mieście stawała się coraz bardziej nie do zniesienia. Dochodziło do zabójstw, rabunków i gwałtów. Przybysze ze wschodu drogą samosądów wymuszali na polskich mieszkańcach, by ci opuszczali miejsca zamieszkania. Stanisław Nicieja przywołuje wstrząsającą relację Mikołaja Kwociniewskiego:

„Pod koniec marca 1945 roku matka moja, Helena Kwociniewska, została w okrutny sposób zamordowana (przez poderżnięcie gardła brzytwą) przez sublokatorkę Rosjankę. Manifestacyjny pogrzeb na cmentarzu Łyczakowskim urządzili miejscowi żołnierze Armii Krajowej, traktując ten mord jako prowokację polityczną mającą na celu zastraszenie Polaków. Po pewnym czasie morderczyni została zwolniona z aresztu. Chodziła swobodnie po ulicy Tarnowskiego, wstępując nawet do domu nr 14, w którym mieszkała moja rodzina. Odgrażała się, że jeśli Polacy nie wyjadą, spotka ich podobny los jak moją matkę. To poskutkowało. Kilkanaście osób z tej samej ulicy zgłosiło się do wyjazdu jeszcze w tym samym dniu”¹⁴.

¹⁴ S.S. Nicieja, *Cmentarz Obrońców Lwowa*, Wrocław–Warszawa–Kraków 1990, s. 121.



Dowództwo 1. Frontu Ukraińskiego na trybunie przed gmachem opery we Lwowie; Iwan Hruszczyk (trzeci od lewej), Nikita Chruszczow (czwarty od lewej), Iwan Koniew (trzeci od prawej), Siergiej Szatilow (drugi od prawej), Jewgienij Gruszko (pierwszy od prawej), lipiec 1944 r. Fot. Arkadij Szajchet / russiainphoto.ru

Dramatyczne obniżenie warunków bezpieczeństwa dostrzegali również przybysze. Sowiecki major, niejaki Kotlarow, tak opisał marcowy wieczór 1945 r.: „[...] koło hotelu »Inturist« zobaczyłem awanturę wojskowych z przekleństwami, taki sam obraz był na ulicy Wałowej, dom nr 11. Przychodząc z powrotem do domu, usłyszałem krzyki ze strzelaniną na ul. Mickiewicza, a na naszej ulicy w domu nr 5 krzyk »ratujcie, grabią« [...]. W mieście dzieje się coś strasznego, wieczorem przestałem chodzić do pracy, a jeśli idę, to zostaję tam na nocleg. Wszędzie strzelanina, przekleństwa, grabieże, zabójstwa i tym zajmują się nasi wojskowi ludzie (lub pod marką wojskowych). Miasto [jest] sterroryzowane”¹⁵.

Wielu lwowian nadal jednak żywiło nadzieję, że Sowieci uda się jakoś przecze-kać, tym bardziej że na rozmaitych płaszczyznach miasto wciąż tętniło polskim życiem. Przykładowo w roku szkolnym 1944/1945 funkcjonowało czterdzieści polskojęzycz-

¹⁵ G. Hryciuk, „Sprawa Lwowa właściwie wciąż otwarta”..., s. 134.

nych szkół powszechnych i średnich¹⁶, a na wyższych uczelniach większość kadry naukowej stanowili Polacy. Mimo aresztowań i utraty dużej części uzbrojenia Armia Krajowa, a po jej rozwiązaniu organizacja „NIE” kontynuowała działalność. Oddziały AK/NIE zdobywały broń i pieniądze, karały śmiercią szczególnie szkodliwych funkcjonariuszy sowieckich, ich agentów i popleczników. Głośnym echem odbiła się zwłaszcza likwidacja doc. Zdzisława Bielińskiego, gorliwie wysługującego się nowej władzy wiceprzewodniczącego miejscowego oddziału Związku Patriotów Polskich, i doc. Donata Längauera, odpowiedzialnego za aresztowania w Lwowskim Instytucie Politechnicznym. Ważnym czynnikiem w utrzymaniu polskości był Kościół rzymskokatolicki, którego duchowieństwo było zdecydowane pozostać na miejscu.

Barbara Mękarska-Kozłowska wspominała: „Wierzyliśmy ciągle jeszcze w emigrację, która walczy przeciw o całość interesów Polski, i w aliantów, którzy nie opuszczą nas w potrzebie. Zrazu sądziliśmy, że Sowieci chcą nas zastraszyć, zmusić do wyjazdu, by miasto ukraść. Trzeba się więc bronić, nie dać ruszyć z miejsca”¹⁷.

Nadzieje te zostały ostatecznie pogrzebane na konferencji Wielkiej Trójki w Jałcie (4–11 lutego 1945 r.). Związek Sowiecki jeszcze raz uzyskał zgodę mocarstw zachodnich na aneksję ziem wschodnich RP, w tym Lwowa. W mieście przez dłuższy czas nie ogłaszano postanowień krymskich, mimo to ich treść stała się wkrótce w ogólnym zarysie znana. Potwierdzeniem tego była mapa Polski z zaznaczonym przebiegiem nowej granicy, umieszczona na Wałach Hetmańskich. Postanowienia konferencji jałtańskiej w decydujący sposób wpłynęły na wzrost zainteresowania Polaków wyjazdem na zachód, co z satysfakcją odnotowano w sowieckich raportach.

W Europie II wojna światowa zakończyła się 8 maja 1945 r. (9 maja czasu moskiewskiego). We Lwowie z tej okazji urządzono kanonadę z broni automatycznej i ręcznej. Wielu żołnierzy Armii Czerwonej upiło się do nieprzytomności, doszło do przypadków ostrzeliwania sędziwych zabytków i atakowania bezbronnych cywilów. Jerzy Rychłowski wspominał: „Zobaczyłem za rogiem [ul.] Kopernika w drugiej bramie na [ul.] Ossolińskich, jak kapitan NKWD za koszulę wyciągał

¹⁶ *Ibidem*, s. 112.

¹⁷ B. Mękarska-Kozłowska, *Burza nad Lwowem*, Lublin 2000, s. 234–235.



Szef Wydziału Politycznego 1. Frontu Ukraińskiego gen. Siergiej Szatifow (trzeci od lewej), szef Wydziału Politycznego 18. Armii płk Leonid Breżniew (drugi od lewej), listopad 1943 r. Fot. <https://history.wikireading.ru>

skośnookiego Kałmuka ze spuszczoneymi do kolan portkami, który na oczach dzieci gwałcił kobiety. Kapitan oparł go o ścianę kamienicy i z nagana z pół metra strzelił mu w głowę. Pozostawił zwłoki na ulicy i spokojnie odszedł w stronę [ul.] Chorażczyzny”¹⁸.

A oto jak zapamiętała ten dzień Zofia Szwabowiczówna: „Zgromadzono nas na dziedzińcu fabrycznym i zastępca dyrektora [...] oznajmił nam, że wojna skończona. My, Polacy, stanowiący większość załogi, przyjęliśmy tę wiadomość w ponurym milczeniu. Wiedzieliśmy, co to oznacza. Porzućcie wszelkie nadzieje! Póki toczyła się wojna, wszystko jeszcze mogło się zdarzyć. W tej chwili nasz los był przesądzony”¹⁹.

Bo istotnie nad polskim Lwowem zamykało się coraz bardziej wieko historii. Niedługo potem opuściła miasto pierwsza grupa pracowników nauki. 16 sierpnia 1945 r. został podpisany w Moskwie układ polsko-sowiecki potwierdzający przebieg nowej granicy państwowej. Duże rozczarowanie wywołały we Lwowie

¹⁸ J. Rychłowski, *Okruszkki lwowskich wspomnień*, „Kurier Galicyjski” 2020, nr 2, s. 20.

¹⁹ G. Mazur, J. Skwara, J. Węgierski, *Kronika 2350 dni...*, s. 566.

trzy wizyty Stanisława Grabskiego, ponieważ przekonywał on jego mieszkańców do ewakuacji. Jesienią opuścili miasto profesorowie, przełożeni oraz alumni seminarium duchownego obrządku łacińskiego. Ekspatriacja objęła też parafie i zakony. W kolejnych kościołach odprawiano ostatnie Msze św., po których były one zamykane i pieczętowane przez władze. Z powodu zmniejszającej się liczby uczniów Sowietci likwidowali polskie szkoły i zamieniali je na sowieckie.

Według stanu na 25 października 1945 r., Lwów opuściło już prawie 50 tys. osób – mniej więcej połowa uprawnionych do ewakuacji. Karmelita o. Alojzy Kostyrko pisał do przełożonego prowincji w Krakowie: „We Lwowie nastrój przygnębiający, Lwów zmienił się bardzo. Mowa polska na ulicach należy do miłej niespodzianki, która jeśli się zdarzy, to aż człowiekowi serce rośnie, że się słyszy polską mowę. Tu na każdym kroku słyszy się jedno i to samo pytanie: »Po co wy, Polacy, tu jeszcze siedzicie?«”²⁰.

Krajowa Rada Narodowa, pełniąca funkcję tymczasowego parlamentu, 31 grudnia 1945 r. ratyfikowała polsko-sowiecką umowę o granicy państwowej. Wnioskodawca, prof. Albin Jura, obłudnie stwierdził, że stanowi ona „ostateczne uregulowanie w duchu prawdziwej sprawiedliwości odwiecznych konfliktów między Polską a jej wielkim sąsiadem słowiańskim na wschodzie”²¹. Umowa graniczna weszła w życie 5 lutego 1946 r. W kwietniu tegoż roku opuścił Lwów abp Eugeniusz Baziak, a w połowie sierpnia ostatni transport ewakuacyjny²². Ogółem tzw. repatriacja objęła od 78,5 do 105 tys. mieszkańców²³. Polski Lwów przeszedł do historii.

²⁰ J. Wołczański, *Między zagładą a przetrwaniem*, Kraków 2005, s. 9.


²¹ „Czerwony Sztandar” [Lwów] 1946, nr 2, s. 3.

²² D. Markowski, *Anatomia strachu...*, s. 202.

²³ S. Makarczuk, *Ewakuacja Polaków...*, s. 408; G. Hryciuk, *Przemiany narodowościowe i ludnościowe w Galicji Wschodniej i na Wołyniu w latach 1931–1948*, Toruń 2005, s. 334.



Paweł Naleźniak (ur. 1971) – historyk, dr, pracownik Oddziałowego Biura Badań Historycznych IPN w Krakowie. Autor książki (z H. Głębockim, D. Gorajczykiem, M. Masłowskim, A. Zechenter) *„Operacja polska” NKWD 1937–1938. Losy Polaków w Rosji bolszewickiej i w ZSRS do 1939 roku* (2017).



Pracownicy Urzędu Bezpieczeństwa w Augustowie, 1945 r.; w środku siedzi mjr Iwan Wasilenko, doradca UB w Suwałkach, stoją od lewej: Mirosław Milewski, Ryszard Caban, Jan Szostak, Aleksander Kuczyński. Fot. AIPN

Krzysztof Sychowicz

Obława Lipcowa

We wrześniu i październiku 1944 r. nasiliły się obławy i akcje pacyfikacyjne skierowane przeciwko Armii Krajowej i Narodowym Siłom Zbrojnym oraz wszystkim, którzy przeciwstawiali się polityce Józefa Stalina. Wraz z upływem czasu obejmowały kolejne grupy społeczeństwa. Na porządku dziennym były aresztowania i zbrodnie dokonywane przez Sowieców i ich protegowanych. W pamięci Polaków w szczególny sposób zapisała się Obława Augustowska, przeprowadzona latem 1945 r.

Na przełomie 1944 i 1945 r. Polacy stanęli wobec nowej rzeczywistości, wprowadzanej na ziemiach leżących na zachód od Bugu przez wojska sowieckie i rodzimych komunistów. Chociaż społeczeństwo z nadzieją oczekiwali wyzwolenia spod okupacji niemieckiej, to radość szybko zastąpił strach przed Armią Czerwoną i maruderami. Rozluźnienie dyscypliny oraz przyzwolenie dowódców na rabunki i gwałty spowodowały, że sytuacja – szczególnie przy szlakach komunikacyjnych – stała się dla ludności cywilnej tragiczna. Jednocześnie komuniści

tworzyli fakty dokonane, które miały im zagwarantować całkowite przejście władzy na ziemiach polskich. Krokiem do tego było powołanie w Moskwie 21 lipca 1944 r. Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego oraz rozpoczęcie tworzenia sieci urzędów bezpieczeństwa publicznego, które przystąpiły – przy wsparciu NKWD – do zwalczania podziemia niepodległościowego.

62. Dywizja Strzelecka Wojsk Wewnętrznych NKWD, dowodzona przez płk. Jewgienija Skorodumowa, otrzymała zadanie zapewnienia spokoju m.in. na Białostocczyźnie. Jej działania zostały wzmocnione przez pułki 267. i 98. NKWD. Sztab dywizji i 267. pułk rozlokowały się w Białymstoku, a 385. pułk Wojsk Wewnętrznych NKWD pod dowództwem ppłk. Klimanowa za miejsce postoju sztabu i 3. batalionu obrał Grajewo, obsadzając swoimi garnizonami także Augustów, Łomżę i Zambrów¹. W lipcu 1945 r. dywizja otrzymała zadanie: „Na trasach prawdopodobnego ruchu bandytów i w miejscach najbardziej zarażonych bandytyzmem systematycznie prowadzić obławy, przeszukania i wystawiać zasadzki w celu oderwania band od ich baz zaopatrzenia i uzupełnień, pozbawienia ich łączności między sobą i schwytania jeńców, od których można otrzymać dane wywiadowcze o bandzie”².

Polowanie na ludzi

Najkrwawszą operacją wojskową przeprowadzoną w lipcu 1945 r. na terenie Polski, południowej Litwy i ziemiach polskich włączonych do Białoruskiej Socjalistycznej Republiki Sowieckiej stała się akcja, którą w historii przyjęło się określać mianem Obławy Lipcowej bądź Augustowskiej. Mimo upływu lat okoliczności tego wydarzenia nadal pozostają w dużej mierze niewyjaśnione. Najbardziej rozpowszechniona wersja jako przyczynę obławy wskazuje zbrojną działalność polskiego podziemia niepodległościowego, w tym przede wszystkim oddziałów Armii Krajowej Obywatelskiej. Atakowały one m.in. kolumny samochodowe wojsk sowieckich, jak i pojedyncze grupy żołnierzy. Nie bez znaczenia mogły być pogłoski o dużej liczebności i dobrym uzbrojeniu podziemnego wojska. W tym

¹ P. Łapiński, *Zgrupowanie AKO „Piotrków”, [w:] Wyklęci 1944–1963. Żołnierze podziemia niepodległościowego w latach 1944–1963*, red. K. Krajewski, T. Łabuszewski, Warszawa 2017, s. 111.

² G. Motyka, *Na białych Polaków obława. Wojska NKWD w walce z polskim podziemiem 1944–1953*, Kraków 2014, s. 212–213.

okresie wykonywano także egzekucje na osobach współpracujących z polskim i sowieckim aparatem represji. Wspomina się również zatrzymanie na początku lipca 1945 r. jednego z żołnierzy podziemia, który podczas przesłuchania ujawnił miejsce pobytu sztabu jednostek poakowskich operujących w powiecie suwalskim, w lasach w okolicach Gib. Pod uwagę należy brać także pojawiające się pogłoski o planach połączenia obwodu kaliningradzkiego bezpośrednio z Białoruską SRS, co musiało się wiązać z likwidacją podziemia funkcjonującego na obszarze rozdzielającym te dwa terytoria. Co istotne, strefa ta do jesieni 1945 r. była praktycznie kontrolowana przez wojska sowieckie, mające w związku z tym nieograniczoną możliwość działania³.

Bez względu na powody w lipcu Sowieci podjęli działania mające im zapewnić pełną kontrolę nad terenem, należącym przecież formalnie do państwa polskiego. W okresie od 11 do 24 lipca 1945 r. w Augustowie i całym powiecie władze wojskowe ZSRS zarządziły stan wyjątkowy⁴. Informację o rozpoczęciu obławy zawiera telefonogram mjr. Iwana Wasilenki (sowieckiego doradcy Urzędu Bezpieczeństwa w Suwałkach) i ppor. Zygmunta Mossakowskiego skierowany do szefa Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego w Białymstoku kpt. Tadeusza Piątkowskiego i doradcy sowieckiego, płk. Anatolija Kiriejewa, z 12 lipca 1945 r. (przewidywano, że potrwa 4–5 dni). W działaniach uczestniczyły regularne jednostki sowieckie ze składu 50. Armii 3. Frontu Białoruskiego oraz dwie dywizje strzeleckie 48. Armii – 73. i 102. Na terenie objętym obławą działały też 385. pułk 62. Dywizji Strzeleckiej NKWD i kompania z 1. Pułku Praskiego Wojska Polskiego, wspierane przez funkcjonariuszy UB z Augustowa i Suwałk⁵.

Akcja przeciwko zbrojnemu podziemiu rozpoczęła się w tym samym czasie w powiatach augustowskim i suwalskim. W dniach 11–12 lipca 1945 r. kierownik Powiatowego UBP w Augustowie, Aleksander Kuczyński, sporządził spisy zarejestrowanych czynnych członków byłej Armii Krajowej na terenie powiatu, przetłumaczone na język rosyjski. Dołączono do nich tłumaczenia ważniejszych

³ T. Radziwonowicz, B. Bojaryn-Kazberuk, *Obława Augustowska 1945, okoliczności i ofiary w dokumentach archiwalnych*, Suwałki 2017.

⁴ APB, UWb, 148, Sprawozdanie sytuacyjne za miesiąc lipiec 1945 r., k. 49.

⁵ Meldunek specjalny nr 0300 sztabu 1. Praskiego Pułku Piechoty z dnia 15 lipca 1945 r., [w:] *Obława Augustowska – lipiec 1945 r. Wybór źródeł*, red. J.J. Milewski, A. Pyżewska, Białystok 2010, s. 85.

dokumentów Urzędu Bezpieczeństwa, dotyczące członków AK i AKO, które zostały przekazane sztabowi wojsk sowieckich. W trakcie obławy Milicja Obywatelska ściśle współpracowała nie tylko z funkcjonariuszami UB, lecz również z jednostkami Armii Czerwonej i NKWD. Całość działań była kierowana i koordynowana przez doradców sowieckich przy poszczególnych powiatowych urzędach bezpieczeństwa publicznego. W terenie byli oni podporządkowani rozkazom swojego zwierzchnika, który rezydował w WUBP w Białymstoku⁶.

Akcję przeciwko mieszkańcom północnej części województwa białostockiego zapoczątkował rozkaz sowieckiego ludowego komisarza spraw wewnętrznych Ławrientija Berii. Właściwe działania zostały jeszcze na przełomie czerwca i lipca poprzedzone pierwszymi aresztowaniami, przeprowadzonymi m.in. na terenie gminy Sztabin⁷. Szczególnego rozmachu główna operacja nabrała jednak 12 lipca, kiedy wszystkie miejscowości powiatu augustowskiego oraz Puszcę Augustowską systematycznie przeczesywały wojska sowieckie wraz z funkcjonariuszami UB⁸. W trakcie organizowanych obław wojska NKWD razem z siłami UB i MO otaczały całe wsie w poszukiwaniu partyzantów. Odnaleziono wiele miejsc postojów i obozów oddziałów leśnych. Tylko 12 lipca 1945 r. zatrzymano 83 żołnierzy AKO i zabito 3 oficerów⁹.

Zapoczątkowało to serię masowych zatrzymań w następnych dniach. Przykładowo tylko 15 lipca 1945 r. na terenie powiatu suwalskiego Sowieci zatrzymali łącznie 477 osób, a dzień później – kolejnych 160. Przesłuchiwani i torturowani żołnierze podziemia antykomunistycznego ujawniali kolejnych członków organizacji. W miastach legitymowano miejscową ludność. Część aresztowań odbywała się w nocy. Niewielkie miejscowości były otaczane przez wojsko, a następnie sprawdzano dom po domu¹⁰.

⁶ T. Radziwonowicz, B. Bojaryn-Kazberuk, *Obława Augustowska 1945...*, s. 39–59.

⁷ B. Bojaryn-Kazberuk, *Siedemdziesiąt lat poszukiwań*, [w:] *Nowe zniewolenie. Obława Augustowska. Lipiec 1945*, red. E. Rogalewska, Białystok 2016, s. 25.

⁸ J. Snopko, *Sytuacja społeczno-polityczna i działalność podziemia w gminie Lipsk w latach 1944–1954*, [w:] *Podziemie niepodległościowe w województwie białostockim w latach 1944–1956*, red. T. Danilecki, Warszawa 2004, s. 129.

⁹ AIPN Bi, 045/490, Meldunki z jednostek powiatowych do kierownika WUBP w Białymstoku za 1945–1946 r., Raport, k. 5; B. Bojaryn-Kazberuk, *Siedemdziesiąt lat...*, s. 29–30.

¹⁰ T. Radziwonowicz, B. Bojaryn-Kazberuk, *Obława Augustowska 1945...*, s. 57–60.



Ekshumacja ofiar Obławy Augustowskiej w Gibach, 1989 r. Fot. AIPN

Warto podkreślić, że akcje prowadzone przez jednostki Armii Czerwonej, NKWD i UB wykraczały poza granice powiatów augustowskiego i suwalskiego. Zatrzymani AK-owcy ujawnili, że ich dowództwo na początku obławy wydało rozkaz ukrycia całej posiadanej broni i zaniechania wszelkiej działalności konspiracyjnej oraz powrotu członków podziemia do swych domów. Duża część partyzantów uciekła do dawnych Prusa Wschodnich lub w okolice Białegostoku. Niektórzy z zatrzymanych pod wpływem tortur próbowali popełnić samobójstwo. W wielu miejscach dochodziło do starć, tak jak w powiecie suwalskim, w okolicach jeziora Brożane, gdzie miała miejsce potyczka połączonych oddziałów samoobrony obwodów AKO Augustów i Suwałki (160–170 partyzantów) z jednostkami sowieckimi. Trudno wskazać faktyczną liczbę poległych członków podziemia. Źródła sowieckie podają, że zabito trzech oficerów (raczej podoficerów), a do niewoli wzięto 57 żołnierzy AKO. Wszystkich zatrzymanych przekazano kontrwywiadowi



Portrety ofiar Obławy Augustowskiej eksponowane podczas corocznych uroczystości w Gibach. Fot. IPN



Po lewej: pamiątkowa tablica kamienna w Gibach. Fot. IPN

Smiersz. Podczas obławy miały też miejsce liczne kradzieże i brutalne napady dokonywane przez żołnierzy sowieckich, którzy okazywali przy tym całkowitą pogardę dla polskiej ludności. Łupem czerwoarmistów i ubeków padało wszystko, co można było ukraść. Dochodziło też do morderstw i gwałtów¹¹.

W czasie samej obławy, w związku z dokonanymi zatrzymaniami, sowieckie organa ścigania przeprowadziły 213 spraw śledczych dotyczących członków Armii Krajowej (w ręce wojsk sowieckich tylko do 19 lipca dostało się 7049 osób, w tym 1685 określonych jako „Litwini”, z których 252 przekazano NKWD/NKGB Litewskiej Socjalistycznej Republiki Sowieckiej). Wynika z tego, że większość mieszkańców powiatów augustowskiego i suwalskiego została zatrzymana przypadkowo i uratowała życie dzięki temu, że została skierowana do obozów filtracyjnych. Aresztowania, jednak już nie na tak masową skalę, miały też miejsce w następnych dniach i miesiącach. Można wspomnieć, że jeszcze od 11 do 13 sierpnia jednostki 307. Dywizji Strzeleckiej 81. Korpusu przeczesywały lasy i osiedla w rejonie

¹¹ *Ibidem*, s. 59–61.

Suwałk, Jeleniewa, Sejn, Gib i Kopciowa. Po odejściu Sowietów operacje na tym terenie prowadził aparat bezpieczeństwa. Akcją objęto obszar powyżej 3470 km kw. i ponad sto miejscowości¹².

Mały Katyń

Naczelnik Głównego Zarządu Kontrwywiadu Smiersz przy Ludowym Komisarzacie Obrony ZSRS gen. płk Wiktor Abakumow zaplanował masowy mord na zatrzymanych i uznanych za przeciwników komunizmu i wojsk sowieckich. Zorganizowali go: gen. mjr Iwan Gorgonow, zastępca szefa Wydziału I Głównego Zarządu Smierszu, i gen. Paweł Zielenin, szef Zarządu Kontrwywiadu 3. Frontu Białoruskiego. Standardem podczas obławy z lipca 1945 r. stały się aresztowania, brutalne przesłuchania, przetrzymywanie zatrzymanych w stodołach, a następnie transport do miejsc odosobnienia i na koniec w nieznanym kierunku. Wszyscy zatrzymani trafili w ręce funkcjonariuszy Smierszu, a Abakumow zwrócił się o zgodę na egzekucję 592 aresztowanych Polaków. Swoistemu „sprawdzeniu” poddano w tym okresie (do 20 lipca) 828 osób, a dalszy los części z nich nie jest znany. Do

Obława Augustowska doprowadziła do aresztowania blisko 2 tys. osób, z których ok. 600 nigdy nie wróciło do domu. Była to największa masowa zbrodnia popełniona na osobach cywilnych w Europie po zakończeniu II wojny światowej.

Wojsko Polskie, zastrzelonych przez Sowietów nad jeziorem Brożane oraz zamordowanych przez UB¹³.

Trzeba szczególnie podkreślić, że Urząd

Bezpieczeństwa udzielał daleko idącej pomocy wojskowym władzom sowieckim, weryfikując zatrzymane osoby i ustalając, kto spośród nich należał do podziemia.

Obława Augustowska nie tylko zniszczyła struktury Armii Krajowej na terenie powiatów augustowskiego i suwalskiego, lecz także doprowadziła do aresztowania blisko 2 tys. osób, z których ok. 600 nigdy nie wróciło do domu. Zostali wywiezieni w nieznanym kierunku i najprawdopodobniej zamordowani. Była to największa

¹² *Ibidem*, s. 61–63; B. Bojaryn-Kazberuk, *Siedemdziesiąt lat...*, s. 30.

¹³ B. Bojaryn-Kazberuk, *Siedemdziesiąt lat...*, s. 29.

masowa zbrodnia popełniona na osobach cywilnych w Europie po zakończeniu II wojny światowej. Bardzo prawdopodobne, że miejscem ich ostatecznego spoczynku stały się tereny dzisiejszej Białorusi. O samochodach jadących w kierunku granicy i znajdującego się za nią Grodna (fortów grodzieńskich) wspominają rodziny aresztowanych wówczas osób. Zeznania świadków wskazywały też jako jedno z możliwych miejsc egzekucji zatrzymanych w trakcie obławy okolice dawnej leśniczówki Giedź, obecnie po stronie białoruskiej, przy drodze Rygol – Kalety. Okolice Kalet jako miejsce zbrodni wskazał w 2014 r. historyk Nikita Pietrow. Jednak wielokrotne prośby o pomoc prawną kierowane w tej sprawie do strony rosyjskiej pozostały bez odpowiedzi¹⁴.

Walka o pamięć i godne uczczenie ofiar obławy trwała od pierwszych dni po tych wydarzeniach. Choć w okresie komunistycznego zniewolenia o ofiarach bano się mówić publicznie, pamiętały o nich ich rodziny.

Obecnie, aby odtworzyć losy osób zaginionych w obławie i wskazać miejsce ich pochówku, niezbędne jest dotarcie do informacji zawartych w archiwach rosyjskich. Pozyskanie tych danych może pomóc wyjaśnić okoliczności śmierci osób zaginionych, a także wskazać rozkazodawców i wykonawców zbrodni. Niestety, mimo upływu kolejnych lat najistotniejsze informacje pozostające w archiwach rosyjskich są wciąż niedostępne zarówno dla rodzin zamordowanych, jak i dla historyków. Nie znamy w związku z tym pełnego przebiegu tej zbrodni oraz potwierdzonego miejsca ukrycia szczątków ofiar. Pewne jest to, co znalazło odzwierciedlenie w napisie znajdującym się w symbolicznym miejscu pamięci w Gibach: jedyną winą ofiar było to, że były Polakami.

¹⁴ T. Radziwonowicz, B. Bojaryn-Kazberuk, *Obława Augustowska 1945...*, s. 65–67.



Krzysztof Sychowicz (ur. 1969) – historyk, dr hab., naczelnik Oddziałowego Biura Badań Historycznych IPN w Białymstoku, profesor Państwowej Wyższej Szkoły Informatyki i Przedsiębiorczości w Łomży. Autor książek: *Kościół katolicki w województwie białostockim wobec podziemia antykomunistycznego w latach 1945–1953* (2005); *Urząd Bezpieczeństwa w Łomży – powstanie i działalność (1944–1956)* (2009); *Władze komunistyczne wobec Kościoła i związków wyznaniowych w województwie białostockim w latach 1944–1975* (2013); (z T. Dudzińskim i M. Małachwiejem) *Powiatowy Urząd Bezpieczeństwa Publicznego w Grajewie 1945–1956* (2015) i in.

Joanna Hytrek-Hryciuk

„Rezultatem tej historii jest nienawiść”

Niemcy, Polacy i Rosjanie na Dolnym Śląsku po wojnie

Popularne powiedzenie mówi: „są trzy rzeczy, które nie znają granic – wyobraźnia, głupota i Armia Czerwona”. To stwierdzenie doskonale opisuje sytuację na Dolnym Śląsku do 1948 r. To, co przeżyła wówczas ludność cywilna tych terenów, przekracza granice wyobraźni. Ogromnisze zniszczeń, niemający nic wspólnego z działaniami wojennymi, porażał swoją głupotą – skutki tego ponosimy do dziś. Żołnierze sowieccy faktycznie nie znali granic. Ani administracyjnych, ani tych, które przynależą człowieczeństwu.

Rosjanie nadchodzą!

Zgodnie z planami ofensywy, przygotowanymi przez Naczelne Dowództwo Armii Czerwonej jeszcze w listopadzie 1944 r., Dolny Śląsk miał zostać zajęty przez jednostki 1. Frontu Ukraińskiego pod dowództwem marsz. Iwana Koniewa. Był to wytrawny żołnierz. Miał za sobą służbę w armii carskiej, doświadczenia I wojny światowej, wojny domowej w Rosji, a także największych bitew wojny niemiecko-sowieckiej w latach 1941–1945.

Przedwojenną granicę polsko-niemiecką jednostki sowieckie przekroczyły w błyskawicznym tempie. Już 19 stycznia 1945 r. zajęły pierwsze miejscowości w regionie. Problemu nie stanowiła również linia rzeki Odry. W połowie lutego Sowietci okrążyli Wrocław. Front ustabilizował się wzdłuż Nysy Łużyckiej i dalej na północ od Lwówka Śląskiego, Złotoryi i Strzelina. Na tej linii utrzymywał się aż do kapitulacji III Rzeszy.

Walki trwały na pozostałym terenie. Krwawe były zmagania o stolicę regionu. Plotka przekazywana wśród żołnierzy i cywilów walczących w Festung Breslau, że nadodrzańska metropolia ma być wielkanocnym prezentem dla Józefa Stalina, ucichła wobec przedłużających się walk. Wrocław ostatecznie skapitulował 6 maja 1945 r. Dwa dni później podpisano bezwarunkową kapitulację Niemiec. Dla całego regionu nastąpiła nowa rzeczywistość.

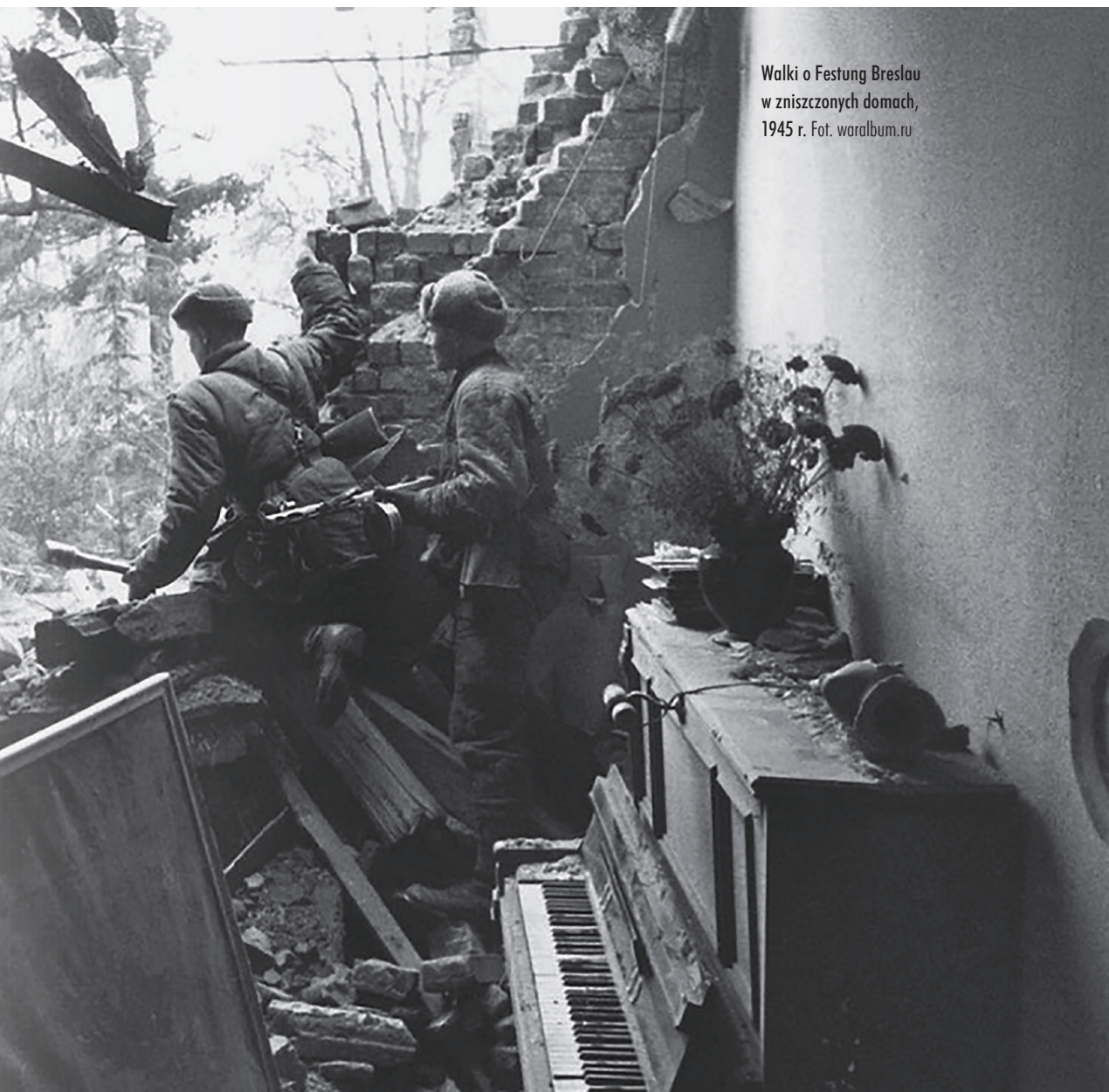
Nowe porządki

Na przełomie lipca i sierpnia 1945 r. na konferencji w Poczdamie przyznano Polsce prawo do administrowania byłymi niemieckimi terytoriami. Granicę tej administracji wyznaczono na Nysie Łużyckiej i Odrze.

Kształt polskiej granicy zachodniej zasadniczo nie budził wątpliwości. Nowy rząd i jego pełnomocnik na region Dolnego Śląska jak mantrę powtarzali słowa o „dziejowej sprawiedliwości” i „powrocie na prapiastowskie ziemie”. Więcej wątpliwości budziła konieczność wysiedlenia ponad 2 mln niemieckich mieszkańców tych terenów – także mieszkańców tymczasowych, którzy przybyli na Dolny Śląsk w wyniku ewakuacji innych regionów Rzeszy.

Dla władz regionalnych największym wyzwaniem było jednak panoszenie się Armii Czerwonej, zarówno jednostek skoszarowanych, jak i tych zarządzających gospodarstwami rolnymi lub przedsiębiorstwami, a także oddziałów przewożonych koleją przez Dolny Śląsk. Dla Polaków, wciąż jeszcze nielicznych w regionie,

było jasne, że Rosjanie nie przyniosą ze sobą nic dobrego. Z kolei Niemcy, wciąż przeważający na Dolnym Śląsku, mieli w pamięci słowa Adolfa Hitlera z wiosny 1945 r., wieszczące koniec niemieckiego narodu: „Wy, żołnierze ze wschodu, wiecie [...] jaki los czeka niemieckie kobiety, dziewczęta i dzieci. Kiedy starzy ludzie i dzieci zostaną zamordowani, kobiety i dziewczęta zostaną koszarowymi dziwkami. Reszta pomaszeruje na Sybir”. Przerażenie Niemców nie uszło uwadze władz sowieckich. „Niemiecka ludność, która pozostała, ogarnięta jest poczuciem skrajnego strachu przed Armią Czerwoną. Mieszkańcy niemieckiego Śląska wyrażają przekonanie, że jeżeli nie dziś, to jutro Rosjanie urządzą rzeź ludności



Walki o Festung Breslau
w zniszczonych domach,
1945 r. Fot. waralbum.ru



Żołnierze sowieccy w walce o Wrocław, 1945 r. Fot. waralbum.ru

cywilnej. Ukrywają się w piwnicach, nie wychodzą na ulicę. Przy spotkaniu z radzieckimi żołnierzami i oficerami wielu (w tej liczbie dzieci i starcy) podnosi ręce do góry, jakby prosząc o litość. Na budynkach zostały wywieszane białe flagi na znak tego, że w domu mieszka ludność cywilna, która nie wykazuje oporu i jest gotowa wypełniać wszelkie zalecenia” – czytamy w jednym z meldunków.

Rzeczywistość pierwszych spotkań ludności cywilnej i żołnierzy Armii Czerwonej była jednak bardzo różna. „Człowiek musiał to sam przeżyć, kiedy radzieccy żołnierze dzielili się ostatnią kromką chleba z niemieckimi dziećmi albo jak żołnierz delikatnie pomagał wsiąść na wóz staruszce i odwoził ją do domu. Ale człowiek musiał także przeżyć, jak być może ci sami żołnierze czaili się na cmentarzu, żeby upolować, obrabować i zgwałcić kobietę lub dziewczynkę” – czytamy we wspomnieniach jednego z dolnośląskich Niemców. Mieszkaniec Wrocławia dosadnie podsumowywał: „Pomiędzy radzieckimi żołnierzami jest wielu przyjaznych, radosnych czy naiwnych ludzi. Spotykaliśmy także inteligentnych, samodzielnych i życzliwych. Ci jednak należeli do mniejszości. Zdecydowana większość była brutalna i nieskończenie prymitywna”.

Opisy morderstw, gwałtów i rabunków, których dopuszczali się żołnierze na mieszkańcach regionu, dominują w zachowanych relacjach z okresu między lutym a majem 1945 r. Niemcy opisywali zarówno pojedyncze morderstwa, których byli świadkami, jak i zdarzenia na znacznie większą skalę, których ofiarami były grupy kilku lub kilkunastu osób. Zachowanie czerwoarmistów nie było tajemnicą dla ich władz zwierzchnich. W lutym 1945 r. płk Aleksiej Cziczin zanotował w swoim dzienniku: „Nasi żołnierze mszczą się bezlitośnie. Wydano rozkaz: jeńców i cywili nie rozstrzeliwać, ale to nic nie pomaga”. Z rąk Rosjan ginęli bowiem zarówno cywile, jak i wysocy rangą funkcjonariusze NSDAP czy członkowie Volkssturmu.

Jeńców przetrzymywano w obozach przejściowych rozlokowanych w całym regionie – na dużych terenach przyfabrycznych lub w barakach pozostałych po obozach koncentracyjnych. Następnie przechodzili oni przez obozy zbiorcze na Górnym Śląsku i byli wywożeni do pracy w głębi ZSRS lub kopalni na Ukrainie. W transportach często znajdowała się również ludność cywilna – aresztowana, internowana lub „mobilizowana” na tyłach działania 1. Frontu Ukraińskiego. To ostatnie określenie wprowadzono na mocy uchwały nr 7467 Państwowego Komitetu Obrony ZSRS, która miała uniemożliwić dokonywanie przez Niemców aktów terrory-

stycznych i dywersji. Faktycznie jednak powód „mobilizowania” był inny. Gospodarka ZSRS, nadszarpnięta wojną, potrzebowała rąk do pracy. Niemcy byli traktowani jako żywe „reparacje wojenne”. Między „zmobilizowa-

W zachowanych relacjach z pierwszych miesięcy 1945 r. mnóstwo jest opisów morderstw, gwałtów i rabunków, których dopuszczali się żołnierze sowieccy na mieszkańcach regionu.

wanymi” znalazła się m.in. mieszkanka powiatu jaworskiego. Została zatrzymana 14 marca 1945 r.; żołnierze powiedzieli jej, że jedzie na pięć dni do pracy. Przez więzienie w Bytomiu trafiła do łagru w Kandałakszy w okolicach Murmańska, podobnie jak ponad 140 tys. „zmobilizowanych” Niemców. Ze względu na skrajnie złe warunki podróży oraz życia w łagrze, zaledwie co drugi Niemiec był zdolny do pracy.

Mieszkańcy regionu, którzy wrócili do swoich miejsc zamieszkania po ewakuacji zarządzanej przez lokalne jednostki NSDAP lub nie uciekli przed wkraczającą Armią Czerwoną, byli obserwatorami i ofiarami kradzieży oraz bezmyślnego niszczenia zarówno mieszkań, gospodarstw rolnych, jak i okazałych, zabytkowych



Sowiecy żołnierze zaczepiają Niemkę, 1945 r. Fot. domena publiczna

budowli. To, czego nie udało się wywieźć czy spalić, wyrzucano z okien, na pola czy drogi. Te ostatnie były usłane pierzynami, meblami i sprzętami domowymi.

Codziennosc ostatnich miesięcy II wojny światowej stala się prawdziwym piekłem dla kobiet. Opisy brutalnych gwałtów i napaści na tle seksualnym zachowały się we wspomnieniach dolnośląskich Niemek niezależnie od ich wieku czy pozycji społecznej. Wśród najmłodszych ofiar żołnierzy znajdowały się dwie ośmioletnie dziewczynki z Małoszowic; najstarsze kobiety miały siedemdziesiąt, osiemdziesiąt lat. W niektórych przypadkach gwałt kończył się śmiercią, niekoniecznie w wyniku odniesionych obrażeń. Zdarzało się, że kobiety były bite tak długo, aż zmarły, ledwie żywe wyrzucane przez okna z wysokich pięter lub po prostu rozstrzeliwane. Jeden z duchownych zapisał w swoich wspomnieniach, że grzebał okaleczone ciała kobiet pozbawione narządów rodnych czy piersi. Zastraszone kobiety w mistrzowski sposób opanowywały sztukę ukrywania się. Niekiedy sytuację ratowali też najbliżsi: „Już czteroletni Karl wie [...], że nie powinien zbyt dużo mówić o swojej matce. Któregoś dnia zobaczyliśmy, jak na szerokich nogach podszedł do drzwi i zastąpił

wejście uzbrojonemu żołnierzowi, mówiąc »tu nix matka, tu tylko stara ciotka, nix jajek, nix masła, ty idź«. I żołnierz sobie poszedł”.

W kwietniu 1945 r. dowództwo Armii Czerwonej zaczęło karać żołnierzy, którym udowodniono gwałt. Na Dolnym Śląsku rozstrzelano za to przestępstwo prawdopodobnie czterdzieści osób. Takie działania podjęto jednak nie przez wzgląd na dramatyczny los kobiet, lecz dla wzmocnienia dyscypliny w żołnierskich szeregach przed zakończeniem wojny. Podobnie jak i inne, także i to prawo było traktowane przez dowództwo Armii Czerwonej w sposób bardzo dowolny. Kiedy pastor Joachim Konrad, jeden z nielicznych duchownych, którzy pozostali we Wrocławiu, zwrócił się z prośbą do sowieckiego komendanta wojennego o interwencję w sprawie gwałtów, miał usłyszeć: „żołnierz to żołnierz”.

Rezultatem fali seksualnego wykorzystywania kobiet oraz braku środków do życia było zjawisko szukania sobie „opiekuna” wśród sowieckich oficerów. W ten sposób kobiety miały szansę nie tylko uniknąć gwałtu, lecz i uratować głodującą rodzinę. Ta praktyka szczególnie negatywnie odbiła się na niemiecko-sowiecko-polskich stosunkach po maju 1945 r.

I kto tu jest wrogiem?

Rada Ministrów 14 marca 1945 r. mianowała pełnomocnika rządu na okręg administracyjny Dolny Śląsk. Stanowisko to otrzymał Stanisław Piaskowski, który od maja 1946 r., po likwidacji urzędu pełnomocników, będzie sprawował urząd wojewody wrocławskiego. Piaskowski nie pozostawiał wątpliwości, że w pełni podziela politykę rządu co do postępowania z ludnością niemiecką. Wysiedlenie Niemców miało być jedynie kwestią czasu, choć pełnomocnik nie precyzował, jak Rada Ministrów zamierza je przeprowadzić, bo gdy w maju 1945 r. obejmował urząd, w zrujnowanym Wrocławiu przebywało do 300 tys. Niemców i ok. 3 tys. Polaków.

Zniszczony ratusz we Wrocławiu, 1945 r.
Fot. Wikimedia Commons





Niemiecy parlamentariusze udają się na rozmowy z dowództwem sowieckim w celu poddania Wrocławia, 6 maja 1945 r.
Fot. Wikimedia Commons

Między lutym a majem 1945 r. na zajętych terenach Dolnego Śląska Armia Czerwona tworzyła własny system administracji – komendatury wojenne. Teoretycznie ich funkcjonowanie powinno być związane z toczącymi się działaniami wojennymi oraz koniecznością organizacji życia ludności cywilnej i wojska. W praktyce jednak poczynania komendantów cechowała duża swoboda. Również w przekazywaniu podległych im terenów w ręce polskiej administracji.

To właśnie z rąk komendantów Polacy mieli przejmować władzę w regionie. Niemal do końca maja 1945 r. miało się to odbywać na podstawie zawieranych porozumień. 28 maja podczas spotkania prezydenta Krajowej Rady Narodowej Bolesława Bieruta z przedstawicielem Armii Czerwonej gen. Siergiejem Szatilowem wypracowano nowe rozwiązanie. Cała władza miała przejść w ręce pełnomocników. Komendanci wojenni mieli ograniczyć się jedynie do zarządzania podległymi garnizonami oraz sprawami zaopatrzenia wojsk.

W rzeczywistości bywało różnie. We Wrocławiu, mimo przybycia polskiego prezydenta miasta Bolesława Drobnera, ani komendant wojenny, ani mianowany przez niego niemiecki burmistrz nie złożyli urzędu. Urzędnik Ministerstwa Administracji Publicznej, który w tym okresie wizytował Dolny Śląsk, informował o samowoli komendantów. W Koźuchowie komendant nie chciał przyjąć przed-

stawiciele powiatu, twierdząc, że leży on na terenie Brandenburgii. Bez większych trudności stronie polskiej przekazano jednak rejon Nowej Soli.

Do połowy maja 1945 r. strona polska przejęła na Dolnym Śląsku zaledwie 25 z 41 obwodów zorganizowanych przez Rosjan. Skrajnym przypadkiem była komendantura w Polkowicach, gdzie Sowieci sprawowali władzę prawdopodobnie do 27 czerwca 1945 r. Nie bez znaczenia dla całego procesu były kłopoty organizacyjne, finansowe i braki personalne ze strony polskiej. W tej sytuacji Niemcy, za przyzwoleniem władz sowieckich, zaczęli sami organizować życie codzienne. „Obecnie zupełnie ignorują polską administrację, słuchają natomiast władzy radzieckiej” – informowali członkowie Zrzeszenia WiN w swej analizie społeczno-politycznej *Ziemie Odzyskane. Fakty mówią za siebie* z maja 1945 r.

Już w połowie maja 1945 r. Piaskowski raportował do Warszawy, że zachowanie się ludności niemieckiej w stosunku do Polaków jest lekceważące i aroganckie, co „jaskrawo odbija się od pokornie służalczego stosunku Niemców do przedstawicieli Armii Czerwonej”. Ze względu na niewystarczającą obsadę stanowisk oraz brak autorytetu władze polskie były bezradne. Dotyczyło to również funkcjonariuszy Milicji Obywatelskiej z Dzierżoniowa, którzy we wrześniu 1945 r. pisali: „Ludność niemiecka, przez ciągłe zwracanie się do Rosjan poszczególnych o pomoc, daje do zrozumienia, że nie uznaje władz polskich na tutejszych terenach”. Zdarzało się, że w czasie czynności urzędowych czy rewizji miejscowi Niemcy prosili żołnierzy sowieckich o interwencję. Niekiedy jej efektem były rękoczyny. Milicjanci z Kamieńca Ząbkowickiego raportowali przełożonym: „Współpraca z komendanturą Armii Czerwonej jest niedobra. Sowieci pracują ręką w rękę z Niemcami i przez to sami Niemcy pozwalają sobie na występki wobec Polaków. Są wypadki, że gdy Niemiec zostanie aresztowany przez MO lub Bezpieczeństwo, przychodzą Sowieci, żeby Niemca zwolnić”. To właśnie w Kamieńcu w październiku 1945 r. grupa pijanych żołnierzy rosyjskich napadła na posterunek i odbiła aresztantów.

Niemiecko-sowiecka współpraca w regionie była tajemniczą poliszynela. Publiczne informowanie o problemie mogło jednak stać się źródłem kłopotów. Przykładem niech będzie dymisja prezydenta Legnicy, Karola Myrka, który w grudniu 1945 r. na zgromadzeniu związków zawodowych tak scharakteryzował sytuację w mieście: „Kto jest głównym rządcą w Legnicy? Przecież wiecie, że wszystko jest w rękach Związku Radzieckiego. Myśmy przejęli elektrownię, na drugi dzień

przejęło ją od nas towarzystwo energetyczne, a na trzeci dzień zabrali ją nam Sowieci. [...] Gdy my się zwracamy, to Moskale nas wypędzają, mówiąc, że Polacy nie powinni się tutaj znajdować”. Atmosferę opisaną w polskich źródłach potwierdzała również w swoich relacjach Freya von Moltke, mieszkająca w Krzyżowej koło Świdnicy, wdowa po działaczu antynazistowskim Jamesie von Moltkem: „Rosjanie nie lubili Polaków, w razie czego zawsze stawali po stronie Niemców”.

Ta nieoczekiwana sympatia miała wymiar praktyczny: Rosjanie, przekraczający swobodnie granicę, szmuglowali ludzi, towary i korespondencję; chętnie używali niemieckich nazw miejscowości, zatrudniali Niemców w gospodarstwach pozostających pod zarządem wojska, a ponadto utrudniali akcję osiedlania się polskiej ludności na Ziemiach Zachodnich oraz wysiedlania Niemców. Podczas kwaterowania Polaków w niemieckich gospodarstwach dochodziło do starć, a nawet ataków z bronią w rękę, których dopuszczali się Rosjanie. Sytuacje takie miały miejsce nie tylko na wsiach, lecz i w samym Wrocławiu. Transport osadników skierowany do wrocławskiej dzielnicy Leśnica został po dwóch dniach odesłany do punktu Państwowego Urzędu Repatriacyjnego na Psim Polu. Tłumaczono: „Niemcy uzbrojeni w kije robią formalny zajazd na zajęte przez nich gospodarstwa, głośno manifestując przynależność Deutsch Lissy [Leśnicy] do nieboszczki Rzeszy Niemieckiej”. Gdy Polacy ani myśleli uciekać, niemieckie dziewczęta miały alarmować zaprzyjaźnionych Rosjan i z ich pomocą wyrzucać osadników.

Od jesieni 1945 r. polska administracja prowadziła akcję zorganizowanych wysiedleń ludności niemieckiej. Ich przygotowanie było nieraz fatalne, co negatywnie wpływało na nastroje wśród wysiedlanych. Także przychylność Sowieców do Niemców w znacznym stopniu utrudniała prowadzenie akcji. Rosjanie uniemożliwiali

Niemcy opuszczają Śląsk, uciekając przed Sowiecami, 1945 r.
Fot. Wikimedia Commons



rejestrację Niemców wytypowanych do wyjazdu, zawracali kolumny maszerujące do punktów przesiedleńczych i utrudniali funkcjonowanie przejścia granicznego, którym transporty były przekazywane do sowieckiej strefy okupacyjnej. Poważnym problemem było również przetrzymywanie wagonów na jej terenie: pociągi z wysiedlonymi tygodniami błąkały się od punktu do punktu, ponieważ Sowieci nie byli w stanie zorganizować obozów przejściowych dla ludności niemieckiej.

W 1948 r. w regionie pozostawała już tylko niewielka grupa Niemców. Z kolei jednostki sowieckie zostały skoszarowane, a liczba żołnierzy znacznie zmalała. Problem codziennych relacji niemiecko-sowiecko-polskich stracił na znaczeniu.

„Wygłodniała szarańcza”

Sowieccy komendanci wojenni kreowali w regionie własną politykę, niezależną od ustaleń podjętych na najwyższym szczeblu. W wielu przypadkach chodziło o zemstę: morderstwa, kradzieże i gwałty były wynikiem antyniemieckiej propagandy i wielu lat ciężkich wojennych przeżyć żołnierzy. Osobną kwestią były kompleksowe demontaże dolnośląskiego przemysłu i zaplanowana działalność „trofiejnych komand”.

Trzeba podkreślić, że rabunek i gwałt nie były wyłącznym przywilejem Armii Czerwonej. Przestępstwa tego typu zdarzały się również na terenie działania wojsk brytyjskich czy amerykańskich. To, co wyróżnia pas Ziemi Zachodnich – były tereny Niemiec, które przeszły pod polską administrację – to skala tych działań. „Rosjanie przybyli do Niemiec niczym wygłodniała szarańcza. Przybyli także z uczuciem, że muszą zabrać z powrotem to, co ukradli im Niemcy” – podkreślił Juri Aleksander Dodlew, jeden ze zdobywców Berlina. Jak trafnie zauważył, rezultatem tragicznej historii była wzajemna nienawiść, utrzymująca się jeszcze przez długie lata.

Wszystkie cytaty wykorzystane w tekście pochodzą z książki Joanny Hytrek-Hryciuk *„Rosjanie nadchodzą!”. Ludność niemiecka a żołnierze Armii Radzieckiej (Czerwonej) na Dolnym Śląsku w latach 1945–1948* (2013).



Joanna Hytrek-Hryciuk (ur. 1977) – historyk, dr, pracownik Oddziałowego Biura Upamiętniania Walk i Męczeństwa IPN we Wrocławiu. Autorka książek: *„Rosjanie nadchodzą!”. Ludność niemiecka a żołnierze Armii Radzieckiej (Czerwonej) na Dolnym Śląsku w latach 1945–1948* (2013); *Między prywatnym a publicznym. Życie codzienne we Wrocławiu w latach 1938–1944* (2019) i in.



Dariusz Węgrzyn

Deportacje z Górnego Śląska do ZSRS w 1945 roku

Cela w Muzeum Gulagu w obwodzie kemerowskim na Syberii. Fot. visit-kurbass.ru

Jak to się stało, że mieszkańcy Górnego Śląska, którzy zostali zabrani na dwa tygodnie do pracy przy udrażnianiu dróg, naprawie wodociągów, usuwaniu szkód wojennych, wrócili – jeśli w ogóle – dopiero po latach? Otóż ich droga powrotna wiodła przez lagry i lata przymusowej pracy w ZSRS. Potraktowano ich jako tzw. żywe reparacje.

Dla nich II wojna światowa skończyła się na początku lat pięćdziesiątych, gdy powracających z „niehumanitarnej ziemi” – wycieńczonych i zniszczonych katorżniczą pracą – odzyskały ich rodziny.

Przed wybuchem wojny społeczność górnośląska wiodła spokojny i przewidywalny żywot¹. Na terenach wiejskich jego wyznacznikiem były rytmy przyrody i związane z nim prace w polu; w ośrodkach miejskich życie było powiązane z cyklem produkcyjnym zakładów, kopalń i hut. Tragiczny kres tego świata nadszedł

¹ Niniejszy artykuł jest nieznacznie skróconą wersją tekstu pt. *Deportacje*, zamieszczonego w półroczniku „CzasyPismo. O historii Górnego Śląska” 2015, nr 1 (7), s. 44–51.

1 września 1939 r. Mieszkańcy tej części regionu, która leżała w granicach Rzeszy Niemieckiej, zostali powołani do Wehrmachtu, a potem dołączyli do nich ci z „polskiej” strony, gdyż po wprowadzeniu folkslisty szybko posypały się wezwania do służby wojskowej. W efekcie ludzie ci ginęli na wszystkich frontach trwającej wojny, walcząc też po przeciwnej stronie, np. w szeregach armii gen. Władysława Andersa. Szybko do masy ludzkiej w mundurach przemierzającej Europę dołączyli cywile. III Rzesza rozpoczęła politykę wysiedleń – wystarczy wskazać na Żywiec-czynę, gdzie wyrzucono z domów 25 tys. mieszkańców. Wagonami bydłocymi wywożono ludzi do pracy przymusowej. Na roboty do Rzeszy została zabrana olbrzymia grupa osób z terenów podbitych – z samej tylko Ukrainy Wschodniej wzięto ich ok. 1,5 mln.

Drugi totalitaryzm stosował podobne metody; przesiedlenia całych grup ludności jeszcze przed wybuchem wojny stanowiły rdzeń systemu represji w Związku Sowieckim. Doświadczyli tego mieszkańcy zajętych przez ZSRS Kresów Wschodnich II RP, deportowani na wschód w latach 1940–1941. Po wybuchu wojny sowiecko-niemieckiej represje nie ustały. Całe narody wsadzono do pociągów i wywieziono z domów. Los ten dotknął Niemców nadwożańskich, Kałmuków, Ingusów, Czeczenów... – długo można by wymieniać. Gdy front się odwrócił i Armia Czerwona w 1944 r. wkroczyła na teren Europy Środkowo-Wschodniej, przyszedł czas na łupy. Józef Stalin zaliczał do nich też „żywe reparacje”, czyli przymusową darmową pracę tych, którzy zostali arbitralnie uznani za Niemców.

Pod koniec 1944 r. Stalin rozesłał „opryczników systemu” – formacje NKWD i kontrwywiadu Armii Czerwonej, czyli osławionego Smierszu. Z obszarów bałkańskich wywieziono na wschód ponad 112 tys. młodych ludzi, którzy na zasadzie odpowiedzialności zbiorowej mieli pokutować za winy III Rzeszy – pracować. Ten złowrogi walec na początku 1945 r. ruszył w kierunku Górnego Śląska. Powoli narastał strach przed zemstą sowiecką, zwłaszcza że głośny i wymowny był przykład z Nemmersdorfu w Prusach Wschodnich, gdzie jesienią 1944 r. żołnierze sowieccy dopuścili się mordów na ludności cywilnej. Szczególnie mieszkańcy przedwojennej „niemieckiej” części Górnego Śląska mieli świadomość, że to oni doświadczą bestialstwa Sowietów, i że na nich spadnie w pierwszej kolejności sowiecka furia. Jak pokazała nieodległa przyszłość, nie mylili się.

„Czyszczenie”, czyli przygotowanie gruntu pod „władzę ludową”

Na całym Górnym Śląsku formacje NKWD i Smierszu wypełniały rozkaz ludowego komisarza spraw wewnętrznych ZSRS Ławrientija Berii z 11 stycznia 1945 r. o tzw. czyszczeniu tyłów frontu. Nie wchodząc w szczegóły – na tyłach walczących oddziałów Armii Czerwonej miał panować spokój. Rozkazy naczelnych władz ZSRS dawały sowieckim organom bezpieczeństwa całkowicie wolną rękę i pozwalały aresztować, osadzać w więzieniu i wysłać do obozów w ZSRS praktycznie każdego. Zatrzymywano więc rzeczywistych, a częściej domniemyanych sabotażystów, osoby związane z aparatem nazistowskim, policją niemiecką. Ale owo „czyszczenie” miało też jeszcze jeden cel: przygotować grunt pod nową „polską władzę ludową”; objęło zatem również członków struktur konspiracji i osoby negatywnie nastawione do nowych władz.

Zdarzało się, że w jednym obozie na Wschodzie, np. w Krasnowodzku na pustyni Kara-Kum, znajdowali się ludzie o nieciekawej przeszłości okupacyjnej i żołnierze AK. To, co ich łączyło, to jedynie wspólny łągrowy los. Na terenie przedwojennego „niemieckiego” Górnego Śląska, czyli Rejencji Opolskiej, Sowievi postępowali zupełnie swobodnie, wychodząc z założenia, że jest to obszar okupowany, który może i zostanie przekazany stronie polskiej, ale wcześniej należy go maksymalnie wyeksploatować ze wszystkich dóbr, do których zaliczali też ludzi jako darmową siłę roboczą.

„Żywe reparacje”

Wśród osób wywiezionych z Górnego Śląska na Wschód aresztowani byli w zdecydowanej mniejszości (ok. 20 proc.). Większość stanowili tzw. internowani, zmobilizowani Niemcy – jak określili ich sami Sowievi, którzy zastosowali w tym przypadku niezwykle oryginalną konstrukcję, nieznaną dotąd w prawie międzynarodowym. Mężczyzn w wieku 16–50 lat jako obywateli niemieckich formalnie internowano, by uchronić tyły walczących żołnierzy sowieckich od aktów dywersji i sabotażu. Na kolejnym etapie mieli zostać zmobilizowani, ale nie do wojska, lecz do pracy, by w ramach batalionów roboczych odbudowywać zniszczenia wojenne, szczególnie na obszarach ukraińskich i białoruskich. Decyzje w tej sprawie podjął Państwowy Komitet Obrony ZSRS

3 lutego 1945 r., ale poczekano na postanowienia konferencji w Jałcie. Regulacje sowieckie odnosiły się do obszarów Górnego Śląska i Prus Wschodnich z możliwością ich rozszerzenia na obszary położone bardziej na zachód, w miarę jak będą zajmowane przez Armię Czerwoną.

Po konferencji jałtańskiej, zakończonej 11 lutego 1945 r., Stalin miał w kieszeni zgodę na potraktowanie pracy ludności niemieckiej jako jednego z elementów odszkodowań dla ZSRS za poniesione straty wojenne. Stąd nazwa „żywe reparacje”. Teraz można było wcielić w życie decyzje podjęte już na początku miesiąca. Na te-

renach przedwojennego „niemieckiego” Górnego Śląska rozpoczęła się wielka łapanka. Już od 12 lutego 1945 r. na słupach, murach domów, wrotach stodół pojawiały się plakaty koloru czerwonego. Wzywały one mężczyzn w wieku 16–50 lat do stawienia się w określonych punktach z zapasem żywności na 10–15 dni oraz ubraniem na zmianę. Wśród konsekwencji karnych, grożących za niepodporządkowanie się zarządzeniu, była „zsyłka na Sybir” (*sic!*). Ponieważ w tej operacji chodziło o pochwylenie w krótkim czasie maksymalnie dużej grupy robotników, funkcjonariusze NKWD zabierali całe zmiany osób wprost z ich miejsca pracy. Na terenach wiejskich organizowano łapanki – polowania na ludzi.



Paweł Wyciślik, deportowany z Żor w rejon Nowosybirską.
Fot. ze zbiorów Lidii Klyszcz

Zatrzymanych gromadzono w określonych miejscach, np. w obozie w Łąbędach, w więzieniu w Bytomiu lub w koszarach piechoty w Gliwicach. Grupowano ich głównie pod kątem wykonywanych zawodów. Posiadane kwalifikacje decydowały o miejscu zsyłki na terenie ZSRS. Rolnicy, budowlańcy, robotnicy niewykwalifikowani mieli trafić na Białoruś, do pracy w kołchozach i na budowach, przy karczowaniu lasów, kopaniu torfu. Z kolei górnicy, hutnicy i robotnicy wykwalifikowani mieli zostać skierowani na wschód Ukrainy w rejon Donbasu i ówczesnego miasta Stalino, noszącego dziś nazwę Donieck.

Osoby chore i inwalidzi mieli zostać wypuszczeni na wolność, ale robiono to niechętnie. Argumentem skuteczniejszym od orzeczenia lekarskiego był alkohol wręczony przez rodzinę strażnikom; mógł oznaczać wolność, ale przypadki takiego „wykupu” były nieliczne. W marcu 1945 r. ruszyły kolumny piesze do dworców kolejowych, gdzie czekały już wagony bydłce, tzw. krowioki. Za miejsce symboliczne należy uznać dworzec w Pyskowicach, skąd wyruszyło najwięcej wagonów ze śląskimi „żywymi reparaacjami”. Ludzie jechali na wschód, jak inne „sowieckie łupy”: poupychani maksymalnie w wagonach, w których były najczęściej jedynie gołe prycze z desek, piecyk oraz dziura w podłodze służąca za ubikację. Generalnie wywózka dóbr zabranych z tego regionu jako obszaru „niemieckiego” wiązała się z olbrzymim marnotrawstwem. Już bowiem na etapie transportu, który jechał najczęściej kilkanaście dni, liczył się czas, a nie kondycja przewożonych. Ciasnota, nieregularne posiłki, brak opieki medycznej skutkowały tym, że nawet najzdrowsi przybywali na miejsce poważnie osłabieni, a z kolei mniej odporni – w najlepszym wypadku – jako chorzy. Nawet po kilka osób na wagon liczący 80 więźniów nie przeżywało tej drogi. Zwłoki pozostawiano okolicznej ludności albo wyrzucano z wagonów na nasyp kolejowy.

Krwawe żniwo

Oszacowanie całkowitej liczby deportowanych z Górnego Śląska w 1945 r. jest ciągle poważnym problemem. Oddział IPN w Katowicach stara się stworzyć ich imienną listę. W tym roku zostanie wydana księga pamięci internowanych, aresztowanych i deportowanych do ZSRS w 1945 r. mieszkańców Górnego Śląska. Będzie zawierała biogramy 46 100 osób (dane personalne, informacje o pobycie w ZSRS, datę powrotu, a w przypadku śmierci przed powrotem

z deportacji – ustalone miejsce i datę zgonu). Zbiór ten jest chyba pierwszym w Polsce ujęciem w takiej formie wielkiej akcji deportacyjnej z czasu II wojny światowej. Co ważne, jest to opracowanie prawie kompletne, obejmuje bowiem ok. 98 proc. wszystkich represjonowanych.

Przymusowa praca Górnoślązaków – a właściwie cywilów z Europy Środkowo-Wschodniej, których wywieziono ok. 350 tys. – wiąże się z klęską pewnej iluzji władz sowieckich. Plany były rozdmuchane i miały się bilansować ekonomicznie.

Ludzie ci mieli trafić do łagrów specjalnego systemu obozowego podlegającego pod Główny Zarząd ds. Jeńców Wojennych

Powszechny głód i brud w połączeniu z ciężką pracą, praktycznie sześć dni w tygodniu, szybko spowodowały degradację zdrowotną deportowanych. Więźniowie umierali z wycieńczenia, ale równie groźne okazały się epidemie.

i Internowanych NKWD/MWD. Tam w batalionach roboczych mieli pracować na potrzeby poszczególnych zakładów pracy. Przedsiębiorstwa te miały wypłacać komendantowi obozu wynagrodzenie, przeznaczone na wyżywienie i opiekę medyczną internowanych. Zakładano nawet, że mieli oni otrzymywać swoisty „udział w zyskach” w postaci niewielkiej kwoty częściowo wypłacanej w gotówce, a częściowo odkładanej na imiennym obozowym rachunku, tak by w momencie wypuszczenia na wolność dysponowali pewną sumą pieniędzy.

Takie były założenia w teorii, a jak wyglądała sowiecka praktyka? Przede wszystkim deportowani, w tym Górnoślązacy, trafili na „surowy korzeń”. Obóz musieli sobie najczęściej sami wybudować. Praktycznie przez cały rok 1945 w tych obozach nie było infrastruktury: łaźni, odwieszalni czy stołówek. Kondycja fizyczna osadzonych pogarszała się z dnia na dzień. Powszechny głód i brud w połączeniu z ciężką pracą sześć dni w tygodniu szybko spowodowały degradację zdrowotną. Ubrania, które przywieźli z domów, w których pracowali i spali, szybko się zużyły i już w połowie roku komendanci obozów raportowali przełożonym, że mają sporą grupę więźniów, którzy chodzą w łachmanach i boso lub w „szczątkowym obuwiu”. Wkrótce miały nadejść jesień i zima, co w warunkach tamtejszego klimatu znaczyło, że ludzie ci nie mogli wyjść do pracy.

Więźniowie umierali z wycieńczenia pracą, ale równie groźne okazały się epidemie chorób zakaźnych, które w przepełnionych barakach, w warunkach braku higieny i przy symbolicznej opiece medycznej zbierały krwawe żniwo. Szybko też się okazało, że założenia ekonomiczne obozów pracy zaczęły się walić. Zakłady zatrudniały więźniów, ale marnotrawiły ich pracę i wypłacały najniższe wynagrodzenie. Praca była ciężka, ale często bezsensowna i źle zorganizowana. W obozach panowała wysoka śmiertelność i coraz niższy był odsetek ludzi zdolnych do pracy. Powiększała się grupa łagierników ciężko chorych, leżących w obozie, a pozostali, idąc do pracy, musieli zapracować na ich utrzymanie, choćby na minimalnym poziomie. W połowie 1945 r. odbyła się narada komendantów obozów pracy obwodu dniepropietrowskiego na Ukrainie. Podczas dyskusji przyznawali z rozbijającą szczerością, że chociaż nie płacą osadzonym ani grosza, obozy są deficytowe. Stąd pierwsze decyzje podejmowane już w połowie 1945 r. o wypuszczaniu niektórych deportowanych na wolność. Mówiąc wprost, zaczęto pozbywać się osób zbędnych, starych, schorowanych, niezdolnych do pracy. Ten proces postępował w następnych latach. Jeśli ktoś był zdrowy i nadawał się do pracy w tych skrajnych warunkach, pozostawał w łagrze do 1950 r., do chwili, kiedy to zdecydowana większość deportowanych mieszkańców Górnego Śląska została zwolniona.

Powrócili najsilniejsi

Kręte były drogi, którymi wracali szczęśliwcy wypuszczeni z łagrów. Część z nich, definiowaną przez Sowieców (trudno powiedzieć, na jakiej podstawie) jako Polacy, kierowano do obozów MWD w Brześciu Litewskim (obóz nr 284) oraz w Poznaniu (obóz nr 177). Dłuższa była natomiast droga powrotna tych, którzy zostali określani jako Niemcy. Ich kierowano do obozu nr 64 we Frankfurcie nad Odrą i dopiero tam, po wypuszczeniu na wolność i podleczeniu, mogli podjąć starania o wyjazd na Górny Śląsk, gdzie przebywały ich rodziny.

Spora grupa zwolnionych osób – skrajnie wyczerpanych i chorych – nie przeżyła transportu; część zmarła zaledwie kilka dni po powrocie do domów i przywitaniu się z bliskimi. Na obecnym poziomie wiedzy można przyjąć, że jeden na trzech wywiezionych w 1945 r. nie przeżył internirungu – jak miejscowi nazywali i wciąż nazywają deportacje z Górnego Śląska.

W dyskusjach koncentrujemy się na losach wywiezionych. Tymczasem w domach pozostały rodziny, najczęściej z kilkorgiem dzieci, które jednego dnia straciły jedynego żywiciela. Kobiety musiały podjąć pracę, co było trudne, jeśli miały małe dzieci i nie posiadały kwalifikacji, a dobrze opłacane zajęcia były zarezerwowane dla mężczyzn. Odzwierciedleniem trudnej sytuacji matek było to, że w pierwszej połowie 1945 r. blisko sześćset kobiet pracowało pod ziemią przy wydobyciu i transporcie węgla. Ważną rolę odgrywała wówczas wielopokoleniowość śląskich rodzin – dziadkowie włączali się w wysiłki utrzymania domu i przede wszystkim wychowania dzieci. Z uwagi na wysoką śmiertelność wśród deportowanych cała grupa dzieci na Górnym Śląsku wychowywała się, nie widząc lub nie pamiętając ojca, który nie wrócił z internirungu. Jeśli wracał, to jako człowiek schorowany, na którego zdrowiu, ale i psychice głęboko odcisnęły się pobyt i przymusowa praca w ZSRS.

O ile powoływanie do służby w wojsku i walka na różnych frontach (nawet po różnych stronach konfliktu) mieściły się w wyobraźni mieszkańców tej pogranicznej krainy, o tyle internowanie, wydarzenie nagłe, dotyczące jednego dnia wszystkich mężczyzn w sile wieku, było zjawiskiem dotychczas niespotykanym. Wywołało nie tylko strach, lecz i traumę, z którą nie mogli sobie poradzić nawet ci, którzy wrócili szczęśliwie do domów (a przecież wielu zmarło w miejscu nieznanym dla ich rodzin). Może dlatego słowo internirung budzi tu do dziś ogromne emocje.



Dariusz Węgrzyn (ur. 1975) – historyk, dr, pracownik Oddziałowego Biura Badań Historycznych IPN w Katowicach. Autor książek: *Aparat bezpieczeństwa państwa wobec środowisk narodowych na Górnym Śląsku i w Zagłębiu Dąbrowskim w latach 1945–1956* (2007); *Od pierwszego strajku do „Trzeciego Szeregu”. NSZZ „Solidarność” Region Podbeskidzie (1980–1983). Opis konfliktu politycznego* (2013); (z Sebastianem Rosenbaumem) *„Wywieziono nas bydłęcymi wagonami”. Relacje deportowanych z Górnego Śląska do Związku Sowieckiego w 1945 roku* (2015); (z Adamem Dziubą i Tomaszem Kurpierzem) *Wypatrując Andersa. Konspiracja niepodległościowa w województwie śląskim 1945–1948* (2019) i in.



Liceum Ogólnokształcące im. Władysława IV przy ul. Jagiellońskiej w Warszawie, dawna siedziba Trybunału Wojennego Armii Czerwonej.
Fot. Wikimedia Commons

Tomasz Łabuszewski

Warszawa w objęciach Wielkiego Brata

Warszawa była dla Józefa Stalina i polskich komunistów miejscem wyjątkowym przede wszystkim z tego powodu, że tu znajdowały się wszystkie centralne aktywa Polskiego Państwa Podziemnego – Komenda Główna Armii Krajowej, Delegatura Rządu i Rada Jedności Narodowej – ale także jeden z najsilniejszych miejskich garnizonów armii polskiej w kraju. Dopiero ich złamanie i likwidacja dawały realną szansę na uchwycenie i utrzymanie władzy w Polsce przez Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego.

Trzeba przyznać, że sowieckie władze okupacyjne zrealizowały ten cel w sposób niezwykle makiaweliczny, szybki i wyjątkowo skuteczny. Rękami niemieckimi doprowadziły w 63 dni do całkowitego wypalenia wspomnianego centrum decyzyjnego i dowódczego Polskiego Państwa Podziemnego, a także do zagłady pięćdziesięcioletniego korpusu AK. Lewobrzeżna część stolicy z jej najważniejszymi zabytkami, świadectwami stołeczności Warszawy, legła w gruzach u stóp Armii Czerwonej, czekającej wytrwale na wschodnim brzegu Wisły.

Pozostała Praga, z mieszkańcami ocalałymi w znacznej części z pożogi powstańczej, którzy późnym latem 1944 r. mimowolnie stali się naocznymi świadkami wiarołomstwa sojusznika naszych sojuszników. Pozostali także stosunkowo liczni konspiratorzy z tego terenu: z Obwodu Praga Armii Krajowej, z czterech rejonów Obwodu Powiat Warszawski AK (Legionowo, Marki, Rembertów i Otwock), z Podokręgu Wschodniego AK oraz ci wszyscy członkowie konspiracji niepodległościowej z dywizji piechoty: 30. Poleskiej, 27. Wołyńskiej i 9. Podlaskiej, którzy latem 1944 r. zdążyli na pomoc walczącej stolicy. Pozostały wreszcie miejscowości podwarszawskie nasycone ponad miarę mieszkańcami lewobrzeżnej części stolicy ocalałymi z hekatomby powstańczej oraz żołnierzami Warszawskiego Korpusu Armii Krajowej.

Mapa sowieckiego terroru

Wszystkie te miejsca NKWD, Smiersz, Urząd Bezpieczeństwa Publicznego oraz Informacja Wojskowa Naczelnego Dowództwa LWP musiały jak najszybciej dokładnie przeszukać, ocalałych zaś członków Polskiego Państwa Podziemnego zatrzymać i wyeliminować. Dla osiągnięcia tych celów potrzeba było zaangażowania znacznych sił komunistycznego aparatu bezpieczeństwa, nowych centrów dowodzenia, a zwłaszcza licznych miejsc represji gotowych na przyjmowanie aresztowanych. Nieprzypadkowo wybierano początkowo głównie miejsca w prawobrzeżnej części stolicy. Niezniszczone w trakcie powstańczych walk praskie kamienice, które mogłyby stać się schronieniem dla uchodźców z lewobrzeżnej części miasta, okazały się teraz prawdziwym przekleństwem. Już późną jesienią zaczęli wprowadzać się do nich nowi „lokatorzy”, nadając im status całkowicie odmienny od dotychczasowego: zwyczajne mieszkania zamieniały się w pokoje przesłuchań; piwnice – w podręczne cele i areszty; spokojne dotąd podwórka – w miejsca ostatniego spoczynku mordowanych więźniów. Wszystko to działo się tuż obok domów, w których ludzie starali się na przekór wszystkiemu po prostu normalnie żyć, mimo krzyków, jęków torturowanych, gwałtów i grabieży dokonywanych przez „wyzwolicieli”. 17 stycznia 1945 r., po zajęciu przez Armię Czerwoną i Ludowe Wojsko Polskie ruin lewobrzeżnej Warszawy i odejściu na zachód większości jednostek Armii Czerwonej, proces instalowania się na Pradze NKWD, a w następnej kolejności UBP i Milicji Obywatelskiej nabrał nowej dynamiki. Zapowiadał to zresztą już 19 stycznia 1945 r. główny rozgrywający na terenie Polski – gen. Iwan Sierow – pełnomocnik

» **Zwyczajne mieszkania zamieniały się w pokoje przesłuchań; piwnice – w podręczne cele i areszty; spokojne dotąd podwórka – w miejsca ostatniego spoczynku mordowanych więźniów. Wszystko to działo się tuż obok domów, w których ludzie starali się normalnie żyć.** »

co następuje: 1. Zorganizowaliśmy grupy operacyjno-czekistowskie mające na celu filtrację wszystkich mieszkańców zamierzających przedostać się na Pragę”.

Do dzisiaj nie wiemy, jak przedstawiała się struktura sowieckich wojskowych władz okupacyjnych w Warszawie. Według jednego ze świadków: „Komendantów wojskowych polskich w Warszawie jest dwóch – jeden na Warszawę, al. Ujazdowskie (obecnie al. Stalina) róg al. Róż i komendant na Pradze, Otwocka 3. Obydwaj rosyjscy Polacy – pułkownicy. Rosyjskich komendantów wojskowych jest czternastu (Warszawa podzielona jest na 14 rejonów), na każdym rejonie jest major, przeważnie dość inteligentny, zastępcą kapitan, przeważnie półanalfabeta, pluton ochrony i komórka NKWD. Zajmują oni zawsze jeden z nieopalonych domów swego rejonu, wysiedlając z tegoż domu ludność cywilną. [...] Na każdym kroku spotyka się robocze drużyny rosyjskie, wyciągające kable podziemne na terenie całej Warszawy. Kable te następnie wywożone są samochodami w niewiadomym kierunku”.

Z danych zebranych przez poakowski wywiad wiadomo, że zimą 1944/1945 r. dowództwo Armii Czerwonej zajęło na Pradze, na siedziby komendy miasta, co najmniej cztery gmachy. Poza wspomnianą już Otwocką 3 także kamienice przy Kawęczyńskiej 12, Jagiellońskiej 17 oraz Targowej 76. Co więcej, na Szmulkach przy ul. Wiosennej 8 mieściło się tzw. przedstawicielstwo wojsk sowieckich o nierozpoznanym dotąd charakterze (najprawdopodobniej kwatery oficerów Armii Czerwonej). Spośród wymienionych lokalizacji najważniejsza w początkowym okresie była z pewnością Otwocka 3; mieściły się tam bowiem, poza wzmiankowaną komendą, także Trybunał Wojenny oraz siedziba prokuratora Armii Czerwonej. Na swoisty chichot historii zakrawa to, że do dzisiaj na ścianie gmachu (mieści się w nim szkoła podstawowa) widnieje napis informujący o obecności w tym właśnie miejscu pierwszych władz Warszawy. Zapewne autorzy tego upamiętnienia mieli na myśli kogoś zupełnie innego, niż było to w rzeczywistości.

NKWD przy 1. Froncie Białoruskim, pisząc do ludowego komisarza spraw wewnętrznych Ławrientija Berii: „W celu zaprowadzenia należytego porządku w Warszawie wykonaliśmy

Kolejny Trybunał Wojenny został zlokalizowany przy ul. Jagiellońskiej 38 (w budynku Gimnazjum im. Władysława IV). Ulica ta z wolną zaczęła się zamieniać w wydzieloną sowiecką enklawę. Pod numerem 34 urzędował bowiem przewodniczący wspomnianego trybunału, a w kamienicy pod numerem 28 urzędzili się prokuratorzy Armii Czerwonej. O tym, jak wyglądała wówczas część gmachu Gimnazjum im. Władysława IV, wspominał po latach jeden z jego abiturientów: „Zacząłem chodzić do Władysława IV w roku szkolnym 1945/1946, wtedy szkoła była na ul. Kawęczynskiej i kończyłem tam drugą klasę gimnazjum. Natomiast w następnym roku szkolnym 1946/1947 gimnazjum i liceum im. Władysława IV przeniosło się do swojego gmachu na ul. Jagiellońskiej 38. Wówczas szkoła nie zajmowała całego budynku. Moja klasa była na pierwszym piętrze i okna, duże okna były zamalowane (najniższy poziom okien) od zewnątrz, szarą farbą. Moje miejsce było przy ścianie z oknami i zauważyłem, że ta farba odstaje przy framudze na dole. Mogłem więc przez szparę patrzeć i obserwować boisko. Myśmy wtedy wiedzieli tyle, że w skrzydle od ul. Jagiellońskiej jest jakiś posterunek czy jakaś siedziba NKWD. Brama była zamknięta, nie było wejścia do szkoły od tamtej strony. Od strony naszego gmachu drzwi na boisko były zabite deskami i właściwie tam było tylko jedno wyjście i jak oni to wszystko zabili z jednej i drugiej strony, to nawet niewielu miało świadomość, że tam były kiedyś drzwi na boisko. Na boisko nikt z uczniów nie mógł wchodzić. Tak samo brama od ul. Jagiellońskiej była zamknięta, stał wartownik w bramie i stał wartownik od strony boiska. To było strasznie strzeżone miejsce. Natomiast na boisku stał ciekawy budynek i on mnie bardzo zainteresował. Był to budynek kwadratowy chyba z dachem czterospadowym, a może płaskim z okapami, było jedno wejście do tego budynku – drzwi zamykane na skobel. Dookoła tego budynku w promieniu 2 metrów był porządnie zrobiony płot z drutu kolczastego. Wartownik stał przy wejściu, które też było zamykane na furtkę z drutu kolczastego”.

Kolejny sowiecki Trybunał Wojenny był ulokowany w gmachu dawnej carskiej rogatki przy zbiegu ulic 11 Listopada i Szwedzkiej. Podobnie jak dwa wskazane wcześniej, także i on dysponował własnym podręcznym aresztem znajdującym się w piwnicach sąsiedniej kamienicy – pod numerem 66. „Po drugiej stronie ul. 11 Listopada – wspominał jeden ze świadków – chodziły gęsto patrole NKWD i stały warty przed niektórymi budynkami. Ich było bardzo łatwo rozpoznać,

bo ich zewnętrzny moderunek: umundurowanie od butów po czapkę były w lepszym gatunku. Oficerowie w zimę chodzili w długich kozuchach. Z matką, chcąc przejść na Targówek, musieliśmy przechodzić przez jedyne przejście, którym był wiadukt kolejowy i przepust. I tam po obu stronach stały wzmocnione posterunki NKWD i kontrolowały przechodzących. Zwłaszcza mężczyźni byli zatrzymywani. Dopiero później (to była zima z 1944 na 45) przyszła wiedza, szeptana, że na terenie przykolejowym dzieją się makabryczne rzeczy, że Sowieci likwidują AK-owców. Pamiętam z końca lat 60., że na terenie przyległym do linii kolejowej, blisko wiaduktu, często były składane kwiaty, był jeden duży krzyż”. Warto przypomnieć, że wszystkie sowieckie trybunały wojenne – mimo że tworzono je przede wszystkim z myślą o żołnierzach Armii Czerwonej – na mocy porozumienia z 26 lipca 1944 r. zawartego z PKWN miały pełne prawo sądzić i skazywać wszystkich obywateli polskich znajdujących się w bezpośredniej strefie przyfrontowej. Stąd też ich siedziby znajdujące się na Pradze z pewnością możemy uznać za miejsca represji Polaków.

Oprócz gmachów przy Otwockiej i Jagiellońskiej sowieckie władze wojskowe przejęły na Pradze także strategiczny gmach Dworca Wileńskiego, budynki dyrekcji PKP przy ul. Wileńskiej 2/4 (rezydował tam m.in. pełnomocnik Armii Czerwonej przy Prezydium Rady Ministrów), jak również gmachy przy ul. Zamoyckiego 43 i Targowej 81, zajęte przez intendenturę oraz jednostki logistyczne Armii Czerwonej.

Równoległe do sowieckich władz wojskowych na Pradze zaczęło instalować swoje aktywa także NKWD, planując szeroko zakrojone operacje przeciwko polskiemu podziemiu niepodległościowemu (np. operację o kryptonimie „Białowieża”, wymierzoną w struktury Podokręgu Wschodniego Obszaru Warszawskiego AK). Tak w mieście, jak i na jego bezpośrednim zapleczu działały co najmniej dwie sowieckie grupy operacyjne: „warszawska”, dowodzona przez płk. Pawła Michajłowa, i „praska”, kierowana przez płk. Michaiła Lichaczowa. Wzorem formacji wojskowych sowiecki aparat bezpieczeństwa starał się koncentrować swoje aktywa na niewielkim obszarze, tworząc enklawę także na Pradze-Północ.

Obejmowała ona kwartał miasta wyznaczany przez ulice: 11 Listopada, Szwedzką, Inżynierską i Wileńską. Wyłomem w tym zakresie były budynki byłego żydowskiego akademika przy ul. Sierakowskiego 7, w którym w okresie okupacji niemieckiej funkcjonował Szpital Przemienienia Pańskiego, oraz położony blisko



Więzienie karno-śledcze nr III, tzw. Toledo. Fot. domena publiczna

niego gmach przy ul. Szerokiej 8 (wykorzystywany najprawdopodobniej na kwatery), a także bliżej nieustalone – używane doraźnie jako miejsca przetrzymywania aresztowanych – domy prywatne na Targówku. Jedynym do dzisiaj obiektem na Pradze-Południe rozpoznanym jako miejsce represji sowieckich – był zajęty przez NKWD wiosną 1945 r. niemiecki obóz pracy przy ul. Skaryszewskiej 8, zlokalizowany m.in. w gmachu Gimnazjum im. gen. Jakuba Jasińskiego. „Ostatnio uruchomiony został czwarty obóz na ul. Skaryszewskiej na Pradze – informowała strona niepodległościowa – obecnie znajduje się w nim przeszło 3 tysiące robotników polskich przywiezionych z Niemiec. Cel uwięzienia tych robotników i ich trzymanie zupełnie nieznany. RGO [Rada Główna Opiekuńcza], powiadomione o wyjątkowo ciężkich warunkach i głodzie panującym w tym obozie, otrzymało polecenie na udzielenie pomocy. Obozu przy Skaryszewskiej pilnują żołnierze w uniformach polskich i mówiący po polsku, wewnątrz wyłącznie NKWD”.

Największy kompleks budynków na Pradze przejęty przez aparat bezpieczeństwa, w pierwszej kolejności sowiecki, to były koszary 36. Pułku Piechoty Legii Akademickiej WP, zlokalizowane przy ul. Ratuszowej 11 (obecnie Namysłowska 6), w których zorganizowano najważniejsze w Warszawie (do połowy 1945 r.) więzienie karno-śledcze, znane też jako więzienie przy ul. 11 Listopada lub „Toledo”. Od ulicy więzienie oddzielał wysoki na około 3 metry mur zakończony

zasiekami z drutu kolczastego. W narożnikach znajdowały się wieżyczki strażnicze z reflektorami. Na pierwszym piętrze był oddział śledczy z osobnymi celami dla mężczyzn i kobiet oraz pokojami przesłuchań. Wydzielona cela skazanych na karę śmierci znajdowała się także na pierwszym piętrze, a egzekucje odbywały się co najmniej w dwóch miejscach. Były to dwie piwnice zwane potocznie bunkrami, zlokalizowane na dziedzińcu więzienia oraz poza budynkiem więziennym w załomie muru. W tym miejscu wmurowana była dodatkowo szyna, na której wieszano skazańców. Zwłoki zamordowanych zakopywano głównie na terenie więzienia, pod murem cmentarza Brudnowskiego lub w innych nierozpoznanych lokalizacjach.

Podobną rangę jak omawiane Jagiellońska czy 11 Listopada zyskała również niepozorna i cicha jak dotąd uliczka Strzelecka – zamknięta z jednej strony Szwedzką, z drugiej zaś Kłopotowskiego i 11 Listopada. To tutaj, w narożnej kamienicy nr 8, znajdowało się jedno z dwóch w Warszawie centrów działań operacyjnych NKWD. To tutaj przywożono zatrzymanych w trakcie obław członków Polskiego Państwa Podziemnego. Według potwierdzonych danych trafili tu m.in. dwaj najważniejsi politycy zatrzymani w czasie prowokacji pruszkowskiej: Jan Stanisław Jankowski – Delegat Rządu (wicepremier Rządu RP na uchodźstwie) i Kazimierz Pużak – przewodniczący podziemnego parlamentu – Rady Jedności Narodowej (zarazem działacz PPS-WRN), a ponadto: Aleksander Zwierzyński – prezes Stronnictwa Narodowego, Jan Hoppe – działacz Stronnictwa Pracy (przedwojenny poseł na Sejm RP), ostatni komendant Obszaru Warszawskiego AK – płk Zygmunt Marszewski „Kazimierz”, były komendant Okręgu Nowogródzkiego AK – płk Janusz Szlaski „Prawdnic”, komendant Podokręgu Wschodniego AK – ppłk Lucjan Antoni Szymański „Janczar”, jego szef wywiadu – mjr Józef Cieszek „Lubart”, komendant Obwodu AK Sokołów Podlaski – mjr Jerzy Sasin „Rosa” i wielu innych. W lokalach mieszkalnych na pierwszym, drugim i trzecim piętrze, z których wcześniej wyrzucono mieszkańców, zaczęli urzędować śledczy NKWD, w piwnicach i na parterze urządzono podręczny areszt wraz z dwoma karcercami suchymi (bez okien), zlokalizowanymi pod schodami dwóch klatek schodowych od strony ul. Strzeleckiej, oraz jednym mokrym, stworzonym z małej komórki z oknem od strony dziedzińca. Zwłaszcza ten ostatni budził szczególną grozę wśród aresztowanych.

„Jak mnie Halicki przesłuchiwał i nie dowiedział się ode mnie, czego chciałem, wsadzili mnie do karca, stałem w wodzie trochę poniżej kolan – wspominała Gabriela

Klimczak. – W piwnicy wprawdzie, ale okno wybite. Kojec zamurowany w piwnicy, woda i ja tylko w sweterku i sukieneczce, i w bamboszach na nogach. Woda na łydkach mi obmarzała. Jak mnie zamknęli, napuścili zimnej (naturalnie) wody, to była godzina szósta, siódma – już było chyba po kolacji. Myślę sobie: »Nic, tylko zamarznię«. Wprawdzie mogłam się wdrapać na murek, ale jeszcze gorzej, bo mi strasznie wiało w plecy z tego okna, bo nie było szyby, a było dwadzieścia stopni mrozu.

O godzinie dwunastej było dwóch strażników. Wszystkie cele były pozamykane i wejściowe drzwi pozamykane. Przyszło do mnie dwóch strażników, wypuścili wodę, wzięli mnie do siebie do dyżurki, przynieśli mi buty, palto, dali mi się napić gorącej kawy. Mówię szczerze, uratowali mi życie, bobym tam zamarzła przez noc”.

To przy ul. Strzeleckiej przez kilka miesięcy znajdowała się jedna z dwóch warszawskich kwater gen. Sierowa – odpowiedzialnego za rozbięcie polskiego podziemia niepodległościowego. To przy Strzeleckiej rezydował wspomniany już płk Michajłow, a w późniejszym czasie także sowieccy doradcy przy Ministerstwie Bezpieczeństwa Publicznego – gen. Nikołaj Seliwanowski i płk Siemion Dawydow – oraz przy Wojewódzkim UBP w Warszawie – ppłk Jan Bobczenko. Dla zachowania tajemnicy zbrodni, których tam dokonywano, ul. Strzelecka od Środkowej do Kłopotowskiego została wiosną 1945 r. na kilka miesięcy wyłączona z ruchu – w poprzek jezdni postawiono zasieki z drutu kolczastego i wystawiono wartowników. Teren oświetlały reflektory o dużej mocy. Ofiary niezwykle brutalnych przesłuchań odsyłano bądź do obozu specjalnego nr 10, a następnie kontrolno-filtracyjnego w Rembertowie, bądź do pobliskiego więzienia karnoleśedczego przy ul. 11 Listopada, gdzie czekały na nich – wyrok i egzekucja lub transport do któregoś z więzień podległych MBP. „Budynek przy ul. Środkowej 13 [róg Strzeleckiej 8] – informowała poakowska siatka wywiadowcza – zajęty przez władze bezpieczeństwa. Trzymani są w nim i poddawani badaniom więźniowie. Dom jest na zewnątrz odgradzony drutem kolczastym, na którym widnieją napisy: przechodzić na drugą stronę. Wieczorem budynek oświetlają cztery silne reflektory oraz strzegą wzmocnione straże zewnętrzne. Mieszkańcy sąsiednich domów opowiadają, że z budynku władz bezpieczeństwa dochodzą stale jęki, a nawet podobno odgłosy salw związanych z wykonywaniem wyroków śmierci. Jest w każdym razie faktem, że w piwnicach budynku umierają ludzie na skutek bicia, podczas badania przez funkcjonariuszy służby bezpieczeństwa”.

Dodatkowo przy ul. Strzeleckiej pod numerami 10, 40 i 46 zostało ulokowane dowództwo odwodu operacyjnego NKWD działającego na terenie stolicy – którym był III, a następnie II batalion z 2. Pułku Strzeleckiego 64. Dywizji Wojsk Wewnętrznych NKWD (w sumie, w różnych okresach, było to od pięciuset do ponad siedmiuset żołnierzy). W drugiej połowie 1945 r. przeniesiono go do Fortu Bema, położonego niedaleko cmentarza na Powązkach Wojskowych. Na Pradze pozostał jedynie pododdział ochronny, w sile od plutonu do kompanii żołnierzy, zakwaterowanych najprawdopodobniej w budynkach fabrycznych przy ul. Szwedzkiej 2. Znamienne, że głównym zadaniem spoczywającym na żołnierzach Wojsk Wewnętrznych NKWD była, poza udziałem w obławach, ochrona komunistycznych władz polskich przed... mieszkańcami Warszawy, jak również „zabezpieczenie” głównych arterii komunikacyjnych miasta – w tym zwłaszcza mostów. Ich dziełem niejako przy okazji były dziesiątki aktów grabieży i terroru dokonywanych w dzień i w nocy w prawo- i lewobrzeżnej części stolicy.

„Aresztowano na Pradze w domu przy ul. Kawęczyńskiej i Radzywińskiej kilkadziesiąt osób wieczorem na podstawie list – informował jeden z meldunków siatki wywiadowczej Delegatury Sił Zbrojnych na Kraj. [...] W godzinach południowych na bazarze przy ul. Stalowej przeprowadzono łapankę. Sprawdzano legitymację

Strzelecka 8 – piwnice byłej katowni NKWD. Fot. Marcin Jurkiewicz/IPN



i przeprowadzono rewizje osobiste. Szczególną uwagę zwracano na dowody pracy, nieposiadających dowodów zatrzymano. Wieczorem tego samego dnia (godzina 21.15) w Teatrze Miejskim [przy] ul. Zamoyskiego zatrzymano ok. 50 osób. Obie akcje kierowane były przez NKWD. W pierwszych dniach czerwca – zaostrezenie w postępowaniu UB w stosunku do ludności Pragi. Zatrzymanych po godzinie 22.00 trzyma się w pozycji leżącej, z twarzą do ziemi, z podniesionymi nad głową rękami, do przybycia eskorty odprowadzającej do komisariatów”.

W czerwcu 1945 r. (tuż po zakończeniu działań wojennych) polska strona niepodległościowa sygnalizowała znaczny wzrost obecności NKWD na Pradze. Według ustaleń wywiadu Delegatury Sił Zbrojnych na Kraj: „W ślad za przybyciem oddziału pancernego wojska NKWD, do dn. 9 czerwca 1945 r. przybywały na Pragę codziennie nowe oddziały NKWD wyposażone w samochody pancerne, motocykle z bronią maszynową i kcm na taczankach. Według obliczeń członków MO [...] łączny stan tych oddziałów wynosi około 3 tysiące oficerów i żołnierzy”. Podana we wspomnianym meldunku liczba żołnierzy NKWD była z pewnością przesadzona, odzwierciedlała ona jednak obawy mieszkańców stolicy, którzy na co dzień byli narażeni na planowe i spontaniczne, polityczne i kryminalne akty agresji ze strony sojusznika naszych sojuszników. W jednym z wielu doniesień Delegatury Sił Zbrojnych na Kraj jej wywiadowca odnotował: „Pijani żołnierze sowieccy o godzinie 15 grabili kupców na bazarze Różyckiego (Praga). Interwenujący milicjanci zostali pobici. Wywiązała się strzelanina. Po stronie polskiej zabitych dwóch ludzi, jeden ranny, po sowieckiej jeden zabity, jeden ranny”.

Katownie komunistów rodzimych

W drugim rzucie na Pradze zaczęły pojawiać się także agendy polskiego, komunistycznego aparatu represji. Nieprzypadkowo zajmował on obiekty położone bardzo blisko gmachów obsadzonych już wcześniej przez Sowieców. Przy ul. Kawczyńskiej 41 rozpoczął urzędowanie Wojskowy Sąd Okręgowy, siedzibę miała tam także Prokuratura Warszawskiego Okręgu Wojskowego. Przy Jagiellońskiej 9 i Wileńskiej 11 zainstalowały się XV i XIV komisariaty MO. Polska bezpieka, nadzorowana bezpośrednio przez funkcjonariuszy sowieckich służb specjalnych, w niezauważalny wręcz sposób zaczęła przejmować obiekty wykorzystywane dotąd wyłącznie przez NKWD. Do gmachu przy ul. Sierakowskiego 7 wprowadziło się najpierw Ministerstwo



Dawna bursa żydowska przy ul. Sierakowskiego 7, zamieniona na siedzibę MBP, a następnie WUBP w Warszawie.
Fot. Piotr Życieński

Bezpieczeństwa Publicznego, a następnie na długie lata osiadł tam Wojewódzki UBP w Warszawie. „Cele aresztowanych – wspominała jedna z tam więzionych – znajdowały się w półkolistej sali gimnastycznej. Kiedy nas przywieziono, nie wszystkie ścianki działowe były gotowe, więc wpędzono wszystkie kobiety do jednego dużego pomieszczenia, mokrego jeszcze od zaprawy i farby, gdzie pod jedną ścianę rzucono trochę potarganej słomy”. Podobny los, jak bursę żydowską przy ul. Sierakowskiego, spotkał także centralę NKWD na Pradze – tzn. gmach przy Strzeleckiej 8 (bardzo często określany w dokumentacji jako Śródkowa 13), przejęty nominalnie 20 lutego 1945 r. przez tworzący się dopiero Wojewódzki Urząd Bezpieczeństwa Publicznego w Warszawie. W jego gestii znajdował się on aż do 1948 r., kiedy to po wygaszeniu funkcji represyjnej został przekazany resortowemu kwaterunkowi. Swoją pobyt przy Strzeleckiej tak zapamiętał Stefan Zbrożyna (działacz PPS, zastępca Delegata Rządu na m.st. Warszawę): „Auto – karetka zatrzymała się na Pradze przy ul. Śródkowej

róg Strzeleckiej. Wjechała na dość obszerne podwórze zwykłego czynszowego domu. Tam wysiedliśmy i zostałem zaprowadzony na 3. piętro do pokoju prawie zimnego, źle umeblowanego, w którym na jakimś lichym tapczanie spał dyżurny urzędnik. W czasie czekania przysłano urzędnika, któremu kazano szczegółowo mnie obrewidować, a następnie oddać wszystkie przedmioty osobistego użytku [...]. Po oddaniu przedmiotów do depozytu sprowadzono mnie pod eskortą dwóch uzbrojonych ludzi do piwnic domu. Otworzono żelazną kratę i tam strażnik zaprowadził mnie do kancelarii więziennej, gdzie znów były sprawdzane wszystkie personalia, przeprowadzona ponowna rewizja osobista [...]. Po dokonaniu tych formalnych czynności wprowadzony zostałem do jednej z piwnic zwanej celą 2, w której siedziało parę osób. Cella piwniczna była ciemna, okno wybite, zasłonięte starym, podartym materacem, na ziemi (podłogi nie było) szereg śmierdzących stęchlizną, podartych, zawoszonych i w ogóle zarobaczywionych worków ze startą na sieczkę słomą. [...] Żadnego pisanego – obowiązującego więźniów i dozorców – regulaminu w ogóle nie było. Każdy z dozorców więziennych, których zwano w gwarze więziennej szefami lub korytarzowymi, miał swój własny regulamin, którym się posługiwał w zależności od nastroju i humoru. Aresztowany nigdy nie wiedział, do czego ma prawo, w jaki sposób może się przeciwstawić samowoli dozorca czy kierownika więzienia. [...] W celach ściany, sufity nietynkowane, podłoga z cegły, powybijana, raczej goła ziemia. [...]. Piwniczne okienka zatkane z uwagi na zimno lub od ulicy zasłonięte blachą. [...] Nie było w celach żadnych prycz, wszyscy spali, leżeli pokotem na gołej ziemi. Brud i robactwo nie do opisania. Nie dawano żadnej zmiany bielizny. [...] Straszliwe zwłaszcza były cele – piwnice tuż przy ustępie. Stały fetor idący z ustępu, zawilgocone ściany ludzkim kałem, bez przewietrzania na dłuższy przeciąg pobytu musiał spowodować ciężką chorobę. Przy kuchni była cela specjalna – karcer – ciemnica, gdzie wtrącano nieposłusznych lub niechących zeznawać więźniów. W zależności od stopnia wykroczenia karcer był suchy lub mokry, dawano stołek do siedzenia lub nie. W przypadku mokrego karceru, aresztowanego zlewano wodą z kranu, nalewano do karceru wody do kostek i tak pozostawiano na 2, 3 i więcej dni. Jak mówili więźniowie, wtrącano tam także więźniów ciężko pobitych. [...] Karcer budził straszliwy postrach u aresztowanych, z którymi miałem możliwość rozmawiać”.

W drugiej połowie stycznia do gmachów PKP przy Wileńskiej 2/4 wprowadził się stołeczny Urząd Bezpieczeństwa. Był tam jednak „zbyt widoczny”, mając za sąsiadów wiele cywilnych instytucji Rządu Tymczasowego Rzeczypospolitej Polskiej.

Ze względu na szczególną „specyfikę” swojej pracy potrzebował obiektu samodzielnego, położonego centralnie, a jednocześnie trochę na uboczu. Ostatecznie 9 lutego 1945 r. wybór padł na gmach cerkwi prawosławnej przy ul. Cyryła i Metodego 4. Był on co prawda trochę zniszczony, dysponował jednak odpowiednią liczbą lokali – w sumie 43 (w tym piwnicami). „Budynek zastaliśmy zniszczony – żalił się w piśmie szef Urzędu por. Grzegorz Łanin – dach w 70 procentach miał zniszczone pokrycie i podziurawiony był w trzech miejscach od pocisków, okna i drzwi nie w komplecie, pozostałe połamane i porozrzucane po całym budynku”. W paradoksalny więc sposób tzw. pomnik czterech śpiących, postawiony w listopadzie 1945 r., był otoczony miejscami, które mieszkańcom ówczesnej Pragi kojarzyły się nie z wdzięcznością dla Armii Czerwonej, lecz z represjami, którym byli poddawani Polacy. W gestii bezpieczeństwa budynek przy Cyryła i Metodego pozostawał aż do września 1950 r., kiedy to stołeczny Urząd Bezpieczeństwa przeniósł się do Pałacu Mostowskich na Muranowie, odbudowanego ze zniszczeń wojennych. Nie oznaczało to jednak automatycznego oddania obiektu prawowitym właścicielom – przez kolejnych kilkadziesiąt lat był on wykorzystywany przez MO.

Podobny los jak Sierakowskiego i Strzelecką spotkał także więzienie karno-śledcze przy Ratuszowej 11 (dziś: Namysłowska 6), które przechodząc pod zarządek MBP, zostało przemianowane na więzienie Warszawa III, ustępując w stolicy na znaczeniu tylko więzieniu przy ul. Rakowieckiej 37. Skala zbrodni dokonanych w tym miejscu była i pozostaje trudna do oszacowania (z całą pewnością ofiar było co najmniej kilkaset). Być może to ona skłoniła władze komunistyczne do zamknięcia tej placówki, rozebrania jej murów i zbudowania na jej miejscu w latach siedemdziesiątych ubiegłego wieku osiedla mieszkaniowego. Podczas prac budowlanych wywożono pod nadzorem Służby Bezpieczeństwa wykopane tam szczątki bezimiennych ofiar.

Główny ciężar represyjnych działań władz komunistycznych przesunął się na lewobrzeżną część miasta. Jeszcze w 1945 r. powstały tu trzy placówki podległe stołecznej bezpiece: Północ – przy ul. Pogonowskiego 12, Południe – przy ul. Grażyny 11 i Zachód – przy ul. Górczewskiej 25. W każdej z nich w piwnicach były ulokowane podręczne areszty. W połowie 1945 r. MBP przeniosło się ostatecznie z Pragi na Koszykową 4, zajmując zresztą także wiele okolicznych budynków. Tam również w piwnicach powstał areszt. Koszykowa powoli nabierała podobnego

charakteru, jak kilka miesięcy wcześniej Jagiellońska czy Strzelecka. Z czasem swoje agendy ulokowały tam Naczelną Prokuraturę Wojskową (pod numerem 79) i Wojskowy Sąd Rejonowy (pod numerem 82). W połowie 1945 r. więzienie przy ul. 11 Listopada zostało ostatecznie zdetronizowane z pozycji najważniejszego więzienia stolicy. Funkcję głównej katowni przejął areszt śledczy przy ul. Rakowieckiej 37. Prymat ten dzierżył już niepodzielnie aż do połowy lat pięćdziesiątych. Obok niego na rogu Rakowieckiej i Puławskiej ulokowało się dowództwo Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego – także z własnym aresztem w piwnicach.

Niezwykle dynamicznie rozwijała się też w lewobrzeżnej części stolicy sieć tajnych aresztów Głównego Zarządu Informacji – począwszy od ul. Świerszcza 2 w podwarszawskich Włochach, przez gmach przy Oczki 2, tajne placówki przy Filtrowej 57 i 65, Płockiej 11, Dostępnej 38, po Wawelską 7. Swoje agendy na zachodni brzeg przerzuciła także MO, lokując swoją komendę główną przy ul. Karowej 14–16, wydział śledczy zaś przy ul. Wilczej 58. Naprzeciwko KG MO znalazł swoją siedzibę sąd garnizonowy. We wszystkich wspomnianych miejscach powstały w piwnicach areszty. Także teren byłego getta – tak naznaczony krwią – doczekał się niechlubnej kontynuacji za sprawą komunistycznych władz. Utworzono tam obóz NKWD, a następnie Centralne Więzienie – Ośrodek Pracy podległy MBP, który funkcjonował tam aż do lat pięćdziesiątych.

Mijały lata, komunistyczny terror zmieniał swój charakter. Po 1956 r. represje w skali masowej w zasadzie wygasły. Nie były już potrzebne – biorąc pod uwagę dorobek warszawskiego resortu bezpieczeństwa. Według własnych danych z połowy lat pięćdziesiątych mógł on pochwalić się liczbą ponad 20 tys. aresztowanych w pierwszej powojennej dekadzie. Nie wiemy, ilu było wśród nich mieszkańców stolicy. Nie wiemy także, ile osób przeszło przez warszawskie areszty i katownie, będące widomym znakiem ceny, jaką przyszło zapłacić Polakom za tzw. wyzwolenie i lata utrwalania „władzy ludowej”.



Tomasz Łabuszewski (ur. 1966) – historyk, dr, naczelnik Oddziałowego Biura Badań Historycznych IPN w Warszawie. Autor książek: (z K. Krajewskim), „Łupaszka”, „Młot”, „Huzar”. *Działalność 5 i 6 Brygady Wileńskiej AK (1944–1952)* (2002); (z K. Krajewskim i P. Nivińskim), *Brygady „Łupaszki”. 5 i 6 Wileńska Brygada AK w fotografii 1943–1952* (2010); *Rzeczpospolita utracona / A Republic Lost* (2011); (red. naukowa), *Śladami zbrodni. Przewodnik po miesiącach represji komunistycznych lat 1944–1956* (2012); *5 Brygada Wileńska AK na Pomorzu, Warmii i Mazurach 1945–1947* (2017); (z A. Obrębską i M. Ptasińską) *Przez Morze Czerwone. Rzeczpospolita Polska na uchodźstwie 1945–1990* (2019) i in.

Kpt. Aleksander Dellman w czasach służby w 86. pułku piechoty. Fot. <https://forum.odkrywca.pl>

Kajetan Rajski

O lepszą i sprawiedliwszą Polskę

Płk Aleksander Dellman „Urban”, „Dziadek”

(1894–1969)

Od Legionów po powojenną konspirację niepodległościową i represje w połowie lat pięćdziesiątych – tak w skrócie można byłoby scharakteryzować czterdziestoletnią służbę Ojczyźnie niemal zupełnie zapomnianego oficera Armii Krajowej i dowódcy poakowskiej Armii Polskiej w Kraju, płk. Aleksandra Dellmana¹.

¹ Inna pisownia nazwiska: Delman.

Urodził się 16 grudnia 1894 r. w Kamionce Strumiłłowej, położonej na północny wschód od Lwowa, jako syn Dominika i Sabiny. Ojciec był cesarsko-królewskim urzędnikiem niskiego szczebla. Z rodzeństwa należy wymienić młodszego brata Eugeniusza, żołnierza I Brygady Legionów. Aleksander Dellman wykształcenie zdobywał w lwowskiej I Szkole Realnej. Był zdolnym, choć nie szczególnie wyróżniającym się uczniem. Należał do Związku Strzeleckiego.

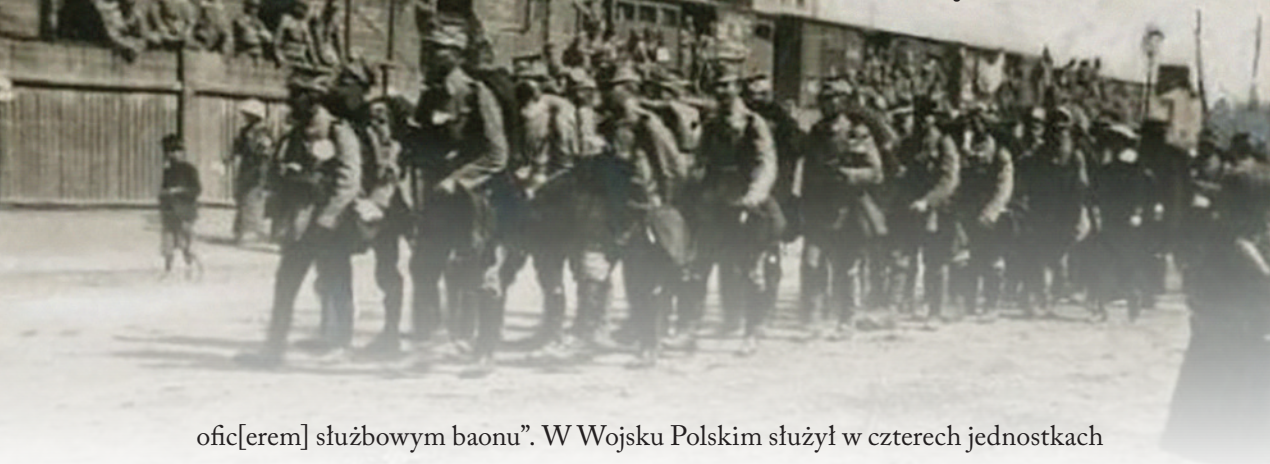
„Lwowskie dzieci”

W sierpniu 1914 r., wobec wybuchu I wojny światowej, we Lwowie, pod politycznym patronatem Naczelnego Komitetu Narodowego, zaczął się formować Legion Wschodni, rekrutujący do swoich szeregów ochotników z Polskich Drużyn Strzeleckich, Drużyn Bartoszewych i Sokolich Drużyn Polowych. Wśród żołnierzy Legionu znalazł się również Aleksander Dellman. W wyniku ofensywy armii rosyjskiej jednostka ta ewakuowała się na zachód. Jej powstaniu i przemarszowi towarzyszyły polityczne kontrowersje – wskutek działalności środowisk endeckich, nieprzychylnie nastawionych do inicjatywy, Legion Wschodni z końcem września został rozwiązany; część żołnierzy weszła w skład formowanej właśnie II Brygady. Aleksander powrócił jednak do domu.

W czerwcu 1915 r. został wcielony do 30. Pułku Piechoty Armii Austro-Węgier i wysłany na front włoski. W pułku tym służyło wielu Polaków i Rusinów, stąd jednostka zyskała przydomek „dzieci lwowskich”. Dellman był w nim dowódcą sekcji, następnie plutonu. W trakcie działań wojennych został ranny i w listopadzie 1916 r. trafił do włoskiej niewoli. W obozie internowania spędził dokładnie dwa lata. Wstąpił następnie do 1. Pułku Strzelców im. Henryka Dąbrowskiego, formowanego w ramach Armii Polskiej we Francji. W lutym 1919 r. uzyskał od. gen. Józefa Hallera awans na stopień podporucznika. Odtąd służył jako oficer wywiadu przy sztabie 4. Pułku Strzelców Polskich.

„Do linii nie nadaje się”

Wraz z pułkiem przybył do odradzającej się Polski. Uczestniczył w ofensywie na froncie ukraińskim, brał udział w obsadzaniu pogranicza Górnego Śląska. W roku 1920 rozpoczął służbę jako oficer ewidencyjny, funkcję tę pełnił przez większość dwudziestolecia międzywojennego. Ze względu na słaby stan zdrowia nie uczestniczył w Bitwie Warszawskiej, a pamiętnego 15 sierpnia przebywał... w areszcie domowym, miał bowiem spać „w mieszkaniu prywatnym, będąc



ofic[erem] służbowym baonu”. W Wojsku Polskim służył w czterech jednostkach 5. Pułku Strzelców Podhalańskich, 3. Pułku Strzelców Podhalańskich oraz pułkach piechoty: 86. i 13. Opinie przełożonych o Dellmanie były różne. Jedni chwalili go i wystawiali mu najwyższe noty, inni z kolei zarzucali mu zbyt wygórowane ambicje, niedokładność, przeciętne umiejętności dowodzenia. Wydaje się, że najbliższej prawdy była opinia za rok 1932: „Oficer niezwykle chętny i pracowity, o żołnierza dbały po ojcowsku. Pracuje dla idei i gotów dla idei wszystko poświęcić. Do linii jednak stanowczo nie nadaje się ze względu na zbyt nerwowe przeczulenie i słabe zdrowie. Wychowawca bardzo dobry, dowódca przeciętny”. Z kolei w roku 1933 rekomendowano: „Doskonale nadaje się do prac w szkolnictwie, do prac w sztabie, jako referent oświatowy i w Instytucie Naukowo-Wychowawczym”. Podkreślano również jego zdolności malarskie. Na początku lat dwudziestych wziął ślub. W 1922 r. przyszła na świat córka Aleksandra.

3 maja 1926 r. uzyskał stopień kapitana. Oprócz pracy jako oficer ewidencyjny i mobilizacyjny, Dellman wyróżniał się zaangażowaniem w tworzenie lokalnych struktur Przystosowania Wojskowego. Począwszy od 1928 r. był komendantem powiatowym PW w powiecie wilejskim. W związku z sukcesami Dellmana na tym polu minister spraw wojskowych wystąpił o odznaczenie go Srebrnym Krzyżem Zasługi. We wniosku odznaczeniowym czytamy: „Oficer ideowy, pełny inicjatywy, nadzwyczaj pracowity, wysoce uspołeczniony. Zorganizowany przez niego Strzelec w powiecie wilejskim osiągnął cyfrę 100 członków. Szerząc wśród mas poza pracą w P.W. kulturę polską, odciąga tym samym szerokie masy młodzieży

mniejszości tutaj [ejszych] od wpływów komunistycznych”. Dodatkowo zaznaczano, że Dellman przy Związku Strzeleckim zorganizował dom pracy, dający utrzymanie i wychowanie kilkunastu sierotom.

„Sprawa honoru”

Wybuch II wojny światowej zastał przyszłego dowódcę Armii Polskiej w Kraju jako oficera mobilizacyjnego 13. pułku piechoty stacjonującego w Pułtusku. Jak zeznawał po wojnie, jego zadaniem we wrześniu 1939 r. było ewakuowanie do Modlina, następnie zaś do Brześcia nad Bugiem nadwyżek pułkowych, czyli zmobilizowanych rezerwistów wraz z taborem pułkowym. Zadanie to wykonywał wspólnie ze swoim zastępcą kpt. Aleksandrem Rytelewskim (zginął w 1942 r. w KL Auschwitz). Gdy jednostka została rozbita, Dellman przebrał się w cywilne ubranie (pomogli mu w tym chłopcy z Józefowa), po czym dotarł do mieszkającego w Tarnowie brata Eugeniusza. Tam zaangażował się w powstające struktury konspiracji. Pełnił funkcję oficera wywiadu w Związku Walki Zbrojnej, a następnie Armii Krajowej. Po wsię wyjechał do Krakowa, gdzie początkowo zajął stanowisko kierownika kancelarii w Inspektoracie Kraków AK, a od lutego 1943 r. – kwatermistrza. Dbał o zaopatrzenie oddziałów zbrojnych w odzież, żywność, pieniądze oraz broń w obwodach Kraków-miasto, Kraków-powiat, Bochnia i Myślenice. Prawdopodobnie właśnie wtedy, przy okazji utworzenia 6. Dywizji Piechoty AK pod dowództwem płk. Wojciecha Waydy „Odweta”, nawiązał dobry kontakt z oddziałami partyzantskimi operującymi w okolicach Myślenic. W okresie konspiracji Dellman awansował do stopnia majora, nosił wówczas pseudonimy „Karol” i „Urban”, używał fałszywej kankarty na nazwisko Wacław Lipiński.

Po zajęciu ziem polskich przez Armię Czerwoną utrzymywał się z malarstwa, swoje prace sprzedawał w Sukiennicach. Widział wokół siebie aresztowania oficerów i żołnierzy rozwiązanej AK. Rychło okazało się, że był jedynym oficerem ze sztabu inspektoratu, który ani nie został aresztowany, ani nie wyjechał z Krakowa. Miał również świadomość, że w terenie pozostają nadal oddziały leśne pozbawione kierownictwa i możliwości rozpoczęcia zwyczajnej egzystencji. Dlatego też uważał, że „załatwienie sprawy z chłopcami z lasu jest sprawą jego honoru”. Chodziło przede wszystkim o zdobycie funduszy na wyprowadzenie młodych ludzi z oddziałów leśnych i na zapomogi dla rodzin aresztowanych AK-owców.

Dellman przed jedną z akcji ekspropriacyjnych miał mówić do swoich żołnierzy: „praca nasza idzie po linii niesienia pomocy wdowom i sierotom po poległych partyzantach AK [...], obecny reżim należy uważać jako reżim nieróżniący się od okupacyjnego i tym samym nastawić się na jego zniszczenie na wzór niszczenia gospodarki okupanta niemieckiego”. Dowódca dodawał: tymi „posunięciami przyczynimy się do zbudowania lepszej i sprawiedliwszej Polski”. Akcji było kilka, między innymi w czerwcu 1945 r. na krakowską Izbę Skarbową czy 5 sierpnia tego samego roku na kasę Miejskiej Kolei Elektrycznej przy ul. św. Wawrzyńca. W ekspropriacjach uczestniczyli żołnierze Armii Krajowej, m.in. Eligiusz Wayda „Słoneczko”, syn dowódcy 6. Dywizji Piechoty AK.

„Przesłuchania w specjalnej atmosferze”

11 sierpnia 1945 r. Dellman został aresztowany przez funkcjonariuszy Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego w Krakowie. Znalaziono przy nim 500 koron czeskich oraz przepustkę do Pragi, miał bowiem zamiar przekroczyć granicę i wyostać się na Zachód. W trakcie śledztwa zachował dzielną postawę, podczas przesłuchań przyznawał się do kierowania działalnością grupy (w aktach niekiedy identyfikowanej jako ROAK – Ruch Oporu Armii Krajowej), zdejmując z podkomendnych odpowiedzialność za niektóre decyzje. W grudniu powstał akt oskarżenia, zawierający zarzut przynależności do nielegalnej organizacji oraz dokonania dwóch „napadów rabunkowych”. Proces rozpoczął się 27 marca 1946 r. przed Wojskowym Sądem Okręgowym w Krakowie. Na sali sądowej Dellman zmienił wyjaśnienia złożone podczas śledztwa, ponieważ – jak stwierdził w trakcie procesu – „przesłuchania na Bezpieczeństwie odbywały się w specjalnej atmosferze”. Zaznaczył, że podpisywał protokoły, aby zapewnić sobie spokój i ratować innych.

Wyrok zapadł dwa dni później. Przewodniczącym składu sędziowskiego był kpt. dr Karol Peczenik. Przedwojenny asesor w Sądzie Grodzkim w Kielcach, uczestnik powstania w getcie warszawskim, od października 1944 r. służył w „ludowym” wojsku jako sędzia. Jego przełożeni donosili, że feruje niskie wyroki, nie potrafiąc „nagiąć się do racji stanu i nakazu chwili”. W 1947 r. pożegnał się z karierą sędziego i został adwokatem. W roku 1968 wyjechał z Polski.

Peczenik skazał Dellmana na pięć lat więzienia, jednak na mocy amnestii postanowił karę w całości darować. W uzasadnieniu wyroku zaznaczył, że proces

nie przyniósł niezbitych dowodów na to, że Dellman wydał rozkaz przeprowadzenia akcji ekspropriacyjnych. Co więcej, „przy wymiarze kary wziął Sąd pod uwagę niewątpliwy patriotyzm osk[arzo]nego, wykazany wieloletnią pracą konspiracyjną w czasie okupacji, podeszły wiek [Dellman miał wówczas niewiele ponad 51 lat], nieskazitelny tryb życia, a wreszcie widoczny zły stan zdrowia”.

„Komenda Główna...”

W tym momencie rozpoczął się najistotniejszy fragment życia Aleksandra Dellmana. W maju bądź czerwcu 1946 r. utworzył organizację Armia Polska w Kraju. W zamierzeniu jej komendanta, który posługiwał się pseudonimami „Dziadek” i „Stasiak” oraz przyjął stopień pułkownika, miała ona stanowić organizacyjne zaplecze dla oddziałów podziemia niepodległościowego, a także koordynować walkę z siłami komunistycznego reżimu. W skład sztabu Armii Polskiej w Kraju (APwK) wchodził m.in.: adiutant komendanta kpt. Józef Madejski „Mat”, ppor. Jadwiga Madejska „Jadzia” (żona „Mata”) oraz oficer inspekcyjny ppor. Mieczysław Loch „Jarema”. Żołnierze i współpracownicy wywodzili się z różnych środowisk, niemal wszyscy mieli średnie wykształcenie, a kilku z nich studiowało. Szczególnie bliski kontakt dowództwo APwK nawiązało z oddziałem por. Mieczysława Wądołnego „Mściciela”, który podporządkował się Dellmanowi. Za pośrednictwem „Mściciela” doszło również do podporządkowania Zgrupowania Partyzanckiego „Błyskawica” mjr. Józefa Kurasia „Ognia”, choć trzeba zaznaczyć, że była to podległość jedynie formalna. Żołnierze z oddziałów podporządkowanych APwK posługiwali się zaświadczeniami o przykładowej treści: „Komenda Główna Armii Polskiej w Kraju stwierdza, iż grupa operacyjna »Mściciel«, dowódca por. »Gran-

nit«, jest jednostką Armii Polskiej w Kraju. Obywateli patriotów prosimy o udzielenie jak najdalej idącej pomocy”.

Na czele APwK miał stać gen. N.N. „Warski”.

Do dziś trudno rozszyfrować jego tożsamość. Niewykluczone, że tą osobą był płk Euzebiusz Hauser, oficer Narodowej Organizacji Wojskowej, komendant Okręgu

W maju bądź czerwcu 1946 r. utworzył Armię Polską w Kraju. Miała ona stanowić organizacyjne zaplecze dla oddziałów podziemia niepodległościowego, a także koordynować walkę z siłami komunistycznego reżimu.

Krakowskiego Narodowego Zjednoczenia Wojskowego, z którym Dellman siedział w więzieniu (Hauser został zwolniony wczesną jesienią 1946 r.). Organizacja swoje wpływy rozciągała przede wszystkim na dawne województwo krakowskie, chociaż grupy konspiracyjne podległe APwK operowały również na Śląsku. Ich działalność ograniczała się do prowadzenia wywiadu – szczególnie zdobywania informacji o rozmieszczeniu wojsk sowieckich i jednostek „ludowego” Wojska Polskiego – prowadzenia akcji ekspropagacyjnych oraz kolportowania ulotek przed wyborami do Sejmu Ustawodawczego w 1947 r. Według donosów jednego z oficerów z najbliższego otoczenia Dellmana, tajnego współpracownika Urzędu Bezpieczeństwa, organizacja miała też kontakty i punkty przerzutowe na Dolnym Śląsku.



Aleksander Dellman po ujawnieniu w kwietniu 1947 r.
Fot. WBH

„Nie może znieść terroru”

Wskutek szeroko zakrojonych aresztowań na początku stycznia 1947 r. Dellman wyjechał wraz z Madejskimi do Wrocławia. W tamtejszym WUBP ujawnił się 5 kwietnia 1947 r.

Przez pewien czas pracował jako stróż w Zakopanem, następnie krótko mieszkał w Krakowie. W tym okresie bezskutecznie usiłował się z nim skontaktować wysłannik rządu emigracyjnego, chcąc zwerbować go do siatki wywiadowczej. Począwszy od lutego 1948 r. Dellman pracował dorywczo jako robotnik rolny w okolicach Bydgoszczy. Od końca roku 1948 podejmował pracę w różnych zakładach w Bydgoszczy, m.in. był referentem finansowym w Zakładach Utylizacyjnych. Tam też miał przywłaszczyć sobie pewną sumę pieniędzy. W obawie przed aresztowaniem zbiegł w lipcu 1953 r. i ukrywał się. Próbował też, przez Szczecin, przedostać się na Zachód, ponieważ – jak twierdził – „nie może znieść tego terroru”. Funkcj-

nariusze Milicji Obywatelskiej aresztowali go w Krakowie 28 października 1953 r., gdy chciał odwiedzić córkę. Na początku grudnia 1953 r. Urząd Bezpieczeństwa rozpoczął wstępno-agenturalne rozpracowanie o kryptonimie „Mecenas” z zamiarem werbunku Dellmana jako tajnego współpracownika, próby te zostały jednak zarzucone. Wyrokiem Sądu Powiatowego w Bydgoszczy skazano go 22 marca 1954 r. na trzy lata więzienia. Część kary odbywał w obozie pracy przymusowej w Mielęcinie; w tym czasie ciężko chorował.

Aleksander Dellman zmarł 1 marca 1969 r. i został pochowany na cmentarzu Rakowickim w Krakowie. Jego grób znajduje się w opłakanym stanie. Jedyna córka oficera zmarła bezdzietnie.



Grób rodziny Dellmanów na cmentarzu Rakowickim w Krakowie, 1 listopada 2019 r. Fot. Kajetan Rajski



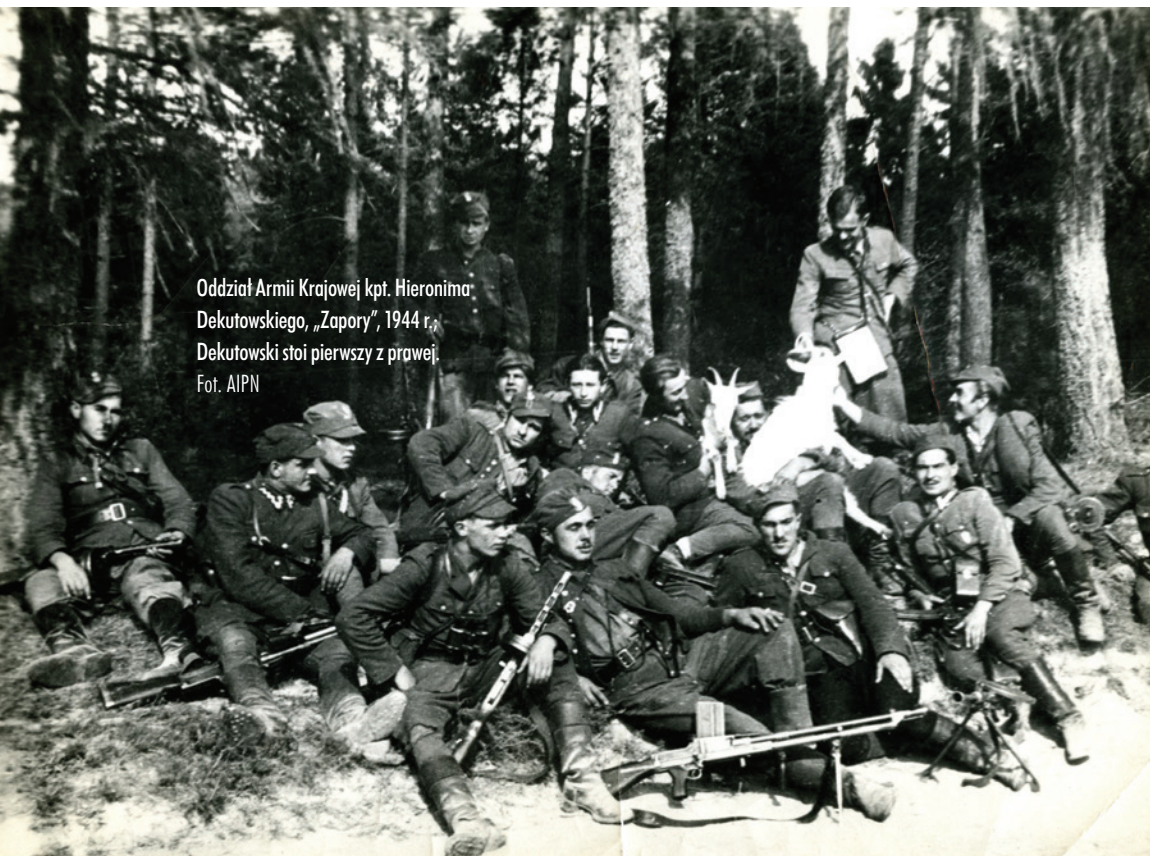
Kajetan Rajski (ur. 1994) – prawnik, publicysta, redaktor naczelny kwartalnika „Wykłęci”. Prowadzi portal Listawyklytych.pl. Autor książek: *Wilczęta. Rozmowy z dziećmi Żołnierzy Wykłych*, t. 1–2 (2014–2015); *Prawdziwy męczennik... czyli kto?*, t. 1: *Stara gwardia*, t. 2: *Nowy zaciąg* (2015) i in.

Wioletta Lipińska

Żołnierz „Zapory”

Lucjan Ronduda „Lutek” (1927–2003)

Partyzanci podziemia niepodległościowego – przynajmniej niektórzy – nie lubią, jak nazywa się ich Żołnierzami Wyklętymi. To jednak określenie trafne – zostali wyklęci przez system, często przez miejscową ludność, gdyż łotka bandyty, przypięta przez komunistów, trzymała się ich jeszcze przez lata. Długo zapomniani przez historię, od niedawna odzyskują swoją godność – wśród nich Lucjan Ronduda „Lutek”.



Oddział Armii Krajowej kpt. Hieronima Dekutowskiego, „Zapory”, 1944 r.
Dekutowski stoi pierwszy z prawej.
Fot. AIPN

W styczniu 1944 r. szefem Kedywu w Inspektoracie Lublin-Puławy i jednocześnie dowódcą oddziału dyspozycyjnego Kedywu (OP 8) został cichociemny Hieronim Dekutowski „Zapora”. W ramach akcji „Burza” żołnierze „Zapory” jako 1. kompania 8. Pułku Piechoty Legionów AK chronili sztab Komendy Okręgu Lublin. Po decyzji zwierzchników o złożeniu broni, Dekutowski rozwiązał 28 lipca 1944 r. swój oddział i ukrywał się z podkomendnymi w Puławach, Lublinie i Tarnobrzegu. W sierpniu ponownie zmobilizował ludzi, by iść z odsieczą powstańczej Warszawie. Po nieudanej próbie przekroczenia Wisły znów rozformował oddział, a sam ukrywał się w dawnych akowskich kwaterach. W styczniu 1945 r. powrócił do konspiracji, tym razem przeciwko komunistom i Sowietaom.

Na początku 1947 r. podziemie niepodległościowe znalazło się w głębokim kryzysie. 19 stycznia 1947 r. odbyły się w Polsce wybory do Sejmu Ustawodawczego, sfalszowane przez komunistów. W wyniku „amnestii” ogłoszonej 22 lutego 1947 r. z podziemia wyszło 53 517 osób. Z kolei z 23 257 osób przetrzymywanych w więzieniach i aresztach część wyszła na wolność, a część uzyskała zmniejszenie wymiaru kary.

Po zakończeniu „amnestii” funkcjonariusze aparatu bezpieczeństwa stanęli przed pozornie prostym zadaniem zlikwidowania małych grup partyzanckich. Cel ten okazał się jednak trudny do zrealizowania. W podziemiu zostali najaktywniejsi dowódcy i żołnierze o największym stażu partyzanckim. Wobec alternatywy: wyrok śmierci, wieloletnie więzienie bądź dalsza walka, wybierali trwanie w lesie¹. Do końca 1950 r. działały jeszcze lokalne struktury powinowskie, które nie miały już łączności z ośrodkami centralnymi. W tym okresie powstawały też grupy partyzanckie bez jakiegokolwiek zwierzchności organizacyjnej. Na terenie powiatów puławskiego, lubelskiego i lubartowskiego do listopada 1948 r. działała np. grupa dowodzona przez por. Zygmunta Wilczyńskiego „Żuka”, a następnie przez Stanisława Ochnio „Granata”, a także Bolesława Górskiego „Podkowę” (październik 1949 – sierpień 1953 r.) i Edwarda Kalickiego „Małego” (grudzień 1948 – czerwiec 1951 r.), która w latach 1948–1949 była podporządkowana Mieczysławowi Pruszkiewiczowi „Kędziorkowi”². Na początku września 1947 r. Dekutowski – przekonany, że realizuje zlecenie organizacji – podjął decyzję o prze-

¹ *Atlas Polskiego Podziemia Niepodległościowego 1944–1956*, red. R. Wnuk, Warszawa – Lublin 2007, s. 32.

² Z. Broński „Uskok”, *Pamiętnik*, red. S. Poleszak, Lublin – Warszawa 2015, s. 15.

dostaniu się na Zachód. W ostatnim rozkazie, z 12 września 1947 r., wyznaczył Zdzisława Brońskiego „Uskoka” na swego następcę i bezpośredniego dowódcę grup partyzanckich działających na północ od Lublina. Partyzanci walczący na południe od Lublina zostali zaś decyzją „Zapory” oddani pod rozkazy „Kędziora”. Niestety, wyprawa grupy Dekutowskiego na Zachód okazała się prowokacją UB. „Zapora” i sześciu jego żołnierzy zostali aresztowani 16 września 1947 r.³

Pruszkiewicz „Kędziora” był początkowo żołnierzem oddziału ppor. Michała Szeremieckiego „Misia”, podległego od wiosny 1945 r. zgrupowaniu mjr. Dekutowskiego. W 1945 r. prawdopodobnie na pewien czas opuścił formację, ale powrócił do niej jako zastępca dowódcy plutonu por. Jana Szaliłowa „Renka”, a następnie por. Tadeusza Skrańskiego „Jadzinka”. W 1947 r. nie ujawnił się w czasie „amnestii” i ponownie przeszedł pod rozkazy „Renka”. W tym samym roku – po śmierci „Renka” – objął dowództwo nad resztkami oddziału⁴. Działał na terenie powiatów krańickiego, lubelskiego i puławskiego. Podlegały mu grupy Waleriana Tyry „Walerka”, Janusza Godziszewskiego „Janusza”, Tadeusza Szycha „Tadzia” oraz Mikołaja Malinowskiego „Mikołaja” (później jego oddział przeszedł pod rozkazy Antoniego Saneckiego „Piata”)⁵.

Po operacji UB „Kędziora” musiał zmienić taktykę działania. Rozbił oddział na mniejsze grupy, liczące od trzech do pięciu osób, i ich działalność na pewien czas ograniczył do akcji ekspropriacyjnych. Walka zbrojna z przeważającymi siłami wroga stawała się coraz trudniejsza. Brakowało zarówno odpowiedniej liczby kryjówek, jak i osób pomagających oddziałom niepodległościowym. W potyczkach z aparatem represji ginęli kolejni żołnierze Pruszkiewicza. Latem 1948 r. od grupy odłączyli się Szych, Edward Bukowski „Bukiet”, „Gruby”, „Cichy” i Edward Kalicki „Mały”⁶. Wiosną 1949 r. w oddziale oprócz dowódcy byli już tylko: Tyra i Lucjan Ronduda „Lutek”⁷.

„Lutek” przysięgę na wierność Rzeczypospolitej złożył w 1946 r. przed dowódcą plutonu Szeremieckim. Przez niego poznał Tyrę i Pruszkiewicza. „Lutek” nie utrzy-

³ *Wykłęci 1944–1963. Żołnierze podziemia niepodległościowego w latach 1944–1963*, red. K. Krajewski, T. Łabuszewski, Warszawa 2017, s. 223.

⁴ Z. Broński „Uskok”, *Pamiętnik...*, s. 244.

⁵ E. Kurek, *Zaporczycy. Relacje*, t. 2, Lublin 2011, s. 45.

⁶ AIPN Lu, 21/38, t. 5, Protokół rozprawy głównej, Lublin, 9 III 1953 r., k. 184.

⁷ Mikołaj Malinowski „Mikołaj” na początku 1949 r. wyjechał do Szczecina, gdzie 22 IV 1950 r. został zatrzymany i skąd przewieziono go na Zamek Lubelski. Zob. AIPN, 0187/136, Kwestionariusz osobowy, Lublin, 13 VIII 1987 r., k. 35; E. Kurek, *Zaporczycy...*, t. 2, s. 40.

mywał stałego kontaktu z grupą: był łącznikiem albo w razie potrzeby stawiał się na rozkaz w oddziale. Do służby w Korpusie Bezpieczeństwa Wewnętrznego został powołany 15 maja 1948 r. Okazało się to korzystne dla żołnierzy niepodległościowych. Usłyszał wówczas od „Kędziorka”: „To nic, że wezmą cię do KBW. Mamy swoich ludzi w milicji, to potrzebujemy ich mieć też w KBW”⁸. Po pięciu miesiącach służby w Samodzielnym Batalionie Wartowniczym, m.in. w Forcie Traugutta w Warszawie, postanowił jednak zdezerterować. Na wszelki wypadek chciał przedtem zdobyć broń. Miał świadomość, że w pojedynkę będzie to trudne. Przekonał do swojego planu dwóch kolegów z oddziału KBW: Hipolita Biegaję i Stanisława Kalarusa, których namówił do zabrania broni z tamtejszego magazynu. Kradzież w niedługim czasie została wykryta, a „Lutek” z towarzyszami ratowali się ucieczką. Biegaj został ujęty przez żandarmerię, Kalarus sam zgłosił się na posterunek MO. Ronduda początkowo ukrywał się u stryja w Zawalowie. Wiosną 1949 r. udało mu się skontaktować z „Walerkiem” oraz „Kędziorkiem” i dołączył do ich grupy.

Urząd Bezpieczeństwa od dawna dążył do likwidacji oddziału „Kędziorka”. W tym celu w 1949 r. Wydział III Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego w Lublinie wszczął rozpracowanie operacyjne o kryptonimie „Spółdzielnia”, które nadzorował por. Jan Niemczuk, kierownik Sekcji 2 tego wydziału. W marcu 1951 r. Powiatowy Urząd Bezpieczeństwa Publicznego w Kraśniku zdecydował się na osobne rozpracowanie tej grupy i nadał mu kryptonim „Uciekinierzy”. Podobne zadanie otrzymały także inne placówki UB, na których terenie operował oddział. Informacje o przemieszczaniu się żołnierzy niepodległościowych oraz ich kontaktach uzyskiwano od kilkunastu tajnych współpracowników, spośród których najbardziej efektywnymi byli „Jastrząb” i „Dąb”⁹.

Zdrada „Jastrzębia”

Kluczowe dla rozpracowania oddziału okazało się aresztowanie 22 kwietnia 1950 r. Mikołaja Malinowskiego „Mikołaja”, którego dowódcą był „Kędziorek”. „Mikołaj” zeznał, że Dominik Wierchowski „Domin” (bądź „Dumin”), gajowy z miejscowości Białowoda, należał do tamtejszej placówki AK i po wojnie kontaktował się

⁸ E. Kurek, *Zaporzycy. Relacje*, t. 4, Lublin 2011, s. 153.

⁹ AIPN, 0187/136, Charakterystyka nr 145 bandy Mieczysława Pruszkiewicza ps. „Kędziorka”, [wrzesień 1987 r.], k. 11.



Oddział partyzancki „Zapory”, lipiec 1946 r. Fot. AIPN

z „Kędziorkiem” i „Walerkiem”. Na podstawie zeznań „Mikołaja” WUBP w Lublinie sporządził plan wykorzystania Wierzchowskiego jako informatora. Zaplanowano, że 5 lutego 1951 r. kierownik Sekcji 4 Wydziału „A” WUBP w Lublinie ppor. Kazimierz Kolenderski uda się na posterunek MO w Wilkołazie, gdzie przebierze się za milicjanta. Następnie wraz z komendantem posterunku przeprowadzą kontrolę sanitarną i przeciwpożarową w Białowodzie. Poszczególnym gospodarzom, m.in. Wierzchowskiemu, zostanie nałożona grzywna, której nie będą w stanie zapłacić, i zostaną aresztowani na tydzień. Wieczorem tego samego dnia Wierzchowskiego przewieziono do PUBP w Kraśniku i przesłuchano w charakterze świadka. W trakcie zeznań przyznał, że w kwietniu 1943 r. wstąpił do oddziału „Potoka”¹⁰. Początkowo wyparł się kontaktów z „Kędziorkiem” i „Walerkiem”. Został więc przewieziony do Lublina w celu konfrontacji z „Mikołajem”. W jej trakcie 17 lutego 1951 r. przyznał się do współpracy z „Kędziorkiem”, którego miał poznać przez Adama Jarosza „Żbika”. Podczas kolejnych przesłuchań dokładnie opisał, jak przebiegały jego kontakty z oddziałem. Zobowiązanie do współpracy pod pseudonimem „Jastrząb”

¹⁰ Prawdopodobnie chodzi o kpt. Wincentego Tomasika „Potoka”.

podpisał 18 lutego 1951 r. Werbunku dokonał zastępca szefa PUBP w Lublinie por. Tadeusz Karczmarzyk¹¹. Celem pozyskania była likwidacja grupy „Kędziorka”. W zamian „Jastrząb” otrzymał wolność i darowanie kary za kontakty z grupą.

Wierzchowski rozpoczął podwójną grę. Kontaktował się z „Kędziorkiem”, „Walerkiem” i „Lutkiem”, ukrywał ich i informował o ruchach wojska, a jednocześnie składał bezpieczeństwo meldunki. Na miejsce spotkań zaproponował zabudowania we wsi Ewunin (gm. Urzędów, pow. kraśnicki), należące do jego znajomego Józefa Dudziaka. Właśnie tam 17 maja 1951 r. „Kędziorek”, „Walerek” i Wierzchowski mieli się spotkać z „Lutkiem”. Pruszkiewicz i Tyra dotarli na miejsce wcześniej, natomiast Ronduda po drodze wstąpił jeszcze do narzeczonej. Sprawdziło to, że nieco się spóźnił. Gdy zbliżał się do celu, było już prawie widno. Aby nie zostać zauważonym przez sąsiadów Dudziaka, postanowił ukryć się w lesie około pół kilometra od jego domu i dołączyć do kolegów, jak zrobi się ciemno. Około piątej nad ranem „Lutek” usłyszał harmider w zabudowaniach Dudziaka. Wojsko, zawiadomione przez „Jastrzębia”, otoczyło miejsce, w którym spali „Kędziorek” i „Walerek”. Przebudzeni partyzanci otworzyli ogień. Podczas próby przedostania się do lasu poległ „Kędziorek”. „Walerek” – ranny w obydwie nogi powyżej kolan – widząc zbliżających się żołnierzy KBW, popełnił samobójstwo¹². „Lutek” był przekonany, że to Dudziak jest zdrajcą, gdyż nie został aresztowany. Było to jednak celowe działanie UB, aby nie zdekonspirować „Jastrzębia”.

Po śmierci dowódców Ronduda ukrywał się samotnie. Wierzchowski cały czas obserwował okolicę i informował bezpiekę o możliwych miejscach pobytu „Lutka”. Podawał, że może ukrywać się u narzeczonej – Stanisławy Daniel. W raporcie z 8 lipca „Jastrząb” donosił o spotkaniu z nią i jej matką Anną. Kobiety prosiły go o pomoc w znalezieniu kryjówki dla „Lutka” oraz zaproponowały rozmowę z nim. Mimo że „Lutek” po zasadzce był nieufny, 13 lipca spotkał się z Wierzchowskim. Ten próbował nakłonić Rondudę, aby dobrowolnie oddał się w ręce władz. „Lutek” oświadczył stanowczo, że nigdy tego nie zrobi, a gdyby chciano go ująć, popełni samobójstwo. Trzy dni później mężczyźni ponownie się spotkali. Ronduda cały czas nie ufał Wierzchowskiemu, wypytywał go, czy przypadkiem nie ma kontaktu z wojskiem. „Jastrząb” zaprzeczył, a na pytanie „Lutka”, czy nie

¹¹ AIPN Lu, 003/532, t. 1, Charakterystyka agenta ps. „Jastrząb”, k. 42.

¹² AIPN Lu, 08/82, t. 2, Raport specjalny naczelnika Wydziału III WUBP w Lublinie, 19 V 1951 r., k. 219; *ibidem*, Raport specjalny szefa PUBP w Kraśniku, 20 V 1951 r., k. 221.



Lucjan Ronduda z matką Bronisławą, Niepokalanów, 1961 r.
Fot. Ze zbiorów Jacka Rondudy.

wie, kto zdradził „Kędziorka” i „Walerka”, odrzekł, że gdyby wiedział, to sam by go zabił.

Przed kolejnym spotkaniem, które miało się odbyć 18 lipca, „Jastrząb” otrzymał zadanie uśpienia „Lutka”. Zabrał ze sobą dwie butelki wódki, z których jedna zawierała środek nasenny. Aby zaczął on działać, Ronduda musiałby wypić co najmniej 100 gramów. Po uśpieniu Rondudy Wierchowski miał mu zabrać broń i zawiadomić funkcjonariuszy czekających w lesie. Otrzymał też instrukcję, co ma robić, gdyby „Lutek” zorientował się w sytuacji: „Jeżeli Ronduda Lucjan zwróci podejrzenie, że dalszcie mu niedobrej, zatrutej wódki, otrzymanym od nas pistoletem zastrzelicie Rondudę Lucjana”¹³. Zastępca naczelnika Wy-

działu III WUBP w Koszalinie kpt. Igor Burdziej¹⁴ zapisał w planie operacyjnym: „Z chwilą pozytywnego rezultatu powyższej operacji, nie wzbudzając hałasu, zabrać żywego lub zabitego Rondudę Lucjana i zawieźć go do PUBP w Kraśni-

¹³ AIPN Lu, 01/546, t. 1, Doniesienie informatora ps. „Jastrząb”, 18 VII 1951 r., k. 179.

¹⁴ Obecność oficera z Koszalina w sprawie Rondudy nie jest do końca wyjaśniona. Być może miała związek z ujęciem w 1953 r. na terenie województwa koszalińskiego Józefa Nizioła, który był poszukiwany za wiele akcji ekspropriacyjnych przeprowadzonych wspólnie z Józefem Janczarkiem, o którym mowa niżej.

ku”¹⁵. Jednocześnie dla „Jastrzębia” przygotowano odpowiednią legendę, aby odsunąć od niego podejrzenie i uniknąć dekonspiracji. O 21.00 miał się udać do Stanisławy Daniel, a godzinę później funkcjonariusze UB mieli oddać kilka strzałów w okolicach Kolonii Zalesie, co miałyby oznaczać, że „Lutek” wpadł w zasadzkę. Spotkanie przebiegło jednak zupełnie inaczej, niż zakładała bezpieka. Wierzchowski przyszedł na nie razem z sołtysem Leonem Sarzyńskim. Widząc zaniepokojenie Rondudy i obawiając się odkrycia zasadzki, jeden z nich oddał pięć strzałów w kierunku partyzanta. Kule trafiły go w brodę i plecy oraz otarły się o nos i łuk brwiowy. „Lutek” strzelił do nich dwa razy i rzucił się do ucieczki. Aby zmylić goniących go funkcjonariuszy UB, zdjął kurtkę i zostawił ją w miejscu, gdzie wcześniej leżał. Fortel zmylił ubeków, którzy myśląc, że strzelają do „Lutka”, opóźnili pościg – tym samym on zyskał czas na ucieczkę. Tego samego dnia UB aresztował Stanisławę Daniel i jej matkę. Kobiety wielokrotnie przesłuchiowano. Po kilku dniach, kiedy bezpieka wiedziała już, że Ronduda przeżył, zwolniono je, licząc, że ujawnią jego miejsca ukrycia. Nigdy jednak tego nie zrobili.

Wierzchowski za udzielenie informacji o „Lutku” otrzymał od PUBP w Kraśniku 80 zł. Z kolei 17 sierpnia 1951 r. pokwitował odbiór 300 zł „za wykonanie powierzonego zadania dotyczącego likwidacji bandyty Rondudy i jego ciężkie postrzelenie”¹⁶. Urząd Bezpieczeństwa wykorzystywał później „Jastrzębia” podczas rozpracowywania partyzantów Narodowych Sił Zbrojnych z oddziału „Zęba”¹⁷. Wierzchowski dostał m.in. zadanie ustalenia personaliów członków tego zgrupowania¹⁸. Z sieci agenturalno-informacyjnej został wyeliminowany w 1964 r. Jako przyczynę podano dekonspirację podczas likwidacji „bandy »Kędziorka«” i brak cenniejszych materiałów od informatora po tym zdarzeniu. W teczce roboczej „Jastrzębia” znajduje się jego podanie z 25 lipca 1988 r., w którym zwraca się do Wojewódzkiego Urzędu Spraw Wewnętrznych

¹⁵ AIPN Lu, 01/546, t. 1, Doniesienie informatora ps. „Jastrząb”, 18 VII 1951 r., k. 179.

¹⁶ AIPN Lu, 003/532, t. 1, Pokwitowanie podpisane przez informatora ps. „Jastrząb”, 17 VIII 1951 r., k. 70.

¹⁷ Prawdopodobnie był to rtm./mjr Leonard Zub-Zdanowicz.

¹⁸ AIPN Lu, 003/532, t. 2, Doniesienie informatora ps. „Jastrząb”, 9 XII 1952 r., k. 17; *ibidem*, Doniesienie informatora [ps.] „Jastrząb”, 10 I 1953 r., k. 19.

w Lublinie z prośbą o wydanie odpisu lub wyciągu oświadczenia złożonego w 1947 r. w PUBP w Kraśniku o działalności w ruchu oporu podczas okupacji niemieckiej¹⁹. Dokument był mu potrzebny do ubiegania się o członkostwo w Związku Bojowników o Wolność i Demokrację. Naczelnik Wydziału Archiwum Wojewódzkiego Urzędu Spraw Wewnętrznych w Lublinie ppłk Jan Sekuła odmówił jednak wydania tego oświadczenia²⁰.

Zaciskanie pętli

W rozmowie z historykiem, Ewą Kurek, „Lutek” nie podał, który z mężczyzn próbował go zamordować. Bonifacy Pizoń, syn łącznika „Zapory”, twierdził, że strzelał Wierchowski. Tę informację miał otrzymać od samego Rondudy, który ranny trafił do jego domu. W obliczu śmierci prosił Pizoniów, by powiadomili rodzinę i przekazali, że strzały padły z broni Wierchowskiego²¹. Również gratyfikacja pieniężna odebrana z UB przez „Jastrzębia” za wykonanie zadanie potwierdza tę wersję. Ranemu partyzantowi udzielił pomocy doktor Andrzej Cagara. Ten lekarz do dzisiaj jest wspominany przez mieszkańców okolic Urzędowa i Kraśnika. W czasie wojny nawiązał kontakt z oddziałami podziemia niepodległościowego, udzielał pomocy rannym i chorym żołnierzom, prowadził szkolenia sanitariuszek. Interwencja medyczna Cagary prawdopodobnie uratowała „Lutkowi” życie.



Józef Janczarek. Fot. AIPN

Partyzant początkowo ukrywał się u sąsiadów, a następnie został przez kolegę przewieziony do Karpacza, gdzie dochodził do zdrowia. Po powrocie w rodzinne strony w lipcu 1952 r. ukrywał się z Józefem Janczarkiem, którego poznał przez jego żonę. Janczarek obawiał się aresztowania przez władze za udział wraz z Edwardem Gołasiem i dwoma innymi mężczyznami w akcji na młyn

¹⁹ AIPN Lu, 003/532, t. 2, Podanie Dominika Wierchowskiego, 25 VII 1988 r., k. 40.

²⁰ AIPN Lu, 003/532, t. 2, Pismo naczelnika Wydziału Archiwum WUSW w Lublinie ppłk. Jana Sekuły do Dominika Wierchowskiego, 17 VIII 1988 r., k. 27.

²¹ E. Kurek, *Zaporczycy...*, t. 4, s. 126.

w 1951 r. (Gołaś został wówczas ujęty). „Lutek” wiedział o tym. Nie mógł jednak pozostać w lesie, a w pobliżu nie mieszkał nikt, kto mógłby mu pomóc; rodziny i narzeczonej nie chciał narażać na niebezpieczeństwo.

„Jastrząb” po postrzeleniu „Lutka” został zdekonspirowany, najważniejszym współpracownikiem bezpieki był zatem „Dąb” – mieszkaniec wsi Leszczyna Andrzej Bury. Urząd Bezpieczeństwa pozyskał go w sierpniu 1947 r. w celu rozpracowania grupy pod dowództwem Romana Grońskiego „Żbika”, która przebywała na terenie gminy Urzędów. Kontakty z bezpieką zostały jednak przerwane. W styczniu 1949 r. Bury ponownie podjął współpracę z aparatem represji. Właśnie na podstawie jego donosów w kwietniu 1950 r. ujęto w Szczecinie Mikołaja Malinowskiego „Mikołaja”. W okresie współpracy Burego z aparatem bezpieczeństwa w jego donosach pojawiły się nazwiska 74 osób. Wśród nich, prócz „Lutka”, „Żbika”, Kędziorka” i „Walerka”, również Stanisława Wnuka „Opala” oraz Genowefy Wnuk „Ciotki”, łączniczki „Zapory”²². Doniesienia informatora „Dęba” stały się w styczniu 1952 r. podstawą do wszczęcia przez Wydział III WUBP w Lublinie sprawy operacyjnej o kryptonimie „Doliniarz”, która dotyczyła Józefa Janczarka i Lucjana Rondudy. Za likwidację „bandytów” odpowiadali szef PUBP w Kraśniku por. Jan Kość oraz wspomniany już zastępca naczelnika Wydziału III WUBP w Koszalinie kpt. Igor Burdziej.

Od września 1952 r. Bury próbował nawiązać kontakt z rodziną Danielów. Najpierw zdobył zaufanie Anny Daniel, potem narzeczonej „Lutka” – Stanisławy, a następnie jego siostry – Jadwigi. Kobiety wkrótce poznały Burego z partyzantem, który tym razem nie wykazał się czujnością. Początkowo funkcjonariusze UB zamierzali dokonać zasadzki w zabudowaniach Józefa Dudziaka bądź Stanisławy Daniel. Okazało się jednak, że u Dudziaka nie będzie to możliwe, gdyż był on podejrzewany o współpracę z bezpieką. Funkcjonariusze nie mieli też pewności, czy odpowiednie jest drugie miejsce, ponieważ Ronduda w tamtym okresie rzadko przebywał w domu kobiet. Polecono więc „Dębowi”, aby przez Annę Daniel nakłonił Rondudę i Janczarka do napadu na Władysława Wnuka, z którym informator sądził się o majątek. Mężczyźni zgodzili się na

²² AIPN Lu, 0024/382, t. 1, Wykaz osób przechodzących w materiałach [informatora ps. „Dąb”], b.d., k. 8.



Lucjan Ronduda „Lutek”, zdjęcia sygnalityczne z akt UB. Fot. AIPN

propozycję w zamian za przechowanie ich przez zimę. Ostatecznie do napadu nie doszło. 10 października 1952 r. „Dąb” poinformował PUBP w Kraśniku, że w zabudowaniach należących do niego i jego siostry Zofii Chołody przebywają Ronduda z narzeczoną oraz Janczarek z żoną. Następnego dnia funkcjonariusze PUBP w Kraśniku wraz z 250 żołnierzami KBW i naczelnikiem Wydziału III WUBP w Lublinie kpt. Zdzisławem Zabawą przeprowadzili operację likwidacji „elementu bandyckiego”. Ronduda wspominał w rozmowie z Ewą Kurek, że nie chciał żywy wpaść w ręce bezpieki, Janczarkowi udało się jednak odwieść go od popełnienia samobójstwa²³. Cała czwórka została aresztowana. Upozorowano również zatrzymanie „Dęba”. Jego siostrze polecono napisanie prośby o uła-

²³ E. Kurek, *Zaporzczycy...*, t. 4, s. 156.

skawienie do prezydenta Bolesława Bieruta. Podanie zostało podpisane przez mieszkańców wsi Leszczyna. Wojskowa Prokuratura Rejonowa w Lublinie oczywiście odstąpiła od zarzutów wobec „Dęba”. Za straty poniesione podczas akcji likwidacyjnej Bury i jego szwagier Ludwik Chołody (informator o pseudonimie „Bomba”) otrzymali rekompensatę w wysokości 42 210 zł. Bury został wyeliminowany z sieci informatorów w lutym 1955 r.²⁴

Nie ten sam człowiek

„Lutek” został osadzony w areszcie PUBP w Kraśniku, który mieścił się w pobliżu Powiatowego Wydziału Zdrowia. Doktor Cagara wyznał po latach swojej córce Stelli, że bardzo przeżył aresztowanie Rondudy²⁵. Codziennie słyszał dobiegające z aresztu krzyki katowanych partyzantów. „Lutek” – mimo okrutnych tortur – nigdy nie zdradził jego nazwiska.

Po trzech miesiącach Rondudę przewieziono do aresztu UB przy ul. Narutowicza w Lublinie. Śledztwo w jego sprawie zakończyło się 9 lutego 1953 r.²⁶ Następnego dnia sporządzono akt oskarżenia. Wojskowy Sąd Rejonowy w Lublinie 8 maja 1953 r. skazał Lucjana Rondudę na podwójną karę śmierci²⁷. Uznano go za winnego członkostwa w Zrzeszeniu „WiN”, usiłującym „przemocą zmienić ustrój państwa polskiego”. Skazanego przewieziono do więzienia na Zamku w Lublinie, gdzie w celi śmierci przebywał ze wspomnianym już Edwardem Bukowskim „Grubym”, „Cichym”, którego ujęto 10 czerwca 1951 r. W raporcie z zatrzymania, sporządzonym przez PUBP w Lublinie, znajduje się informacja, że ukrywający się z „Grubym” Edward Kalicki „Równy”, „Zajac”, „Mały” zginął podczas wymiany ognia z żołnierzami KBW. Bukowski został ranny w głowę odłamkiem granatu. Przewieziono go do szpitala, gdzie przeszedł operację²⁸. WSR w Lublinie 5 czerwca 1953 r. skazał go na karę śmierci²⁹. Wyrok wykonano przez rozstrzelanie 12 stycznia 1954 r.

²⁴ AIPN Lu, 0024/382, t. 2, Raport o wyłączeniu z sieci informatora ps. „Dąb” (Andrzej Bury), 27 II 1955 r., k. 24.

²⁵ A. Wnuk, *Niósł pomoc ludziom. Wspomnienie o lekarzu Andrzeju Cagarze*, „Głos Ziemi Urzędowskiej” 2003 (rocznik), <https://gokurzedow.pl/u/gzu04/20.htm> [dostęp: 25 III 2020 r.].

²⁶ AIPN Lu, 32/37, t. 2, Postanowienie o zamknięciu śledztwa, 9 II 1953 r., k. 92.

²⁷ AIPN Lu, 32/37, t. 2, Wyrok WSR w Lublinie, 8 V 1953 r., k. 173–183.

²⁸ AIPN Lu, 21/38, t. 1, Raport o zatrzymaniu Edwarda Bukowskiego, 11 VI 1951 r., k. 4.

²⁹ AIPN Lu, 21/38, t. 5, Wyrok WSR w Lublinie, 5 VI 1953 r., k. 261.

Wyrokiem tego samego WSR z 7 czerwca 1954 r. Rondudzie zamieniono karę śmierci na dożywocie, a następnie na mocy „amnestii” z 27 kwietnia 1956 r. zmniejszono ją do trzynastu lat więzienia. „Lutek” na wolność wyszedł w marcu 1961 r.

W charakterystyce nr 145 sporządzonej przez Wydział „C” WUSW w Lublinie w 1987 r. czytamy, że za pomoc udzieloną „bandzie” pod dowództwem „Kędziorka”, a następnie Lucjana Rondudy i Józefa Janczarka, karę więzienia otrzymało jedenaście osób³⁰.

Annę Daniel aresztowano 18 października 1952 r. Wyrokiem WSR w Lublinie z 6 sierpnia 1953 r. za pomoc Lucjanowi Rondudzie została skazana na rok pozbawienia wolności.

Stanisława Daniel 10 lutego 1953 r. została skazana na trzy lata i cztery miesiące więzienia, ale na wolność wyszła 30 września 1954 r. W charakterystyce sporządzonej w więzieniu w Chełmie można przeczytać: „Podczas rozmowy z więźniarką Daniel Stanisława [...] oświadczyła, że przestępstwa dopuściła się dlatego, że kochała swego narzeczonego, lecz wrogiem Polski Ludowej nie była i nie jest. Wypowiedzi nie [są] szczerze”³¹.

Po wyjściu na wolność Ronduda nie był już tym samym człowiekiem. Pobyt w więzieniu odchorował. Drogi jego i Stanisławy Daniel się rozeszły. „Ojciec nie chciał rozmawiać o przeszłości” – mówił jego syn Jacek Ronduda. Peerelowska propaganda zrobiła z niego bandytę, starał się więc nie zwracać na siebie uwagi. Czasem odwiedzał siostrę Jadwigę w Wilkołazie Dolnym, ale i ona nie poruszała trudnego tematu.

Lucjan Ronduda „Lutek” zmarł 15 września 2003 r.

³⁰ AIPN Lu, 0187/136, Charakterystyka nr 145 bandy Mieczysława Pruszkiewicza ps. „Kędziorek”, [1987 r.], k. 3.

³¹ AIPN Lu, 010/952, Charakterystyka Stanisławy Daniel, 11 IX 1953 r., k. 6.



Wioletta Lipińska (ur. 1982) – kustosz w Archiwum Instytutu Pamięci Narodowej.

Marek Gałęzowski

„Umarł »Dziadek« siwy a żelazny...”

„Piłsudski miał fanatycznych wielbicieli, którzy go kochali więcej niż własnych rodziców, niż własne dzieci, ale było wielu ludzi, którzy go nienawidzili [...]. I oto nie znać było tego w dniu pogrzebu” – pisał Stanisław Cat-Mackiewicz.





Józef Piłsudski, Naczelnik Państwa. Fot. NAC

P óżnym wieczorem 12 maja 1935 r. „ojciec [...] zjawił się w domu i – do końca życia nie zapomnę tego momentu – rzekł stłumionym głosem: »Marszałek umarł«. Rodzina moja śmierć tę odczuła jak śmierć najbliższej osoby – ojca czy dziadka. Płakaliśmy wszyscy, tak jak po kimś najbliższym” – wspominał Zbigniew Wójcik, wówczas dwunastoletni chłopiec, w przyszłości wybitny historyk dziejów nowożytnych¹. Widywał Józefa Piłsudskiego, ponieważ jego ojciec Walenty Wójcik, legionista, podoficer żandarmerii, w 1923 r. został przydzielony do służby osobistej Marszałka i pozostał w niej do ostatniego dnia jego życia.

„Piłsudski miał fanatycznych wielbicieli, którzy go kochali więcej niż własnych rodziców, niż własne dzieci, ale było wielu ludzi, którzy go nienawidzili, miał całe warstwy ludności, całe dzielnice Polski przeciw sobie, potężną nieufność do siebie. I oto nie znać było tego w dniu pogrzebu” – pisał Stanisław Cat-Mackiewicz, a w innym miejscu swojej *Historii Polski* wspominał o brutalnych oszczerstwach, których nigdy nie oszczędzano Zmarłemu, bez względu na chwilę, jak latem 1920 r., „że ma drut, który łączy go z bolszewikami, że zdradza im tajemnice wojskowe, że będąc w legionach, ukradł komuś żółte buty”². Mackiewicz, znakomity pisarz, celowo łączył zarzut zdrady państwa z jednym z licznych, pomniejszych pomówień, wskazując, ile warte było jedno i drugie.

Mało pocieszające, że spośród wielkich Polaków nie tylko Marszałek nie uniknął plugawych ataków. Wacław Berent pisał: „Za pierwszym

¹ Z. Wójcik, *Józef Piłsudski 1867–1935*, Warszawa b.d.w., s. 8.

² S. Cat-Mackiewicz, *Historia Polski. Od 11 listopada 1918 r. do 17 września 1939 r.*, Londyn 1992, s. 266–267 i 83.

postawieniem stopy na ziemi ojczystej wołać będę do współbraci o ukaranie... tego hipokryty jaszczurczego plemienia... tej najpryncypialniejszej przyczyny nieszczęść naszych« – grzmi oto w liście kasztelan [Dionizy] Mniewski, magnat-warchoł [...]. Tak więc jeśli nie gilotynę na placu Bastylli, to szubienicę na rynku Starego Miasta w Warszawie obiecywali Dąbrowskiemu jakobini polscy. [...] »Przykro było Republikanom widzieć na czele legionów człowieka bez duszy, bez pryncipiów, bez charakteru, przykrzej jeszcze widzieć w ręku jego złożoną, despotyczną władzę nad wolnymi Polakami... Żądaliśmy i żądamy, aby legiony spod arbitralności jednej osoby wyjęte były, i pragniemy, aby zostały zorganizowane w sposobie prawdziwie republikańskim«. Tak [z kolei] od duszy, charakterów i pryncipiów odsądzał Dąbrowskiego przyszły cenzor rosyjski [Józef Kalasanty Szaniawski], pod którego »obuchem« zamarło ostatecznie w Warszawie oświecenie polskie – wskrzeszane po rozbiorach szablą i duchem legionów³. Tak, dobrze się czytelnik domyśla – to o gen. Janie Henryku Dąbrowskim mowa.

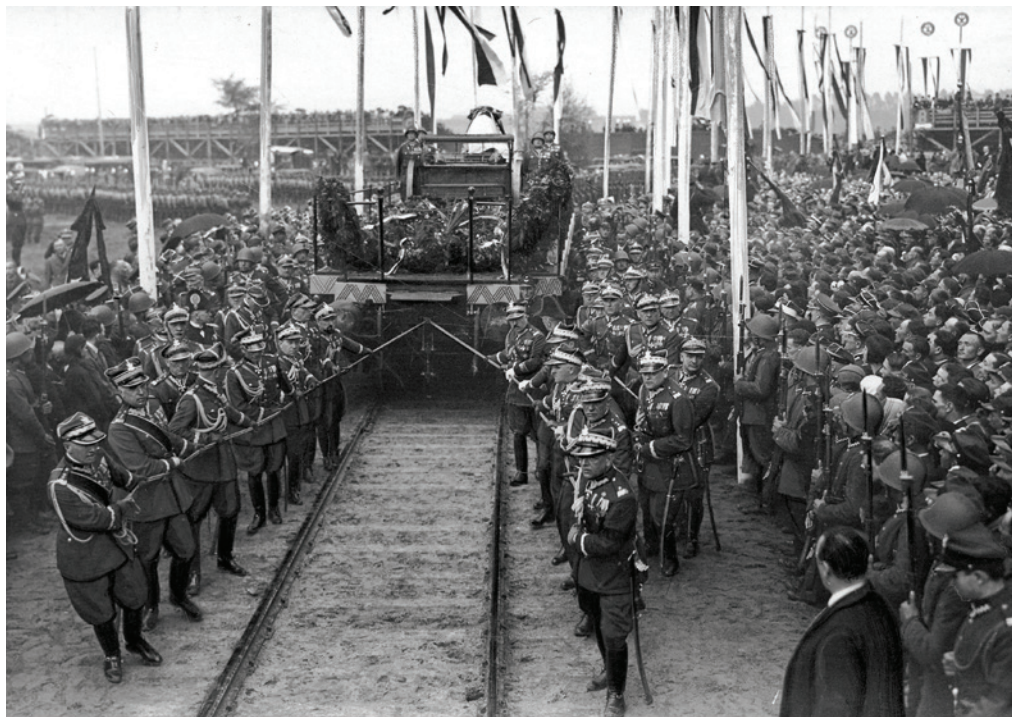
Nieszczęście narodowe

A jednak śmierć Józefa Piłsudskiego poruszyła cały naród, również ludzi mu niechętnych: i tych, którzy dawniej sympatyzując z nim, krytykowali jego politykę po przewrocie majowym, i tych tak odległych od narodowego patosu, jak Witold Gombrowicz, który po wielu latach na emigracji w Argentynie pisał: „Póki nad panoramą życia politycznego, a nawet duchowego górowała silna osobowość Marszałka, wszystko nieźle trzymało się kupy [...]. Gdy umarł, poczuliśmy się trochę, jakby wiatr zerwał nam dach nad głową⁴”.

A to samo odczuwał człowiek innej epoki, wręcz innego świata niż autor *Ferdydurke*. Marian Zdziechowski, wielki polski myśliciel, znakomity znawca filozofii rosyjskiej, co koniecznie należy podkreślić – wilnianin, pisał: „Śmierć Marszałka wszyscy niemal – i wielcy, i mali – wyczuli instynktem serca jako nieszczęście narodowe. [...] Wiadomość o śmierci jego przyszła do Wilna późnym wieczorem; redaktor »Słowa« [Cat-Mackiewicz] natychmiast zawiadomił p. Aleksandra Meysztowicza.

³ W. Berent, *Nurt. Opowieści biograficzne*, Warszawa 1958.

⁴ W. Gombrowicz, *Wspomnienia polskie. Wędrowki po Argentynie*, Warszawa 1990, s. 134.



Pożegnanie Józefa Piłsudskiego z armią na Polu Mokotowskim w Warszawie; generałowie ciągną wagon, na którym złożono trumnę z ciałem Marszałka, 17 maja 1935 r. Fot. NAC

Rozmowę ich słyszał lokaj. »Panie – zapytał po wyjściu redaktora – co my teraz pocniemy bez niego, toż wszyscy zginiemy«. Był to *vox populi*. Na Mszy żałobnej ks. biskupa [Kazimierza] Michalkiewicza w kościele św. Jana kościół był przepełniony i wszyscy w jeden głos płakali. Wśród płaczących, nie tylko w kościele, ale i w ciszy domowej, widziałem ludzi obojętnych przedtem, nieraz nieprzychylnie do niego usposobionych”⁵.

Ten powszechny żal nie może dziwić. „Albowiem powietrze, którym oddychaliśmy w Polsce od r. 1918, składało się z tlenu, azotu i Józefa Piłsudskiego. On był klimatem naszego życia publicznego. On to życie ukształtował swoim marzeniem, heroizmem i wolą”⁶. O śmierci Marszałka pisała cała prasa w kraju, wliczając w to periodyki fachowe i środowiskowe, jak również większość tytułów codziennych za granicą. Uczczono go na specjalnym posiedzeniu Ligi Narodów.

⁵ M. Zdziechowski, *Ze wspomnień o Piłsudskim i jego epoce*, [w:] *idem, Wybór pism*, oprac. M. Zaczyński, Kraków 1993, s. 76.

⁶ J. Wittlin, *W godzinę żalu*, [w:] *W blasku legendy. Kronika poetycka życia Józefa Piłsudskiego*, oprac. K. Jeżewski, Paryż 1988, s. 301.

Do Belwederu napłynęły tysiące depeš kondolencyjnych z kraju i ze świata – najbardziej wzruszające od zwykłych Polaków⁷.

Wielkiego Zmarłego wystawiono na katafalku w Belwederze, a później w katedrze św. Jana – w obu miejscach tysiące ludzi oddały mu hołd. 17 maja 1935 r., po Mszy odprawionej przez kard. Aleksandra Kakowskiego, za trumną umieszczoną na lawecie armatniej ruszył – Krakowskim Przedmieściem w stronę Pola Mokotowskiego – długi pochód. W miejscu, w którym jeszcze niedawno Marszałek dokonywał przeglądów Wojska Polskiego, odbyła się defilada z udziałem delegacji wszystkich polskich pułków. Po przejściu ostatnich oddziałów zabrzmiały dźwięki *Mazurka Dąbrowskiego*, artyleria oddała 101 salw armatnich. Trumnę przeniesiono następnie na platformę kolejową i umieszczono ponownie na lawecie. Orkiestry pułkowe Wojska Polskiego grały *My, Pierwsza Brygada*. Nagle zerwała się burza, zrobiło się ciemno, zaczął padać deszcz.

Wieczorem pociąg wiozący platformę z trumną wyjechał w kierunku Krakowa. Tam, podobnie jak w Warszawie, wielki pochód wyruszył z dworca kolejowego przez Rynek na wzgórze wawelskie. Bił dzwon Zygmunta. Na Wawelu generałowie wnieśli trumnę do katedry. Po Eucharystii, którą celebrował metropolita krakowski abp Adam Sapieha, zanieśli ją do krypty św. Leonarda w podziemiach katedry. Przy dźwiękach Zygmunta artyleria oddała 101 salw. Odegrano *Mazurka Dąbrowskiego* i *My, Pierwsza Brygada*. Później w całym kraju zapanowała trzyminutowa cisza. Tak Polska pożegnała Józefa Piłsudskiego – Naczelnika odbudowanego państwa polskiego i pierwszego Marszałka Wojska Polskiego, pogromcę Armii Czerwonej, który ze swoimi żołnierzami uratował niepodległość odrodzonego państwa. „Umarł »Dziadek« siwy a żelazny – opiekun wszystkich domów w Polsce. A gdy nas opuścił, dostrzegliśmy, że znad naszych drzwi zniknął znak: dwie szable złożone na krzyż, symbol męstwa, honoru, wielkości. Ktoś go zawiesił nad naszymi głowami i ktoś go zdjął, odchodząc”⁸.

Piłsudski był spadkobiercą dziedzictwa politycznego tych największych Polaków, którzy w dobie upadku Rzeczypospolitej potrafili rzucić rosyjskiemu ambasadorowi dumne słowa – „nie znam na świecie despoty dość bogatego, aby mnie

⁷ Wybór winię prasowych – polskich i zagranicznych oraz depeš kondolencyjnych zob. M. Gałęzowski, A. Przewoźnik, *Gdy Wódz odchodził w wieczność...*, Warszawa 2005, *passim*.

⁸ F. Goetel, *Ignis ardens*, [w:] *W blasku legendy...*, s. 299.



Uroczystość jubileuszu piętnastolecia wyruszenia ułańskiej siódemki Władysława Beliny-Prądmowskiego na placu marsz. J. Piłsudskiego w Warszawie, 2 sierpnia 1929 r. Fot. NAC

zepsuć, ani dość mocnego, aby mnie przerazić”⁹, a później w dziewiętnastowiecznych zmaganiach dążyli do wybicia się na niepodległość. „Po ostatnim powstaniu zbrojnym Polski, styczniowym, urodził się Piłsudski, i potem całe jego życie było powstaniem. Urodził się po klęsce, zmarł po zwycięstwie”¹⁰. Wielki przeciwnik polityczny Marszałka, Roman Dmowski, docenił jego poświęcenie dla Ojczyzny podczas jednej z nielicznych wspólnych dyskusji, mówiąc: „Ja także całe życie poświęciłem

Polsce”. A wybitny polski historyk i żołnierz Legionów, z przekonań socjalista, Henryk Wereszycki, powiedział, że ma negatywną opinię o Piłsudskim jako dyktatorze, zaraz jednak dodał: „Całość jego życia musi się ocenić pozytywnie. To był dar Boży dla narodu polskiego”¹¹. Uzasadnieniem opinii, która może wydać się za daleko idąca, było to, że wywalczył Polsce „wolność, granice, moc i szacunek”, jak napisano w orędziu Prezydenta Rzeczypospolitej, wydanym nazajutrz po śmierci Marszałka, a jak zauważył współczesny badacz, „na każdym z etapów swego życia budował wartości, które były społecznie twórcze”¹².

⁹ J.M. Rymkiewicz, *Reytan. Upadek Polski*, Warszawa 2013, s. 137.

¹⁰ J. Wołoszynowski, *Było tak*, [w:] *W blasku legendy...*, s. 292.

¹¹ J.W. Borejsza, *Henryk Wereszycki czyli optymizm słusznych tez* [w:] *Henryk Wereszycki (1898–1990). Historia w życiu historyka*, red. E. Orman, A. Cetnarowicz, Kraków 2001, s. 224.

¹² A. Friszke, *Piłsudski*, [w:] *idem, O kształt niepodległej*, Warszawa 1989, s. 38.

Urzędowy kult i walka z legendą

Urzędowy kult Piłsudskiego, wprowadzony przez jego politycznych następców, był więc zbędny, gdyż zamiast stać się wzorcem postaw, budził raczej skojarzenia, że rządzący poddają się wielkości Marszałka, by ukryć własne ułomności. Trafnie dostrzegął to Gombrowicz, który pisał o niepokojącej go łatwości, „z jaką warstwa przodująca rezygnowała ze swoich praw do krytycyzmu i sceptycyzmu”¹³. A Jan Lechoń odnotował w *Dzienniku*, że Piłsudski „był mimo wszystkich ułomności, przerostów, anachronizmów, największym bodaj mężem stanu polskiej historii. Nie przeżywszy go, nie można było naprawdę być wolnym Polakiem. Ale ci, którzy chcą wypełniać jego testament, nie powinni się na niego powoływać, bo przecież życie stawia wciąż problemy, których Piłsudski nie rozwiązywał, i żąda ono patrzania w przyszłość. Nauką Piłsudskiego było nie wczytywać się w jego historię, kontynuować jego politykę – tylko mieć jego powagę, bezinteresowność, a gdy trzeba tragiczną odwagę w walce o to, co jest dla nas dobrem Polski i ludzkości”¹⁴.

Przeciwnikom Piłsudskiego, których niechęć wynikała najpierw z powodów ideowych, później przede wszystkim z zawiści wobec zwycięstw tego, z którego zmagania o niepodległość Polski przez całe lata drwili, „chodziło

» Przeciwnikom Piłsudskiego »chodziło o to, aby rosnącą legendę sprowadzić do możliwie płaskich rozmiarów. [...] Dzisiaj już widzimy, że te wydziedziczające zabiegi są nierealne«. Przekonał się o tym także komunistyczny reżim w powojennej Polsce. »

o to, aby rosnącą legendę sprowadzić do możliwie płaskich rozmiarów. Był to oczywiście wyraz bezradności wobec legendy, nieświadomego przeświadczenia, że w tej postaci skupia się ważna tradycja

polskiej myśli politycznej XIX wieku, z którą głosiciele tych tez nie chcieli się zgodzić. Dzisiaj już widzimy, że te wydziedziczające zabiegi są nierealne”¹⁵.

Przekonał się o tym także komunistyczny reżim w powojennej Polsce, który gorliwie zabiegał o to, by „nikt nie spróbował przemycić choćby życziwej wzmianki

¹³ W. Gombrowicz, *Wspomnienia polskie...*, s. 105.

¹⁴ J. Lechoń, *Dziennik*, t. 1, Warszawa 1992, s. 334–335.

¹⁵ M. Król, W. Karpiński, *Od Mochmackiego do Piłsudskiego. Sylwetki polityczne XIX wieku*, Warszawa 1997, s. 193.



Józef Piłsudski nad Niemnem. Fot. NAC

o Józefie Piłsudskim¹⁶. Pouczający jest tu taki oto przykład. Wśród licznych wierszy opublikowanych po śmierci Marszałka, a pieczołowicie zebranych w antologii Krzysztofa Jeżewskiego (jak w większości typowych produktów chwili, dziś rażących nadmierną emfazą), wyróżniał się liryk Leopolda Staffa, którego fragment zacytujmy: „Dom opustoszał... Pustka naga./ Z okien oślepy żal wyziera./ Z dachu powiewa czarna flaga/ Zbrakło Rycerza, Bohatera¹⁷. Ten ośmiowersowy wiersz zatytułowany *J. P.* nie został opublikowany w PRL. Nie znalazł się w zbiorze *Poezji zebranych* Staffa – ani w edycji z 1955 r., ani w drugim wydaniu z 1967 r.

„Wolno było tylko opłukać postać Komendanta i Marszałka, w zgodzie z pomysłami niektórych dawnych czasopism endeckich. W takim duchu pisywano – i publi-

¹⁶ J. Łojek, *Piłsudski z perspektywy 50-lecia*, [w:] *idem, Wokół sporów i polemik. Publicystyka historyczna*, Lublin 1991, s. 349.

¹⁷ L. Staff, *J. P.*, [w:] *W blasku legendy...*, s. 291–292.

cystycznie, i pseudonaukowo. Swego czasu zasłynął ze swoich nikczemnych książek o genezie władzy Piłsudskiego w Polsce zapomniany już publicysta Stefan Arski. Nikt już dzisiaj nie pamięta o jego dziełach, wydawanych niegdyś we wspaniałej postaci edytorskiej. Nic to nie dało. Jest faktem niezwykłym i zastanawiającym, że pamięć narodowa o Józefie Piłsudskim trwała i przetrwała, mimo zupełnego braku literatury historycznej i dokumentacji naukowej na polskim rynku księgarskim” – pisał w 1985 r. Jerzy Łojek¹⁸. Ten wybitny historyk, szukając źródeł trwałości legendy Piłsudskiego i siły jej oddziaływania, postawił pytanie: „o czym marzy polska opinia publiczna, skoro postać Marszałka budzi nadal tyle wielkich emocji, tak fascynuje i tak interesuje?”. Odpowiedź znalazł w tęsknocie rodaków „za Polską, którą on właśnie sobie wymarzył, a której zrealizować nie zdołał”¹⁹.

Zarzuty formułowane współcześnie wobec Piłsudskiego zwykle nie mają wiele wspólnego z dążeniem do oddania prawdy o Komendancie I Brygady i jego czasach. Ich autorzy, nie uwzględniając kontekstu historycznego działalności Marszałka, przypisują mu wyłącznie złe intencje i złą wolę przy podejmowaniu decyzji. Wszystko po to, by – jeżeli nie usunąć go z narodowej pamięci – przynajmniej jak najbardziej umniejszyć jego dokonania. Lecz „pamięć narodowa to jest pamięć suwerenna – ona sama wie, o czym ma pamiętać, sama zapamiętuje, nie pytając nas o zdanie”. Nie jest więc tak, że my sami „coś każemy jej pamiętać, a o czymś innym każemy jej zapomnieć”²⁰.

Prawdą jest, jak pisał już w III RP wspomniany Zbigniew Wójcik, że Piłsudski, oprócz wielbicieli, często fanatycznych, „miał i ma nadal [...] wielu bezwzględnych, niecofających się przed żadnymi oszczerstwami wrogów”²¹, którzy od chwili jego śmierci za swój priorytet uznali deprecjonowanie zasług Marszałka w dziele odzyskania niepodległości Polski i obronienia odrodzonego państwa przed bolszewicką agresją. Ludzie ci „każą pamięci narodowej pamiętać”, że Piłsudski ponoć stale szkodził sprawie polskiej. Próżne są ich wysiłki. Już Zygmunt Nowakowski w czasie II wojny światowej pisał: „Zaprzestańcie walki z nazwiskiem. Przegracie, bo walcząc z nazwiskiem, chcecie walczyć z pieśnią.

¹⁸ J. Łojek, *Piłsudski...*, s. 349.

¹⁹ *Ibidem*, s. 347.

²⁰ J.M. Rymkiewicz, *Reytan...*, s. 188.

²¹ Z. Wójcik, *Józef Piłsudski...*, s. 71.



Wyprowadzenie trumny z ciałem Józefa Piłsudskiego z katedry św. Jana w Warszawie, 17 maja 1935 r. Fot. NAC

Ona jest nieuchwytna i niedosięga, nie mając się jej ani bieśy, ani argumenty [...]. Co więcej, jest ona irracjonalna, obrawszy sobie za królestwo uczucie, czyli instykt. Czy ta pieśń ścichnie, gdy ktoś zatka uszy? [...] Irracjonalny instykt, [...] zapomniawszy o tym, co było bolesne, wiąże – po trzykroć, po stokroć słusznie – z owym nazwiskiem wszystko, co było dobre, piękne, własne”²².

Niech te słowa wystarczą za odpowiedź wszystkim, którzy nie chcą przyznać zasług człowiekowi potrafiącemu nieść „swoją myśl wściekle uporczywą stworzenia tego, co byłoby funkcją siły kraju, kraju, który trwał w ciężkiej niewoli krępującej, łamiącej dusze i charaktery”²³.

Artykuł jest zmienioną wersją tekstu opublikowanego wcześniej w: M. Gałęzowski, J. Kirszak, *Twórca Niepodległej. Józef Piłsudski 1867–1935*, Warszawa 2018.

²² Z. Nowakowski, *Walka z nazwiskiem*, „Wiadomości Polskie” 1942, nr 17 (111), s. 2.

²³ J. Piłsudski, *Przemówienie w Kielcach*, 20 X 1921 r., [w:] *idem, Pisma zbiorowe*, t. 5, Warszawa 1990, s. 224 (reprint wydania z 1937–1938).

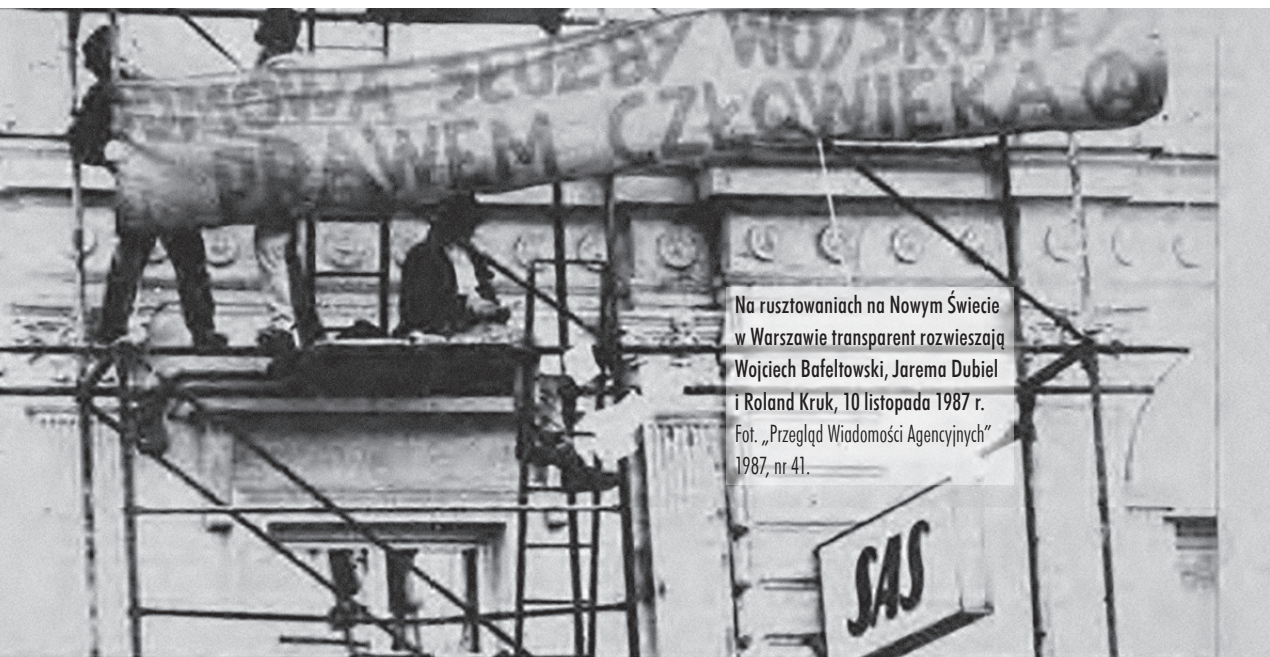
Nam w uszach dotąd jeszcze dudni defilada,
 Synkopy kopyt końskich stukają po bruku
 I wśród grzmotu wiwatów i krzyku i huku
 Orkiestra gra pieśń rzewną *My, pierwsza Brygada!*
 Gra pieśń „Co wszczęła rozpacz, niech dokona męstwo!”
 I gra „Marsz, marsz, Polacy, Bóg nam dał zwycięstwo!”
 I podnoszą się głowy, chylą się sztandary,
 A on mówić nie może. Mundur na nim szary.
 I tak został w tym wierszu Lechonia, w te słowa
 Zaczarowany, niby heros homerycki,
 Za życia przemieniony w pomnik poetycki
 Co teraz trwa dopóty, póki polska mowa
 Spiżem dzwoni i dźwięczy i śpiewa jak skrzypce,
 Zapleciona w poezji wężach i warkoczach.

M. Hemar, *Święto*, [w:] *idem, Liryki, satyry, fraszki*, Londyn 1990, s. 51.

Autor nawiązał do słynnego zakończenia wiersza *Piłsudski* Jana Lechonia, ze zbioru *Karmazynowy poemat*.



Marek Gałęzowski (ur. 1972) – historyk i politolog, dr hab., profesor Uczelni Łazarskiego, pracownik Biura Edukacji Narodowej IPN. Autor książek: *Na wzór Berka Joselewicza. Żołnierze i oficerowie pochodzenia żydowskiego w Legionach Polskich* (2010); *Przeciw dwóm zaborcom. Polityczna konspiracja piłsudczykowska w kraju w latach 1939–1947* (2013); (z Jerzym Kirszakiem) *Twórca Niepodległej. Józef Piłsudski 1867–1935* (2018); *My idziemy w zórz świtanie... Sylwetki oficerów Legionów Polskich poległych i zmarłych w walce o niepodległość w latach 1914–1916* (2019) i in.



Na rusztowaniach na Nowym Świecie w Warszawie transparent rozwieszają Wojciech Bafeltowski, Jarema Dubiel i Roland Kruk, 10 listopada 1987 r. Fot. „Przegląd Wiadomości Agencyjnych” 1987, nr 41.

Dariusz Zalewski

Ruch Wolność i Pokój a „desakralizacja” Ludowego Wojska Polskiego¹

Trzydziesta piąta rocznica powstania Ruchu Wolność i Pokój stanowi dobrą okazję do przypomnienia roli, jaką ten ruch odegrał w procesie demystyfikacji komunistycznej armii. Skłania też do zastanowienia się nad przyczynami dość pozytywnego stosunku do wojska w okresie PRL, mimo zaangażowania LWP w utrwalanie systemu komunistycznego.

¹ Nazwa Ludowe Wojsko Polskie określająca komunistyczną armię PRL była nieoficjalna, ale powszechnie stosowana.

W kalendarzu oficjalnych obchodów organizowanych przez państwa bloku komunistycznego każdy 9 maja był okazją do celebrowania zwycięstwa nad faszyzmem. Główne uroczystości odbywały się (i nadal odbywają) w Moskwie, a ich kulminacyjnym wydarzeniem była parada wojskowa Armii Czerwonej, przemianowanej w 1946 r. na Armię Sowiecką. W powojennej Polsce obchodzono święto ustanowione dekretem Bolesława Bieruta z 8 maja 1945 r. w art. 1 tego aktu prawnego zapisano: „Celem upamiętnienia po wsze czasy zwycięstwa Narodu Polskiego i Jego Wielkich Sprzymierzeńców nad najeźdźcą germańskim, demokracji nad hitleryzmem i faszyzmem, wolności i sprawiedliwości nad niewolą i gwałtem – dzień 9 maja, jako dzień zakończenia działań wojennych, stanowić będzie Narodowe Święto Zwycięstwa i Wolności”. Głównym aktorem tych uroczystości, oprócz oczywiście komunistycznych władz, było wojsko – w ZSRS Armia Sowiecka, w PRL Ludowe Wojsko Polskie. Nie było w tym niczego dziwnego, wszak celebrowano zwycięstwo militarne, w którego wyniku powstał blok państw komunistycznych, a przecież wojsko stało na straży jego ideologicznej spójności i trwałości.

Ludowe Wojsko Polskie – ciemiężyciel?

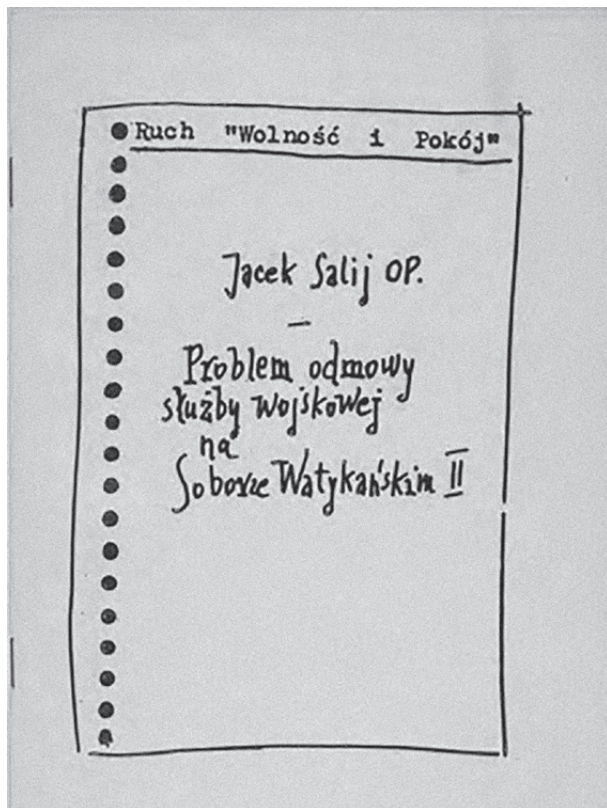
W świadomości zbiorowej Polaków wojsko zawsze cieszyło się wysokim prestiżem. Z pewnością jest to związane z dramatycznymi losami Polski i jej mieszkańców, rozbiorami i wielopokoleniowymi zmaganiem o odzyskanie niepodległości. Bohaterowie walk zbrojnych stawali się bohaterami narodowymi, trafiali na cokoły pomników, patronowali ulicom i szkołom wielu miast i wsi. Przypominanie o chwale oręża polskiego to stały element polityki edukacyjnej, której jedną z funkcji jest budowanie i podtrzymywanie więzi społecznych. W państwach suwerennych i demokratycznych wojsko stoi na straży niepodległości i porządku konstytucyjnego, gwarantującego społeczeństwu wybór władz zgodnie z kalendarzem wyborczym. W państwach niesuwerennych i niedemokratycznych wojsko stoi na straży interesów wąskich grup, także obcych. Nikt o zdrowych zmysłach, także spośród dawnych zwolenników systemu komunistycznego w Polsce, nie ma wątpliwości, że PRL była państwem niesuwerennym, podporządkowanym interesom ZSRS. Kluczową rolę w utrzymywaniu stanu niesuwerenności odgrywało LWP.

Grzechem pierworodnym LWP była jego proveniencja, która determinowała funkcję, jaką wojsko to pełniło przez cały okres PRL. Powstało jako sojusznica siła

zbrojna Armii Czerwonej, która najpierw – 17 września 1939 r. – najechała ziemie wschodnie II RP, a następnie, wraz z posuwaniem się na zachód frontu wojny niemiecko-sowieckiej, zajęła całe terytorium Rzeczypospolitej. Sojusznik tyrana nie może być sprzymierzeńcem wolności, jeżeli lojalnie realizuje jego politykę.

Wystarczy przypomnieć kilka faktów z historii LWP, aby pozbyć się wszelkich złudzeń co do roli, jaką komunistyczne wojsko odgrywało w PRL. W połowie lat czterdziestych, wspierana przez sowieckie NKWD, armia brała aktywny udział w walce z antykomunistycznym podziemiem o utrwalenie zależności od ZSRS i o wprowadzanie ustroju państwa. Ale w czerwcu 1956 r. robotnicy Poznania nie domagali się zmian ustrojowych, tylko „chleba i pracy”, a mimo to władza wysłała przeciwko nim wojsko, w wyniku czego śmierć poniosło co najmniej kilkadziesiąt osób. Premier Józef Cyrankiewicz, wypowiadając słynne słowa „Każdy prowokator czy szaleniec, który odważy się podnieść rękę przeciw władzy ludowej, niech będzie pewny, że mu tę rękę władza odrąbie w interesie klasy robotniczej...”, dobrze wiedział, że może liczyć na lojalność wojska, a tylko ono mogło zapewnić komunistom władzę. Później, w 1968 r., była agresja wojsk Układu Warszawskiego, w tym LWP (ministrem obrony narodowej był wówczas gen. Wojciech Jaruzelski), na Czechosłowację, choć Praska Wiosna ani nie zagrażała bezpieczeństwu naszych granic, ani porządkowi wewnętrznemu w kraju. Ta sama armia pacyfikowała w grudniu 1970 r. robotniczy bunt na Wybrzeżu, gdzie śmierć poniosło co najmniej kilkudziesięciu demonstrantów domagających się obniżki cen artykułów żywnościowych. I wreszcie nastął stan wojenny, wprowadzony 13 grudnia 1981 r. przeciwko wielomilionowej Solidarności, uosabiającej narodową tęsknotę za wolnością oraz godnością życia i pracy.

Broszura dominikanina o. Jacka Salija.
Ze zbiorów Jacka Czaputowicza



Żadne z powyższych wydarzeń nie spowodowało społecznego bojkotu wojska i powszechnej w nim służby (choć przyznać należy, że wielu młodych unikało, jak mogło, pójsia w kamasze). Wydawałoby się, że w kraju tak doświadczonym rozmaitymi zrywami niepodległościowymi, walką z okupantami, społecznymi protestami w obronie godności życia będzie czymś naturalnym jakaś forma bojkotu czy ostracyzmu wobec tej instytucji i osób ją reprezentujących. Dlaczego zatem LWP cieszyło się społecznym uznaniem i nie było postrzegane jako zwykły ciemniejszy stojący na straży niesuverenności państwa? Wydaje się, że przyczyn tego stanu rzeczy było kilka.

Po pierwsze, należy pamiętać, że wszystkie masowe protesty w PRL, w których pacyfikacji uczestniczyło wojsko, miały podłoże socjalne. Kwestia państwowej suwerenności oraz podstawowych wolności obywatelskich nie była przyczyną robotniczych buntów, choć z czasem, jak w sierpniu 1980 r., pojawiły się także żądania o charakterze politycznym. Adresatem postulatów społecznych była Polska Zjednoczona Partia Robotnicza, odpowiedzialna zarówno za tworzenie planów rozwoju społeczno-gospodarczego, jak i ich niezrealizowanie. W wymiarze ustrojowym system komunistyczny został społecznie oswojony, a hasła socjalne cieszyły się autentycznym poparciem społecznym. Wojsko, z nazwy ludowe i polskie, w którym niemal każda rodzina miała kogoś bliższego lub dalszego, było częścią oswojonej PRL. Bardziej kojarzyło się ono z lukrowanym obrazem przekazywanym podczas Festiwalu Piosenki Żołnierskiej w Kołobrzegu (nawiasem mówiąc, genialnego pomysłu propagandowego komunistycznych władz) niż z czołgami pacyfikującymi robotnicze protesty.

Po drugie, służba w wojsku miała charakter powszechny w ramach obowiązkowego poboru. Do PZPR zapisywano się zwykle dla osobistych korzyści², ale można było z członkostwa zrezygnować. Do Służby Bezpieczeństwa oraz Zmotoryzowanych Odwodów Milicji Obywatelskiej zaciągali się niejednokrotnie ludzie o psychopatycznych osobowościach, żądni przywilejów i władzy także za cenę dokonywania zwykłych morderstw. O nich łatwo było powiedzieć „oni” – skorumpowana władza dbająca o swoje partykularne interesy,

² Andrzej Walicki w swej znakomitej książce *Marksizm i skok do królestwa wolności. Dzieje komunistycznej utopii* (Warszawa 1996) stwierdził, że ostatni ideowi komuniści opuścili Polskę w 1968 r.

w odróżnieniu od „nas”, ludzi uczciwych i wykorzystywanych przez rządzących. Podziału na „my” i „oni” nie dało się natomiast zastosować do wojska, gdyż powszechny obowiązek poborowy sprawiał, że prawie każdy mężczyzna w określonym wieku był częścią tej instytucji. A nie można być jednocześnie częścią dwóch symbolicznych wspólnot („my” i „oni”) o przeciwstawnym systemie wartości, gdyż zagraża to spójności osobowej danej jednostki. Dlatego pojawił się efekt wyparcia ze świadomości społecznej „złego wojska” stojącego po niewłaściwej stronie. Należy także dodać, że wielu oficerów LWP, z którymi spotykali się żołnierze poborowi, spełniało dość wysokie standardy profesjonalizmu i nie przykładano specjalnej wagi do indoktrynacji ideologicznej. Jeśli ktoś chciał realizować swoją życiową pasję pilota myśliwca lub kapitana okrętu podwodnego, to mógł to robić tylko w ramach komunistycznej armii. Ta część kadry LWP z pewnością odróżniała się od tzw. politruków, oficerów politycznych personifikujących znane powiedzenie, że nie matura, lecz chęć szczerą zrobi z ciebie oficera. Ale wojsko było jedno i każdy mundurowy musiał uczestniczyć w ideologicznym szkoleniu oraz składać przysięgę na wierność autorytarnemu państwu i jego władzom.



Marek Kurzyniec przemawia podczas wiecu 15 maja 1989 r. pod pomnikiem Adama Mickiewicza na krakowskim Rynku Głównym; w tym dniu rozpoczęła się trzydniowa akcja WiP-u pod hasłem „Sowieci do domu”. Fot. AIPN

Oczywiście, perspektywa służby w wojsku wywoływała także odruchy buntu i uruchamiała indywidualne strategie jej uniknięcia, z korumpowaniem lekarzy i oficerów Wojskowej Komisji Uzupelnień włącznie. Tych, którzy zdecydowali się odmówić przysięgi lub służby wojskowej bez względu na nienuknione represje, było niewielu. A doświadczenie służby w armii często było wspomniane jako czas męskiej przygody, hartowania ducha i ciała itp. oraz przekazywane w międzypokoleniowej pamięci jako coś pozytywnego. Należy też brać pod uwagę strukturalną przesłankę względnie dobrej opinii o LWP. Zdecydowana większość poborowych to słabo wykształceni młodzi ludzie pochodzący z rodzin robotniczych lub chłopskich, a zatem o bardzo niskim kapitale kulturowym, dla których kwestie jednostkowej autonomii czy zbiorowej suwerenności były dalekie od ich codziennego doświadczenia.

Po trzecie, krytyki LWP unikali liderzy opozycji w ramach tzw. realizmu geopolitycznego. Część z nich zapewne naiwnie wierzyła w możliwość reformy systemu komunistycznego bez naruszenia jego podstawowych zasad, ale kluczowy argument był taki, że nie należy forsować zbyt daleko idących żądań, aby np. nie podzielić losu uczestników Powstania Węgierskiego z 1956 r. czy Praskiej Wiosny z 1968 r. Krytyka LWP i nawoływanie do jego bojkotu wydawały się zbyt ryzykowną grą, wprost uderzającą w militarny sojusz z ZSRS. Wojsko i jego udział w utrzymywaniu autorytarneho państwa były dla znacznej części opozycji tematem tabu.

Ruch Wolność i Pokój a LWP

Deklaracja założycielska Ruchu Wolność i Pokój została publicznie odczytana w kościele św. Stanisława Biskupa i Męczennika w Krakowie 14 kwietnia 1985 r. Odnosiła się do dwóch kluczowych kwestii – wolności i pokoju – z wyraźnym stwierdzeniem, że niemożliwy jest pokój w warunkach niewoli, bez poszanowania praw człowieka. Ogłoszenie deklaracji WiP poprzedzały protesty głodowe, m.in. głodówka w Podkowie Leśnej w obronie Marka Adamkiewicza, uwięzionego za odmowę złożenia przysięgi wojskowej. Adamkiewicz, działacz przedsierpniowej opozycji związany z Komitetem Samoobrony Społecznej „KOR” i Studenckim Komitetem Solidarności we Wrocławiu oraz Niezależnym Zrzeszeniem Studentów w Szczecinie, odmówił w 1984 r. złożenia przysięgi wierności „władzy ludowej” i obrony systemu socjalistycznego w sojuszu z Armią Sowiecką. Spośród aktywnych działaczy opozycji antykomunistycznej oraz późniejszego WiP Roland Kruk odmówił złożenia przysię-

» W okresie aktywności WiP do końca PRL, czyli w latach 1985–1989, co najmniej kilkadziesiąt osób odmówiło złożenia przysięgi lub służby wojskowej, a około pięćdziesięciu odesłało książeczki wojskowe na znak protestu przeciwko przymusowemu poborowi i składaniu przysięgi wojskowej na wierność »władzy ludowej« i sojuszowi z ZSRS. »

przysięgi lub służby wojskowej, a około pięćdziesięciu odesłało książeczki wojskowe na znak protestu przeciwko przymusowemu poborowi i składaniu przysięgi wojskowej na wierność »władzy ludowej» i sojuszowi z ZSRS.

W wyniku działań podjętych przez środowisko Ruchu Wolność i Pokój, często okupionych wyrokami więzienia, licznymi zatrzymaniami i grzywnami, komunistyczne władze w 1988 r. zmieniły rotę przysięgi wojskowej. Usunięto fragment mówiący o dochowaniu wierności rządowi PRL, zagrożeniu wolności, niepodległości i granic PRL przez imperializm oraz o sojuszu z Armią Sowiecką. Wprowadzono także zastępczą służbę wojskową na wniosek poborowego, która w przypadku zasadniczej służby wojskowej miała trwać trzy lata, a szkoły podchorążych rezerwy (po studiach) – dwa lata, tj. w każdym wypadku o rok dłużej niż zwykła służba wojskowa.

W pracach dyplomowych oficerów SB i kontrwywiadu wojskowego poświęconych Ruchowi WiP najczęściej używanym określeniem jest „pseudopacyfistyczny Ruch Wolność i Pokój”. Skłonny jestem przyznać, że ten epitet, abstrahując od ideologicznego bełkotu autorów tych prac, zawiera sporo prawdy, gdyż pacyfizm, choć obecny w WiP, nigdy nie był jego dominującym nurtem. Ruch Wolność i Pokój był przede wszystkim organizacją antykomunistyczną, wskazującą na rolę LWP w utrzymywaniu autorytarnego państwa i czynny udział armii w łamaniu praw człowieka. Komunistyczna władza zdawała sobie sprawę z zagrożenia, jakie działalność WiP niesie dla stabilności systemu. Tadeusz Siemiątkowski, major kontrwywiadu wojskowego PRL, w swojej pracy magisterskiej pisał: „Przeciwdziałanie antywojskowej i antyobronnej propagandzie WiP zmierzające do uodpornienia społeczeństwa, a zwłaszcza młodzieży, realizowane jest w skali państwa i obejmuje skoordynowane ze sobą działania ministerstw: Obrony Narodowej, Spraw Wewnętrznych, Edukacji Narodowej, Kultury i Sztuki, Ogólnopolskiego Komitetu Pokoju, PRON,

organizacji młodzieżowych oraz innych organizacji społecznych i politycznych, których działalność służy bezpośrednio i pośrednio zapewnieniu bezpieczeństwa państwa”⁵.

O skuteczności działań WiP może świadczyć kolejny fragment cytowanej pracy: „Należy podkreślić, że w 1988 r. uległa zasadniczej zmianie formuła informacyjno-propagandowa popularyzacji wojska i obronności w społeczeństwie. Zrezygnowano w szczególności z tezy o bezprzykładnej wzorowości armii, będącej często przedmiotem drwin i ataków ze strony wrogiej propagandy – na rzecz realistycznego przedstawiania problemów »wnętrza« wojska. Jednocześnie położono duży nacisk na operatywność i efektywność reagowania wojskowych środków masowego przekazu na rozwój sytuacji polityczno-militarnej oraz przemiany w życiu kraju. Ma to na celu skuteczniejsze przewyciężenie skutków, jakie w świadomości społeczeństwa wywołują dywersyjne oddziaływania wypaczające obraz wojska w społeczeństwie”⁶.

Upadek PRL zakończył epokę „sakralizacji” tzw. Ludowego Wojska Polskiego, którego „kapłani” nigdy, niestety, nie zostali objęci anatemą.

⁵ T. Siemiątkowski, *Metody oddziaływania Ruchu Wolność i Pokój na młodzież przedpoborową i środowisko żołnierskie oraz zadania kontrwywiadu wojskowego i innych służb Wojska Polskiego w dziedzinie neutralizacji występujących zagrożeń*, praca magisterska, Akademia Spraw Wewnętrznych, Warszawa 1989, s. 77–78.

⁶ *Ibidem*, s. 82.



Dariusz Zalewski (ur. 1965) – socjolog, dr, adiunkt w Instytucie Socjologii Uniwersytetu Warszawskiego oraz Instytucie Pracy i Spraw Socjalnych w Warszawie. W 1987 r. współzałożyciel Ruchu Wolność i Pokój w Bełchatowie. Autor książki: *Opieka i pomoc społeczna. Dynamika instytucji* (2005) i in.



Na okładce: poborowy Marek Adamkiewicz w Szkole Podchorążych Rezerwy w Bemowie Piskim, wrzesień 1984 r.



Jan Ciechanowski, *Przegraną zwycięzcy. Wspomnienia ambasadora Polski w Stanach Zjednoczonych w czasie II wojny światowej*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2017, 680 s.



Arthur Bliss Lane, *Widziałem Polskę zdradzoną*, Wydawnictwo Fronda, Warszawa 2019, 432 s.

Marek Klecel

Ambasadorzy o Polsce zdradzonej

Dwaj ambasadorzy – polski w Stanach Zjednoczonych w czasie wojny i amerykański w Polsce powojennej – opisał w swych wspomnieniach sytuację naszej Ojczyzny na arenie międzynarodowej po napaści Niemiec na ZSRS 22 czerwca 1941 roku.

Po tym przełomowym wydarzeniu II wojny światowej zmienił się układ sił i wyłoniła nowa grupa sprzymierzonych. Józef Stalin, z najlepszego sojusznika Adolfa Hitlera w 1939 r.¹, nagle stał się w głównym wrogiem Niemiec i sojusznikiem naszych sojuszników. Umiał – i to podwójnie – wykorzy-

stać trudną dla siebie sytuację: wspierany przez aliantów, obronił ZSRS przed niemieckim najazdem, a po wspólnym pokonaniu wroga doprowadził do ustępstw Zachodu i zapewnił sobie takie wpływy w Europie Środkowo-Wschodniej, że z czasem narzucił jej sowiecki system komunistyczny. Polska, jako przedmiot negocjacji między USA, Wielką Brytanią i sowiecką Rosją, znalazła odbicie we wspomnieniach dwóch dyplomatów.

¹ Tak po wojnie określił go Aleksander Bregman w książce *Najlepszy sojusznik Hitlera. Studium o współpracy niemiecko-sowieckiej 1939–1941*, Warszawa 2009.

W książce *Przegraną zwycięzcy. Wspomnienia ambasadora Polski w Stanach*

Zjednoczonych w czasie II wojny światowej Jan Ciechanowski opowiedział, jak Rzeczpospolita, od 1939 r. okupowana przez Niemców, była zdradzana przez sojuszników. Z kolei Arthur Bliss Lane, który obserwował wprowadzanie sowieckiego systemu komunistycznego na zachód od Bugu, w tomie wspomnień *Widziałem Polskę zdradzoną* dopowiedział, jak została ona opuszczona przez niedawnych aliantów w pierwszych latach po zakończeniu wojny. Obie pozycje ukazały się w USA w latach czterdziestych niemal równocześnie. Książka Amerykanina to niejako epilog długiej opowieści wojennej Ciechanowskiego o upadku sprawy polskiej wśród „najlepszych aliantów”. Tytułowe stwierdzenie: „widziałem Polskę zdradzoną” nie jest bynajmniej retoryczną przesadą; i jest tym bardziej wiarygodne, że nie wyszło spod pióra Polaka.

Po pierwszych klęskach sowieckich Stalin nie stracił głowy, jak się nieraz sądzi, ani refleksu gracza politycznego. Szybko zauważył, że wojna w Rosji jest korzystna dla Wielkiej Brytanii i reszty Zachodu – zaatakowanego wcześniej i stopniowo podbijanego. Własne klęski w 1941 r. uznał za okazję do wciągnięcia całego Zachodu do wojennej gry. Od razu zyskał uznanie i wdzięczność premiera Winstona Churchilla za to, że odsunął perspektywę niemieckiej agresji na Wyspy Brytyjskie.

W obliczu hitlerowskiego zagrożenia dla całego Zachodu stał się, zwłaszcza po przystąpieniu USA do wojny, kluczowym sprzymierzeńcem w walce z Niemcami. I odtąd przedstawiał siebie jako przywódcę najbardziej ofiarnego kraju, który wziął na siebie niemal cały ciężar wojny. Taka też była do końca wojny główna linia niesłuchanie skutecznej propagandy sowieckiej.

Ciechanowski, przedstawił krok po kroku (począwszy od 1941 r.) przebieg i skutki tej gry Stalina z prezydentem USA Franklinem Delano Rooseveltem i Churchillem oraz dyplomatyczne rozgrywki między nimi. Podkreślał, że na początku szczególnie uległy wobec przywódcy ZSRS okazał się Churchill, który gotów był mu zapomnieć sojusz z Hitlerem w 1939 r. i wiele poświęcić, by znów nie zawarł on paktu z kanclerzem Rzeszy i nie przerwał wojny. Układ Hitler-Stalin z 1939 r. nie był wypominany sowieckiemu dyktatorowi – jako nieustanna groźba „wisiał” on nad wszystkimi alianckimi porozumieniami. Stalin wykorzystał to, że może straszyc Zachód wycofaniem się z wojny, pokojem z Hitlerem i wymuszała kolejne ustępstwa. Nie tylko uzyskał ogromną pomoc materialną w postaci uzbrojenia i żywności, ale też wyczuwając słabość Zachodu, zaczął stawiać żądania polityczne już na konto przyszłych zdobyczy. Politycy Zachodu liczyli się ze

stratami ludzkimi, Stalin nie miał żadnych skrupułów w rzuceniu na front wielkich mas ludzkich.

Wojenny szantaż Stalina

Roosevelt, z którym Ciechanowski odbywał regularne rozmowy jako przedstawiciel Rządu RP na Uchodźstwie, był na początku bardziej odporny na zakusy Stalina. Stany Zjednoczone, gdy jeszcze nie brały udziału w wojnie, zadeklarowały program pomocy „Lend-Lease”, czyli dostawy sprzętu wojskowego, broni i żywności dla państw walczących z Niemcami i ich sojusznikami. Prezydent amerykański okazał się odporny zwłaszcza w 1942 r., gdy Stalin, w zamian za dalszy udział w wojnie – w której nadal ponosił duże klęski i straty – zażądał gwarancji terytorialnych w postaci przejęcia państw nadbałtyckich, Besarabii, Bukowiny, a nawet części Finlandii. Ciechanowski natychmiast informował Roosevelta o prawdziwych intencjach Stalina. Prezydent dyplomatycznie przyznawał mu rację, ale wtedy już stopniowo – pod wpływem Churchilla i potężnej, jak się okazało, agentury sowieckiej w USA i wokół samego prezydenta – zaczął się skłaniać do polityki ustępstw wobec wykrywającej się Rosji. Stalin wykorzystywał także amerykański kompleks nienadążania w obronie przed Hitlerem – fakt, że alianci zachodni

nie stworzyli jeszcze drugiego frontu w Europie, który odciążałby Armię Czerwoną. Ciechanowski był obecny przy wielu rozmowach gen. Władysława Sikorskiego z Rooseveltem i doskonale wyczuwał, że chociaż prezydent przyznawał rację premierowi RP, to powoli wycofywał się z deklarowanej wcześniej obrony polskich racji. Podczas ostatniej wizyty Sikorskiego przed katastrofą w Gibraltarze było już dokładnie widać, że Roosevelt z Churchillem poświęca sprawę Polski na rzecz iluzorycznych i zwodniczych obietnic Stalina. Przy tej okazji Ciechanowski podaje mało znaną informację o kilku wcześniejszych awariach samolotu, którym latał Sikorski. Alianci mieli potężny argument w grze ze Stalinem – pomoc wojskową, bez której byłby on skazany na klęskę. Obawiali się go jednak używać, by nie zadrażniać stosunków z sowieckim dyktatorem, który mógłby wycofać się z wojny. Stalin z kolei sprytnie podsyczał i wykorzystywał te lęki.

Na skutki tej uległości Amerykanów nie trzeba było długo czekać. Jeszcze przed konferencją w Teheranie w końcu 1943 r. Ciechanowski dowiedział się, że obiecana pomoc wojskowa w postaci broni dla Polskiego Państwa Podziemnego została na życzenie Stalina wstrzymana. Ambasador słyszał co prawda od Amerykanów orientujących się w sytuacji coraz częstsze wyrazy uznania i podziwu dla działań

ności podziemnej w okupowanej Polsce, ale brzmiały one jak wyrazy pociechy dla stopniowo zdradzanego kraju. Dało się to słyszeć także w wielu późniejszych wypowiedziach Roosevelta. Tymczasem coraz jawniejsze stawały się sowieckie zakusy zajęcia wschodnich terenów Rzeczypospolitej i żądania ustanowienia strefy sowieckich wpływów w całej Europie Środkowo-Wschodniej; w Teheranie zostały one potwierdzone. Ciechanowski nadal zabiegał w kołach dyplomatycznych Waszyngtonu, by w dalszych rozmowach ze Stalinem stać na stanowisku, że jedynym legalnym rządem Polski jest emigracyjny rząd RP w Londynie. Kiedy jednak rezultaty konferencji w Teheranie zostały utajnione, a życzliwy Polsce ambasador USA Anthony Biddle zdecydował się ustąpić ze stanowiska, Ciechanowski zrozumiał, że sprawy polskie nie tyle idą w złym kierunku, lecz wręcz zostały już przesądzone.

Ustępstwa Zachodu

Na początku 1944 r. Roosevelt zaczął unikać spotkań z Ciechanowskim, tłumacząc się złym stanem zdrowia, co poniekąd było prawdą. Miał przed sobą niewiele ponad rok życia. Churchill w tym czasie zaczął wprost wywierać naciski na rząd RP w Londynie na rzecz ustępstw terytorialnych wobec Rosji i przedstawiać je jako warunek odpowiedzialnego prowadzenia

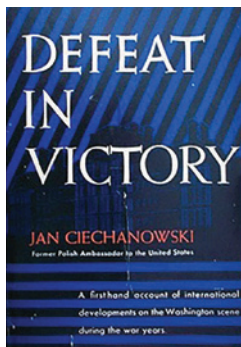
wojny z Niemcami. Ciechanowski był przy tym stałym emisariuszem sprawy polskiej, nieustannie kursował między Waszyngtonem a Londynem.

W marcu 1944 r., gdy Armia Czerwona wkraczała już w granice II RP, przekazał Rooseveltowi niemal błagalny list premiera Stanisława Mikołajczyka, proszącego o możliwość przedstawienia coraz dramatyczniejszej sytuacji Polski. Prezydent USA wymówił się wówczas i do wizyty Mikołajczyka w Waszyngtonie doszło dopiero w czerwcu 1944 r. Roosevelt powitał go z entuzjazmem, jako przedstawiciela bohatersko walczącej Polski, nie zmieniło to jednak w niczym jego nastawienia do Stalina. Ciechanowski opisał dokładnie te bardzo ważne spotkania. Prezydent wysunął propozycję, by nie on, lecz Mikołajczyk spotkał się ze Stalinem i żeby sami załatwili między sobą sąsiedzkie sprawy. Premier RP nie miał złudzeń co do takiego spotkania. Stalin wysunął już swoje żądania, a teraz jeszcze doprowadził do tego, że to sami alianci naciskali na Polskę, by zgodziła się na ustępstwa nie tylko terytorialne, lecz i polityczne. Przywódca ZSRS obiecywał, że nie sprzeciwi się suwerenności Polski, jednocześnie oczekiwał, że jej przyszły rząd będzie przyjazny wobec sowieckiej Rosji – a to oznaczało udział w nim ludzi wskazanych przez Stalina. W rozmowach z Mikołajczykiem Roosevelt

już wyraźnie namawiał go do ustępstw, uciekając się w końcu do prostego argumentu: przecież Rosjan jest pięć razy więcej niż Polaków.

Ciekawym wątkiem wizyty Mikołajczyka było spotkanie z Oskarem Langem, ekonomistą z Chicago, który wrócił właśnie z Moskwy, gdzie przebywał na zaproszenie Stalina. Premier RP nie zamierzał spotykać się z naukowcem, ale uległ w końcu namowom doradców Roosevelta (Ciechanowski już tu sugerował, że wokół prezydenta działają silne wpływy sowieckie). Lange okazał się po prostu wysłannikiem Stalina, który przekazał Mikołajczykowi znane mu już żądania terytorialne z obietnicą dla Polski poniemieckich ziem zachodnich, a dodatkowo życzenia wobec przyszłych władz zarządzających Polską. Dziś wiadomo, że Lange, później ważna osobistość w socjalistycznej gospodarce PRL, podobnie jak wielu działaczy Komunistycznej Partii USA, był agentem sowieckim.

Sytuacja w Polsce stawała się tragiczną. Armia Czerwona do połowy 1944 r. zajęła znaczny obszar kraju. W założeniach akcji „Burza” oddziały AK miały współdziałać z Sowietami. Ciechanowski podał, że alianci zachodni wiedzieli już o rozbrajaniu AK-owców, aresztowaniach, deportacjach i rozstrzeliwaniu dowódców.



Nie zmieniło to jednak ich nastawienia do Stalina. Punktem krytycznym było Powstanie Warszawskie. W myśl sojuszniczych umów Stalin powinien był wesprzeć każdego alianta,

w tym Polaków, w walce z Niemcami. Jego bezczynność podczas Powstania stanowiła nie tylko odmowę wypełnienia zobowiązań, lecz zarazem deklarację, że będzie współdziałał z Niemcami w zniszczeniu miasta – bo to on dyktuje warunki. Nie atakując Niemców i pozwalając im na wyniszczenie polskiej stolicy, Stalin powrócił niejako do paktu Ribbentrop-Mołotow z 1939 r. Dał przez to także do zrozumienia aliantom, że może zawrzeć separatystyczny rozejm z Rzeszą, czym zresztą grał od dawna.

Mikołajczyk, który w końcu zdecydował się na wyjazd do Moskwy, znalazł się w sytuacji bez wyjścia. Z inicjatywy Stalina został już powołany marionetkowy rząd – Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego. Jednocześnie premier RP był nadal naciskany przez Churchilla w sprawie ustępstw terytorialnych na rzecz Związku Sowieckiego. Kolejne spotkanie w duchu takich wymuszeń nastąpiło już po upadku Powstania Warszawskiego w październiku 1944 r. z udziałem Stalina, Churchilla, Mikołajczyka i przedstawicieli PKWN.

Ciechanowski relacjonował te niezwykle ważne, decydujące o dalszych losach Polski spotkania, w których po raz pierwszy wyszło na jaw, co zdecydowano w Teheranie. Nie od sojuszników, lecz od ludowego komisarza spraw zagranicznych ZSRS Wiaczesława Mołotowa Polacy usłyszeli, że prezydent Roosevelt i premier Churchill poparli wyznaczenie granicy polskiej według linii Curzona, co dla Rzeczypospolitej oznaczało utratę Kresów. Podczas jednego ze spotkań między Churchillem a delegacją polską doszło do ostrego starcia z Mikołajczykiem. Brytyjski premier podniósł głos, a później wręcz krzyczał: „Rosjanie przetoczą się przez wasz kraj, a wasz naród zostanie zlikwidowany. Jesteście na krawędzi unicestwienia! [...] A zresztą rząd polski nie musi nawet niczego oddawać, bo przecież Rosjanie sami już weszli do Polski – dodał po krótkiej przerwie na złapanie oddechu”². Mikołajczyk zapytał tylko – skoro Wielka Trójka za Polskę zadecydowała – dlaczego Polska miałaby jeszcze podpisywać na siebie wyrok śmierci.

Wyrok na Polskę

Kilka miesięcy później, w lutym 1945 r., na konferencji w Jałcie przypieczętowano pod

² J. Ciechanowski, *Przeegrani zwycięzcy. Wspomnienia ambasadora Polski w Stanach Zjednoczonych w czasie II wojny światowej*, Kraków 2017, s. 566.

dyktatem Stalina wyrok na Polskę, utratę przez nią prawie połowy terytorium i systematyczne, na początku tylko ledwie maskowane, wprowadzanie sowieckiego systemu komunistycznego. Granice, ustrój polityczny, a – jak się później okazało – i gospodarczy zostały Polsce narzucone przez obce mocarstwa bez jej udziału i zgody. Ostatecznym i chyba demonstracyjnym dowodem na to był terrorystyczny akt uwięzienia i wywiezienia do Moskwy, a więc porwania szesnastu przywódców Polskiego Państwa Podziemnego, co powinno było wstrząsnąć zachodnimi aliantami, a co znów nie wywołało zdecydowanej reakcji. Stalin otrzymał zatem sygnał, że może przeprowadzić wszystko, co zamierzył. Po nagłej śmierci Roosevelta w kwietniu 1945 r. Ciechanowski miał jeszcze nadzieję na zwrot w polityce amerykańskiej, ten jednak nie nastąpił; nowy prezydent Harry Truman kontynuował na razie linię Roosevelta i jego administracji. Wkrótce odbyła się konferencja w San Francisco z udziałem Mołotowa, ale bez udziału przedstawiciela Polski, którego Rosjanie sobie nie życzyli (aliantów zachodni nie oponowali). Na początku lipca 1945 r. władze USA uznały Tymczasowy Rząd Jedności Narodowej podyktowany przez Stalina, a wycofały poparcie dla Rządu RP na Uchodźstwie. Tym samym misja dyplomatyczna Ciechanowskiego została zakończona. Wystosował jeszcze do władz

amerykańskich notę protestacyjną, a po ustąpieniu wydał specjalne oświadczenie, w którym pisał m.in.:

„W konsekwencji wycofania uznania dla Konstytucyjnego Rządu Polskiego przez Rząd Stanów Zjednoczonych jestem zmuszony opuścić moją placówkę i czynię to z głębokim osobistym żalem. Jednakże zanim wyjadę, czuję się w obowiązku podkreślić tragiczną sytuację, w jakiej znajduje się obecnie Naród Polski na skutek światowego konfliktu, który przyniósł zwycięstwo sojusznikom Polski, podczas kiedy na samą Polskę – państwo, które jako pierwsze podjęło walkę i na wszelkie możliwe sposoby przyczyniało się do wspólnego zwycięstwa – sprowadził porażkę i utratę niepodległości.

Los Polski można sobie uprzytomnić bardziej namacalnie, jeśli dostrzeże się, że nawet nazistowskie Niemcy utracą w wyniku przegranej wojny mniejszą część swego terytorium aniżeli zmuszona do tego sojusznicza Polska, walcząca po stronie zwycięzców. Co więcej, Polskę pozostawiono w stanie trwałej i niekontrolowanej przez nikogo okupacji, prowadzonej przez ościenne mocarstwo, które narzuca jej rząd oraz obcy jej system polityczny, społeczny i gospodarczy. [...]

Polska, reprezentowana przez swój legalny Rząd, nie została nigdy dopuszczona do udziału w rozmowach dotyczących

stosunków polsko-sowieckich. Prawdliwość tę doskonale ilustrują konferencje w Teheranie i w Jałcie. Wszystkie postanowienia dotyczące Polski muszą być zatem postrzegane przez sam Naród Polski jako decyzje podejmowane *in absentia*. Żaden naród i żaden Rząd będący rzeczywistym reprezentantem swojego narodu nie może nigdy zgodzić się na to, by decyzje w sprawie jego terytorium albo systemu rządów były podejmowane bez jego udziału.

Polacy są głęboko przywiązani do swoich tradycji wolności jednostki i narodu. I nigdy nie przestaną oni walczyć o te ideały. Nigdy też nie poświęcą ich za cenę jakiegos porozumienia. Nigdy wreszcie nie zaakceptują żadnego systemu rządów sprzecznego z ich zasadami i narzuconego im przez jakiegokolwiek obce mocarstwo czy grupę mocarstw³.

Powstawała w ten sposób nowa sytuacja, nierokująca światowego pokoju, konfliktowa i pełna napięcie, które wkrótce miały dać znać o sobie. Była zdecydowanie inna, bardziej niebezpieczna, niż po I wojnie światowej, gdy w Wersalu ustalono wspólnie nowy, sprawiedliwszy ład dla całej Europy. Teraz to trzy mocarstwa pod dyktando jednego zdecydowały o podziale świata na strefy wpływów, a raczej własności oraz podległości politycznej

³ *Ibidem*, s. 650–662.

i ideologicznej. Nie mogło to zapewnić pokojowego i sprawiedliwego ładu na przyszłość, jak dumnie zaraz po wojnie głoszono. Pogwałcono bowiem prawa wielu mniejszych narodów, podzielono Europę, poddając jej wschodnią i środkową część sowieckiemu totalitaryzmowi.

Misja niemożliwa ambasadora Arthura Bliss Lane'a

Jeszcze po ustąpieniu oddanego sprawie polskiej ambasadora Anthony'ego Biddle'a po konferencji w Teheranie, Ciecchanowski zabiegał o mianowanie nowego ambasadora USA przy rządzie RP w Londynie. Roosevelt długo zwlekał, dopiero w końcu września 1944 r., gdy kończyło się Powstanie Warszawskie, mianował na to stanowisko Lane'a, który karierę dyplomatyczną zaczynał po 1918 r. właśnie w Polsce i któremu sprawy polskie nie były obce. Znali się też z Ciecchanowskim z tego początkowego okresu odrodzonej polskiej niepodległości. Pod koniec II wojny światowej Lane podejmował się misji o wiele trudniejszej, niż ta pierwsza, a jak się wkrótce okazało – beznadziejnej. Do tego jego własne władze nie wprowadziły go w pełni w kulisy polskiej sytuacji, w stan rozmów ze Stalinem, w ogólną ten-



dencję polityki zachodnich aliantów wobec dominacji Związku Sowieckiego. To Ciecchanowski wyjaśniał mu utajnione wyniki konferencji w Teheranie, jak i dalszą politykę ustępstw wobec żądań Stalina. Lane

pozostał długo ambasadorem nominalnym, w istocie nieczynnym. Nie było zgody nawet na jego akredytację przy rządzie polskim w Londynie, gdyż obawiano się zapewne, że to może urazić Stalina. Postawiono go w sytuacji faktów dokonanych: kapitulacji w Jałcie, konferencji w San Francisco, a zwłaszcza uznania przez USA Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej. Na początku lipca 1945 r. został ambasadorem nie przy legalnym Rządzie RP na Uchodźstwie, lecz przy uzurpatorskim rządzie w Warszawie. Podejmował się dyplomatycznej misji niemożliwej, co musiał przewidywać, ale został ważnym, i jednym z nielicznych, zachodnich świadków, którzy zobaczyli na własne oczy, jak wygląda ekspansja sowieckiej dominacji. To świadectwo ogłosił światu kilka lat później w swej książce o powojennej Polsce.

W końcu lipca 1945 r. wyładował w zniszczonej Warszawie. Po ambasadzie amerykańskiej zostały tylko ruiny, przydzielono mu pomieszczenia na biuro i mieszkanie w jednym z nielicznych oca-

łałych budynków – hotelu Polonia. Listy uwierzytelniające złożył prezydentowi Krajowej Rady Narodowej Bolesławowi Bierutowi, spotkał się też z innymi najważniejszymi, jak szybko się zorientował, osobistościami w tym nowym państwie: Jakubem Bermanem, Edwardem Osóbką-Morawskim, Hilarym Mincem, Zygmuntem Modzelewskim i Michałem Rolą-Żymierskim.

Amerykanie proponowali zniszczonej Polsce wszechstronną pomoc. Tymczasem nie zgodzono się na amerykańskiego szefa pomocowej organizacji UNRRA, lecz wprowadzono rosyjskiego, Michaiła Mieńszykowa. Lane miał koordynować dostarczenie z Francji tysiąca ciężarówek z wojskowego demobilu, czym polscy komuniści nie byli zbyt zainteresowani. Ambasador odradzał swym władzom udzielanie Polsce kredytów bez sprawdzenia warunków bezpieczeństwa i stanu przestrzegania prawa. Rząd amerykański zlekceważył ostrzeżenia swego dyplomaty i przyznał Polsce duży kredyt, co Lane, znający już sytuację w sowietowanym kraju, uznał za własną porażkę.

Widział też na każdym kroku, że polskie władze nie mogą samodzielnie podejmować decyzji, muszą uzgadniać je z czynnikami sowieckimi. Utrudniano Amerykanom kontakt z władzami w Waszyngtonie, korespondencję, założenie ra-

diostacji. Depesze na Zachód szły przez Moskwę, były zatem kontrolowane i cenzurowane. Zdarzały się wypadki aresztowania obywateli pochodzenia amerykańskiego. Lane z trudem dostał się przed oblicze ministra bezpieczeństwa publicznego Stanisława Radkiewicza, by w ich sprawie interweniować. Wszechwładny Radkiewicz, którego oglądał pierwszy i ostatni raz, zbył amerykańskiego ambasadora dyplomatycznymi obietnicami, z których nic nie wynikało. Lane szybko się zorientował, że nie był to przypadek, lecz jeden z wątków represji stosowanych przez nowych władców Polski, którzy nie wahali się przed prowokacyjnymi działaniami także wobec obywateli amerykańskich. Był w tym też ślad sowieckiego NKWD, które we wszystkich cudzoziemcach widziało szpiegów.

W tym samym czasie rozpoczęły się represje wobec Polskiego Stronnictwa Ludowego i Mikołajczyka, którego chciano wyeliminować z życia politycznego. W całym kraju ścigano i zastraszano działaczy PSL. W 1945 r. zaginął i nie został odnaleziony Władysław Kojder, w Łodzi zamordowano Bolesława Ściborka i oskarżono o to jego własną partię. Właśnie z tym wiązało się aresztowanie w połowie 1946 r. polskiej pracownicy ambasady USA Ireny Dmochowskiej, która nagle zniknęła i dopiero po interwencjach odnalazła się w więzieniu UB. Ambasador postarał się

o widzenie z nią, oczywiście w obecności władz UB. „W końcu – opisywał tę scenę – znaleźliśmy się w pokoju kapitana [Adama] Humera, urzędnika o wyglądzie złoicy, który uprzedził mnie, abym nie zwracał się do pani Dmochowskiej po angielsku i nie zadawał pytań mających związek z jej sprawą”⁴. A sprawa była taka, że chciano ją zrobić w zabójstwo Ściborka i rzekome kontakty z PSL. Po ciężkim śledztwie przyznała się do niepopelnionych czynów i na publicznej rozprawie została skazana na pięć lat więzienia. Ambasador był bezradny wobec komunistycznego aparatu represji.

Wyzwolenie przez zniewolenie

Rząd tymczasowy był zobowiązany do jak najszybszego przeprowadzenia wolnych wyborów z udziałem wszystkich sił politycznych. Nie spieszo się jednak, bo starano się, przy sowieckim wsparciu, wyeliminować głównego przeciwnika, czyli popularne wtedy PSL. Na pytania ambasadora w sprawie wyborów odpowiadano wykrętnie, nie ukrywając nawet niechęci do Amerykanów. Nadal trwały



komunistyczne represje wobec przeciwników politycznych i zastraszanie całego społeczeństwa. Aby przygotować grunt pod wybory, stworzono całą machinę propagandową, a w połowie 1946 r. zorga-

nizowano referendum w sprawie reformy rolnej, granicy na Odrze i Nysie oraz dwuizbowego parlamentu, co dobrze pozorowało demokrację, a służyło sprawdzeniu i odpowiedniemu przygotowaniu maszyny wyborczej. Nachalna propaganda „3 x tak” podpowiadała, jak głosować. Ambasador Lane odnotował, że amerykańscy obserwatorzy referendum, a także korespondenci prasowi byli szykanowani, a nawet zatrzymywani przez milicję. W sprawozdaniach dla swych przełożonych informował o minimalnym poparciu społecznym dla komunistycznych władz i na dowód powoływał się na stwierdzenie Mikołajczyka (jak dziś wiemy, zgodne z prawdą), że wyniki głosowania zostały sfałszowane.

Kilka dni po referendum w Kielcach doszło do pogromu Żydów. Po rozmowach z przedstawicielami rządu, którzy twierdzili, że dokonały tego „bandy narodowego podziemia”, ambasador powziął podejrzenia, że to wydarzenie było prowokacją. Komunistyczna władza starała się odwrócić uwagę od wyników referendum

⁴ A. Bliss Lane, *Widziałem Polskę zdradzoną*, Warszawa 2019, s. 275.

i jednocześnie oskarżyć przeciwników politycznych o sianie zamętu i chęć obalenia ustroju. Sytuacja stawała się coraz trudniejsza również dla ambasadora USA, który musiał się ustosunkować do tworzonego niesuwerennie państwa komunistycznego w Polsce. Informował o tym swój rząd i domagał się wyraźnego stanowiska administracji USA wobec tych faktów. Znalazł się w jeszcze bardziej niewygodnym położeniu, gdy pewną niejasną wypowiedź wysokiego urzędnika amerykańskiego o granicy na Odrze i Nysie wykorzystano do rozpętania hysterii, twierdząc, że Amerykanie kwestionują tę granicę, sprzyjają Niemcom i ich planom powrotu na polskie na Ziemię Zachodnie.

Lane domagał się konsultacji oraz instrukcji od swego rządu i jesienią 1946 r. wyjechał na dłużej do USA. Referował, że Polska staje się krajem ulegającym coraz bardziej wpływowi Moskwy, doradzał zmianę polityki ustępstw, która pozostawała w spadku po Rooseveltcie, oraz nalegał na uzależnienie pomocy finansowej od spełnienia warunków amerykańskich. Nie znalazł zrozumienia dla swych postulatów, reakcje władz wskazywały na to, że Waszyngton pogodził się już z sowieckim panowaniem w tej części Europy. Po powrocie do Warszawy w grudniu 1946 r. zastał sytuację polityczną w punkcie krytycznym. Wybory wyznaczono na

19 stycznia 1947 r. Mikołajczyk zwrócił się do ambasadora z dramatycznym apelem o poinformowanie Zachodu o prześladowaniach politycznych w Polsce. Przedstawił cały raport, w którym wyszczególniono represje zwłaszcza wobec PSL i jego członków: rewizje i aresztowania, zmuszanie do współpracy z UB, usuwanie z pracy, demolowanie siedzib stronnictwa, podrzucanie broni i ulotek, rozpędzanie wieców. Wreszcie raport wymienia napady i pobicia działaczy PSL, stwierdza, że zamordowano 110 członków tej partii, podkreślając, że w niektórych wypadkach znano sprawców – funkcjonariuszy UB.

Terror założycielski

Lane znalazł się bardzo blisko tych wydarzeń. Niedługo przed wyborami aresztowano znanego mu hrabiego Ksawerego Grocholskiego, który pozostawał w przyjacielskich stosunkach z ambasadorem brytyjskim Victorem Cavendishem-Bentinciem. Grocholskiego oskarżono o kontakty z podziemiem i obcą ambasadą. Wyrok śmierci zapadł pięć dni przed wyborami.

W okresie poprzedzającym głosowanie rozszalały się terror, aresztowania i straszenie całego społeczeństwa. Jednocześnie trwała nachalna agitacja za rzekomo patriotyczną władzą reprezentowaną przez Bieruta, Osóbkę-Morawskiego, Bermana, Minca i Romana Zambrowskiego. Nikt nie

miął wątpliwości, że wyniki wyborów – potwierdzające panowanie komunistycznej władzy – zostały sfałszowane. Już następnego dnia oznajmiono triumfalnie przynajmniej zwycięstwo nad PSL. 22 stycznia ogłoszono dniem wolnym od pracy dla przymusowego świętowania tej wygranej.

Ambasador USA nie miał innego wyjścia, jak tylko zakończyć swoją dyplomatyczną misję w Polsce. Dłuższe jego pozostawanie w kraju oznaczałoby afirmację wyników wyborów. Kilka dni po ich ogłoszeniu złożył dymisję w Departamencie Stanu. Ten w końcu stycznia 1947 r. wydał oświadczenie, skierowane do władz w Warszawie, stwierdzające, że nie uznaje wyników wyborów w Polsce (o czym wszakże społeczeństwo polskie się nie dowiedziało). Ambasador odbył jeszcze kilka oficjalnych spotkań, w tym z nowym premierem Józefem Cyrankiewiczem, jasno wyjaśniając przyczyny pogorszenia się stosunków amerykańsko-polskich i zarazem powody, dla których wyjeżdża. Po powrocie do USA w lutym 1947 r. ogłosił, że kończy karierę dyplomatyczną i zamierza opisać jej ostatni etap w książce poświęconej Polsce i jej najtrudniejszym losom powojennym. W ostatnim rozdziale zatytułowanym *Do wszystkich wolnych narodów* zawarł swego rodzaju ostrzeżenie: „Wprawdzie odpowiedzialnością za los Polski należy obciążyć przede wszyst-

kim rząd hitlerowski i sowiecki, to jednak Stany Zjednoczone i Wielka Brytania z pewnością nie mogą wyprzeć się udziału w tej tragedii zdrady. [...] Nasza własna polityka ustępstw wobec Rosji sowieckiej niewątpliwie zachęciła Stalina do realizacji planów całkowitego podporządkowania sobie Polski i innych krajów w Europie Wschodniej”⁵.

Książka ambasadora Lane’a ukazała się w 1948 r. Już wtedy świat mógł się dowiedzieć, jak powstawał system agencjonalnych państw w Europie Środkowo-Wschodniej, zachowujących wszelkie pozory demokracji i suwerenności, a w istocie wprowadzających sowiecki system komunistyczny. Rok wcześniej ukazały się też wspomnienia Jana Ciechanowskiego. Z tych dwóch książek wynika jedna wspólna konkluzja: to Roosevelt i Churchill wykreowali Stalina na takiego zwycięzcę, który nie tylko wygrał wojnę i zdobył połowę Europy, ale i mógł później zagrozić reszcie świata, tworząc nuklearne mocarstwo. Bez Roosevelta i Churchilla Stalin by tego nie osiągnął.

⁵ *Ibidem*, s. 414–415.



Marek Klecel (ur. 1945) – filolog, dr, publicysta. Redaktor antologii *Polen zwischen Ost und West. Polnische Essays des 20. Jahrhunderts. Eine Anthologie* (1995). Autor rozprawy doktorskiej *Pisarstwo Stanisława Vincenza (1888–1971)* (2004, niepubl.).



Jan Grabowski, *Na posterunku. Udział polskiej policji granatowej i kryminalnej w zagładzie Żydów*, Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2020, 432 s.

Michał Chlipała

Naród morderców, czyli niektóre ofiary nie zasługują na pamięć

W czasie pandemii sprawy publikacji historycznych odchodzą na daleki plan życia społecznego. Dlatego też niemal bez echa przeszła premiera książki Jana Grabowskiego *Na posterunku. Udział polskiej policji granatowej i kryminalnej w zagładzie Żydów*. Autor, zajmujący się od lat tematyką Holokaustu na ziemiach polskich, jest badaczem tyleż znanym, co kontrowersyjnym, a jego tezy na temat świadomego i dobrowolnego udziału Polaków w Zagładzie – prezentowane w książce *Judenjagd. Polowanie na Żydów 1942–1945. Studium dziejów pewnego powiatu z 2011 r. czy też w redagowanej przez niego i Barbarę Engelking pracy zbiorowej *Dalej jest noc. Losy Żydów w wybranych powiatach okupowanej Polski z roku 2018* – budzą liczne spory.*

Policja „granatowa” w materiałach źródłowych

Tym razem autor postanowił przyjrzeć się Policji Polskiej w Generalnym Gubernatorstwie (tzw. policji granatowej, formalnie powołanej do życia przez Niemców pod nazwą *Polnische Polizei im Generalgouvernement*) oraz Polskiej Policji Kryminalnej

(*Polnische Kriminalpolizei* – tzw. polskie Kripo). Według niego, tylko spontaniczny i dobrowolny udział tych formacji w niemieckiej machinie zagłady pozwolił jej działać na tak dużą skalę i ze skutkami tak tragicznymi dla ludności żydowskiej.

Grabowski przypisuje jednocześnie ochotniczy i czynny udział w Za-

głodzie także np. ochotniczym strażom pożarnym. We wstępie pisze: „To na tym etapie rozważań trzeba się zastanowić nad sensem często powtarzanego twierdzenia, że »żaden Żyd nie mógł przeżyć bez pomocy Polaków«. Czy rzeczywiście? Wielu Żydów poradziło sobie bez polskiej pomocy, wykazując się ogromną przedsiębiorczością i samodzielnością. Nie szukali pomocy; można wręcz powiedzieć, że szukali polskiej indyferencji, liczyli po prostu na obojętność. Możemy jednak na to samo zagadnienie spojrzeć z innej perspektywy i twierdzenie powyższe przeformułować następująco: czyż nie jest prawdą, że prawie wszyscy Żydzi, którzy uciekli z gett, zrzucili opaski i schronili się po aryjskiej stronie, zginęli przy udziale Polaków?»¹.

Należałoby się spodziewać, że próba ukazania skali zbrodni całej formacji istniejącej na terenie Generalnego Gubernatorstwa to zadanie, które przerasta siły jednego badacza, wymaga wielu lat pracy na materiałach źródłowych. Oprócz spuścizny przedwojennej Policji Państwo-

wej winno się przecież zbadać dokumenty władz niemieckich nadzorujących nowo formowane *Polnische Polizei* i *Polnische Kriminalpolizei*, a także te, wytworzone przez obie te formacje; relacje ocalałych z Holocaustu, ale też doniesienia wywiadu Związku Walki Zbrojnej/Armii Krajowej; pamiętniki cywilów i – co istotne – zeznania samych policjantów, składane zarówno przed powojennymi organami bezpieczeństwa, jak i w trakcie postępowań rehabilitacyjnych czy na potrzeby organizacji kombatanckich. Bibliografia ujmuje wszystkie te źródła, a mimo to autor sięgnął przede wszystkim po relacje ocalałych, z innych materiałów skorzystał zaś dość pobieżnie. W Archiwum Oddziału IPN w Krakowie znajduje się wiele dokumentów wytworzonych przez wywiad ZWZ/AK dla Krakowa, wywiad 106. Dywizji Piechoty AK i co najmniej kilkaset teczek byłych policjantów – Grabowski wybrał z tego zasobu zaledwie cztery (!) jednostki. Niejasne jest też np. wykorzystanie materiałów krakowskiej Fundacji Centrum Dokumentacji Czynu Niepodległościowego. Autor wskazuje wprawdzie, że korzystał ze zbiorów archiwum byłej Komisji Historycznej ZBoWiD, nie podaje jednak, o które jednostki chodzi. Wreszcie – wbrew standardom naukowym – książka jest pozbawiona indeksu osobowego. Mocno utrudnia

¹ J. Grabowski, *Wstęp*, [w:] *idem, Na posterunku. Udział polskiej policji granatowej i kryminalnej w zagładzie Żydów*, Wołowiec 2020. Ponieważ korzystałem z publikacji zakupionej elektronicznie w formie pliku EPUB, wstrzymuję się od podawania stron, gdyż numeracja w wersji papierowej może odbiegać od numeracji w pliku (w tym drugim przypadku przybiera ona formę ciągłą, z okładką liczoną jako pierwsza strona książki).

to wyszukiwanie konkretnych przypadków omówionych w tekście.

Pisanie monografii formacji, która istniała w latach 1939–1945 i funkcjonowała na tak rozległym obszarze jak Generalne Gubernatorstwo, to olbrzymie zadanie. Zajmując się historią policji (zarówno przedwojennej, jak i tej czasów wojny) przede wszystkim na terenie Krakowa i najbliższych okolic, nieraz stając przed ogromem materiału źródłowego, który wymaga zarówno weryfikacji, jak i opracowania. Kreślenie podobnie dużych syntez przez jedną osobę może być zgubne – w szczególności wobec stanu zachowania źródeł, problemów z dotarciem do niektórych informacji i ryzykiem powtórzenia (z braku możliwości weryfikacji) rozmaitych nieścisłości i przekłamań. Źle zakreślone realia rzutują następnie na myśl przewodnią pracy, prowadząc do błędnych wniosków badawczych. Pracę Grabowskiego przeanalizuję zatem przede wszystkim przez pryzmat Krakowa, którym się zajmuję, biorąc oczywiście pod uwagę również te fragmenty książki, które odnoszą się do sytuacji ogólnej.

Błędy i nieścisłości

Autor nie jest specjalistą w dziedzinie historii policji. Informacje, które podaje, głównie za Robertem Litwińskim (*Korpus Policji Państwowej w II Rzeczy-*

pospolitej. Służba i życie prywatne) i Andrzejem Misiukiem (*Policja Państwowa w Polsce w latach 1918–1938*), dotyczące przedwojennej Policji Państwowej, są przytaczane w sposób nieścisły i wręcz błędny. Pisze on na przykład: „W skład PP wchodziły również autonomiczna Policja Województwa Śląskiego oraz wyspecjalizowana policja kryminalna, czyli tak zwana Służba Śledcza”². Trudno o większe pomieszenie. Policja Państwowa tworzyła jednolitą służbę, w ramach której istniały m.in.: Służba Śledcza (podlegająca Wydziałowi IV Komendy Głównej PP, czyli tzw. Centrali Służby Śledczej), kompanie rezerwy PP tworzące korpus służby przygotowawczej oraz policjanci zajmujący się służbą zewnętrzną (zasadniczą pracą policyjną) i wewnętrzną (biurową), ponadto zespół cywilnych pracowników policji – i to wszystko. Policja Województwa Śląskiego nie wchodziła i nie mogła wchodzić w skład PP, pozostawała bowiem formacją autonomiczną, podlegającą władzy wojewody śląskiego. Na brak tego podporządkowania narzekał m.in. ostatni Komendant Główny PP Kordian Józef Zamorski, który uważał, że była to jedna z przyczyn złej koordynacji działań

² *Ibidem*, rozdział I, podrozdział *Początki: wrzesień 1939*.

policii we wrześniu 1939 r. Ciekawostką jest zacytowanie przez autora fragmentów *Dzienników* Zamorskiego, wskazujących na niechęć Komendanta Głównego do Żydów – niechęć, która zdaniem Grabowskiego miała być instytucjonalnym elementem *esprit* korpusu policji. Szkoda, że Grabowski nie pokusił się o zacytowanie żadnego z tych fragmentów *Dzienników*, w których Zamorski psioczy na podległych sobie policjantów, nazywając ich chamami, ludźmi bez wykształcenia i kręgosłupa – być może uznałby, że komendant oprócz antysemityzmu krzewił wśród podwładnych również brak manier i zgniliznę moralną. Znacznie prostsze wytłumaczenie, jak znana mizantropia i wyjątkowo paskudny charakter Zamorskiego (którego zapiski w *Dziennikach*, odnalezionych po wojnie przez władze komunistyczne, przysporzyły mu potem sporo problemów – generał oszkalował w nich bowiem cały przedwojenny obóz władzy), najwyraźniej nie jest brane pod uwagę przez autora.

Grabowski, posługując się danymi dotyczącymi liczby policjantów pochodzenia żydowskiego w PP, cytuje jedynie starą ankietę z 1923 r., nie sięga natomiast po nowsze dane, opracowane przez Litwińskiego w jego fundamentalnej monografii korpusu Policji Państwowej. Może dlatego, że nie do końca potwier-

dzają one następującą tezę: „Jeżeli chodzi o Żydów, to właściwie jedyna droga przyjęcia do służby i dalszego awansu wiodła przez asymilację i chrzest”³. Oczywiście, przykładem tego ma być znany neofita i karierowicz Józef Szeryński (w czasie wojny komendant Żydowskiej Służby Porządkowej w getcie warszawskim). Autor zapomina natomiast wspomnieć o jego rodzonym bracie Feliksie Szynkmanie, z powodzeniem stojącym na czele Służby Śledczej w Gdyni, czy o pracującym w Komendzie Głównej PP nadkomisarzu Marianie Berchu. Wypada też przypomnieć, że żydowskie pochodzenie miał nadinspektor dr Leon Nagler – praktycznie druga po Komendancie Głównym osoba w przedwojennej polskiej policji.

Całe wojenne przygotowania Policji Państwowej autor sprowadza do kuriozalnego rozkazu ministra Felicjana Sławoja Składkowskiego dotyczącego kontroli płotów w obojściach. O służbie granicznej, walce z dywersantami, wreszcie o mobilizacji tzw. wzmocnienia policji (i ochronie obiektów kolejowych) nie ma tam praktycznie ani słowa. Autor krótko wspomina o chaosie ewakuacji, nieudanej militaryzacji policji oraz walkach w przypadku przyłączenia się do oddziałów wojska, wreszcie o smutnym losie policjan-

³ *Ibidem*.

tów, którzy dostali się w ręce sowieckie. Jednocześnie brak jakichkolwiek informacji dotyczących internowania części policjantów polskich w Rumunii i na Węgrzech, a także o podejmowanych przez władze niemieckie działaniach zmierzających do odzyskiwania polskich policjantów, których np. z rumuńskich obozów ściągano do niemieckich oflagów, a stamtąd przymusowo przenoszono do służby w Polnische Polizei, co znakomicie opisał w swoich wspomnieniach nadkomisarz Kazimierz Mięśowicz⁴.

Autor przyjmuje w swojej pracy zasadnicze założenie, że władzom niemieckim stałe brakowało sił do opanowania i utrzymania terenu Polski, więc polscy funkcjonariusze policji mogli się cieszyć względną samodzielnością. Oczywiście – niemieckie siły policyjne ciągle domagały się wzmocnienia, nie oznacza to jednak, że były one znikome, gdyż (co trzeba pamiętać) stanowiły tylko element maszyny okupacyjnej, tworzonej także przez wojska okupacyjne, niemiecką administrację cywilną i specjalną oraz (*last but not least*) także przez niemieckich cywilów mieszkających na terytorium GG, wraz z całą rzeszą kolaborantów

⁴ K. Mięśowicz, *Moje wspomnienia – tom IV*, [w:] *Dzieje Podkarpacia*, t. VI: *Pamiętniki i wspomnienia*, red. J. Gancarski, Krosno 2002, s. 93–113.

i donosicieli. Niestety, Grabowski w żadnym punkcie swojej książki nie podaje podstawowych informacji, które mogłyby stanowić ramy dla prowadzonej przez niego narracji. Konia z rzędem temu, kto odnajdzie w pracy dokładną strukturę i liczebność niemieckich sił policyjnych w GG – w szczególności dokładny opis fluktuacji rozmaitych jednostek policyjnych, która miała miejsce po rozpoczęciu wojny ze Związkiem Sowieckim. Jeszcze większym problemem dla autora okazuje się ustalenie dokładnej struktury i liczebności sił Polnische Polizei i polskiego Kripo. Ogólna teza, że w granicach GG znalazło się około 10 tys. polskich policjantów, nie oddaje szczegółowej dyslokacji tych sił policyjnych. Mam wrażenie, że pominięcie tych informacji miało służyć budowie narracji, w której nieliczni niemieccy policjanci wcale nie muszą pilnować rozbestwionych hord polskich „granatowych”.

Autor popełnia też błędy – nie wiem, czy świadomie – ocierające się o granicę przekłamania. A to zamienia trzynaście batalionów policyjnych (każdy po mniej więcej 500 osób) stacjonujących w GG na trzynaście kompanii (każda kompania to 140–150 ludzi), wydatnie zmniejszając liczebność niemieckiej policji na okupowanych ziemiach polskich; a to w innym miejscu zapomina wspomnieć

o różnych formacjach nieetatowych przewijających się przez GG na przestrzeni pięciu lat. Wreszcie, opisując powstawanie policji „granatowej”, dopuszcza się dość ciężkiego przekłamania, twierdząc, że odtworzono ją, „zachowując przy tym jej przedwojenne struktury wewnętrzne”⁵.

Powyższa teza nie ma jakiegokolwiek racji bytu. Przede wszystkim najwyższą polską strukturą policyjną, na której istnienie pozwolił okupant, była komenda powiatowa lub komenda miasta. Przystały istnieć komendy wojewódzkie, o Komendzie Głównej nie wspominając. Innymi słowy, w przypadku polskich policjantów rozsianych po całym Generalnym Gubernatorstwie nie istniała jednolita zwierzchność (albo inaczej: z racji wplecenia w niemiecki system policyjny stał się nią teraz Wyższy Dowódca SS i Policji). Co równie ważne, na każdym praktycznie szczeblu posterunki policji „granatowej” podlegały w zakresie służby wykonawczej władzom niemieckim. Dlatego nawet istniejąca zwierzchność polska miała przede wszystkim charakter kadrowy i organizacyjny. Jedyńymi namiastkami wyższych struktur byli tzw. oficerowie łącznikowi przy władzach dys-

tryktów, którzy mogli w pewien sposób kształtować niemiecką politykę kadrową w zakresie obsadzania zwłaszcza stanowisk oficerskich – niektórzy (jak pokaże przykład ppłk. Romana Prota Sztaby) wykorzystywali tę okoliczność na potrzeby działalności niepodległościowej.

Niestety, podobnych błędów faktycznych jest więcej. Można by wyliczać długo – jak np. błędy w opisie służby Józefa Wraubka, dokładnie określonej w jego pamiętniku, który autor cytuje w tym samym akapicie. Co ciekawe, w bibliografii pracy Grabowski określa wspomnienia Wraubka tytułem *Na Podhalu*, wskazując je jako maszynopis niedatowany z własnych zbiorów. Cóż, tytuł *Na Podhalu (od grudnia 1939 do lutego 1942)* nosi tylko jeden z rozdziałów wspomnień, figurujących pod zbiorczym tytułem *Moje wspomnienia* w zasobie Biblioteki Zakładu Narodowego im. Ossolińskich (sygn. 14059/II). Autor, korzystając zapewne jedynie z fragmentu wspomnień otrzymanego od zaprzyjaźnionego badacza, nie zadbał o ustalenie faktów związanych z życiorysem czy służbą Wraubka, a przytoczonych w innych rozdziałach jego memuarów.

Błędy piętrzą się dalej, jak chociażby: przypisanie Wojciecha Stano (od 1929 r. pełniącego służbę w okręgu kieleckim) do krakowskiej Służby Śled-

⁵ J. Grabowski, rozdział I, podrozdział: *Powstanie policji granatowej, czyli Polnische Polizei des Generalgouvernements*, [w:] *idem, Na posterunku...*



Katarzyna Koziol i jej siostra Józefa Chłoń podają poczęstunek granatowym policjantom, Orlinów 1942/1943. Autorem zdjęcia jest Stanisław Chłoń

Źródło: Archiwum Renaty Guzery

czej, nieumiejętne ustalenie liczebności zarówno przedwojennej Służby Śledczej w Krakowie, jak i wojennego składu krakowskiej Dyrekcji Policji (mimo źródeł zachowanych w Archiwum Narodowym w Krakowie), błędne określenie ppłk. Romana Sztaby jako stojącego na czele policji w Krakowie (Sztaba był oficerem łącznikowym Polnische Polizei, funkcję komendanta miasta sprawował zaś mjr Franciszek Erhardt) czy też użycie, typowej dla internetowych opisów z Narodowego Archiwum Cyfrowego, nazwy „Centralna Służba Śledcza” (zamiast: Centrala Służby Śledczej). Gorzej, kiedy autor, korzystając np. z „Listy oficerów i szeregowych Policji Polskiej wysługujących się okupantowi niemieckiemu na terenie GG lub pozostających na jego

usługach” dla dystryktu krakowskiego, nie tylko nie wie, że do jej powstania przysłużyli się wywiadowcy sami będący policjantami, lecz także nie próbuje odnieść danych liczbowych zawartych w tej liście do ogólnej liczby policjantów w dystrykcie. Dla porównania – lista zawiera 213 nazwisk, a w dystrykcie krakowskim służyło ok. 3 tys. policjantów. Bez takich odniesień łatwo jest budować narrację, w której niemalże wszyscy policjanci „granatowi” są mordercami uwikłanymi w niemieckie zbrodnie.

Grabowski pisze: „Niektóre zdjęcia, tak jak to zamieszczone na sąsiedniej stronie, wymagają komentarza i pogłębionej refleksji. Za stołem widać czterech mężczyzn w mundurach. Po bokach stoją dwie schludnie, można powiedzieć – od-

świetnie ubrane kobiety, które podają mężczyznom jedzenie i picie. Trzech mężczyzn siedzi, a jeden stoi i – z wyraznym szacunkiem – unosi kieliszek, zwracając się w stronę jednego z siedzących, który lekko, jakby pobłaźliwie się uśmiecha. Uśmiechający się mężczyzna siedzi wygodnie odchyłony, z nogą założoną na nogę i pali cygaro. Jest on bez wątplenia postacią centralną. Być może są to jego urodziny albo imieniny, być może okazją do biesiady jest jego awans. Tego nie wiemy. Widać jednak, że podczas gdy jego towarzysze mają na sobie ciemnogatowe mundury polskiej policji, on nosi jaśniejszy mundur niemieckiej żandarmerii. Ot, ilustracja zależności służbowej Polaków i Niemców służących na jednym posterunku, a przy okazji odbicie »wtopienia się« polskich policjantów w lokalną społeczność. Niedatowane zdjęcie, z którego tchną spokój i harmonia, wykonano przypuszczalnie w 1942 lub 1943 roku w Otfinowie pod Tarnowem⁶.

Wypada się zgodzić z autorem, że niektóre zdjęcia wymagają komentarza i pogłębionej refleksji, w szczególności jeśli chce się nimi zilustrować pewną tezę. Gorzej, jeśli nie ma się pojęcia, co przedstawiają. Wbrew twierdzeniom Grabowskiego na zdjęciu nie ma ani jednego nie-

mieckiego żandarma, wszyscy mężczyźni są bowiem funkcjonariuszami *Polnische Polizei*. Rzeczywiście, mundur jednego z nich wydaje się nieco jaśniejszy, może to jednak wynikać z padającego inaczej światła lub materiału wykorzystanego do jego uszycia. Nie jest to natomiast z całą pewnością mundur niemieckiej żandarmerii, lecz regulaminowy mundur policji „granatowej”. Oczywiście znaleźć można i takie zdjęcia, na których widać kurtuazyjne czy wręcz służalcze gesty polskich policjantów w stosunku do swoich niemieckich nadzorców. Jednak publikacja tej konkretnej fotografii wraz z kategorycznie brzmiącym opisem pokazują, jak nonszalancko autor podchodzi do wyboru źródeł. Czytelnik zastanawia się w takich chwilach, czy książka, z którą się zapoznaje, jest rzeczywiście rzetelną pracą naukową, czy też publicystyką przygotowaną pod tezę.

Mit polskiej samodzielności

Próbując wykazać rzekomą polską niezależność w Generalnym Gubernatorstwie (umożliwiającą dobrowolne współsprawstwo zbrodni), autor jednocześnie wielokrotnie wskazuje na bezpośrednie ingerencje Niemców w zasady pełnienia służby policyjnej, wymierzanie kar dyscyplinarnych czy wizytacje i szkolenia prowadzone przez władze okupacyjne.

⁶ *Ibidem*, podrozdział *Nadzór niemiecki*.

Ta niespójność narracji Grabowskiego pogłębia się w miarę rozwoju opisu wypadków.

Wreszcie, odnosząc się do „okrytego niesławą 202. Batalionu Ochronnego”⁷, autor zapomniał dodać, że już wczesną wiosną 1943 r. tenże batalion, wysłany na Białoruś, został przez Niemców rozbrojony, gdyż część jego kadry planowała ucieczkę do partyzantów. Przeformowany i wysłany na Wołyń, latem 1943 r. wziął udział w obronie ludności polskiej w czasie rzezi wołyńskiej. Później zaś spora część jego funkcjonariuszy zdezerterowała i zasiłała szeregi 27. Dywizji Piechoty AK.

Analizując poszczególne przypadki udziału policjantów w machinie stopniowego osaczenia i zniewalania ludności żydowskiej (lata 1939–1941), autor wskazuje, jak wiele spraw z zakresu prawa administracyjnego (np. uchylanie się od noszenia opasek z gwiazdą Dawida) było odnotowywanych przez policję złożoną z Polaków. Oczywiście, to poważny zarzut. Niemniej – w żadnej części książki Grabowski nie wskazuje, jaka była realna skala zjawiska w stosunku do spraw, które trafiły do policyjnych akt. Dopiero przez porównanie tych dwóch liczb

byłaby możliwa ocena skali zaangażowania policjantów w niemiecki system okupacyjny. Ponadto nie wiemy, w jak wielu przypadkach policjanci nie mogli reagować inaczej – znajdowali się w tłumie ludzi, co do których nie byli pewni, że nie doniosą na nich, względnie w pobliżu znajdował się niemiecki żandarm itd. Oczywiście konformizm i strach to kiepskie wytłumaczenie. Jednak żądanie od każdego absolutnego heroizmu jest równie absurdalne.

Podobnie rzecz się ma z opisem gett otwartych, takich jak w Opocznie. Zdaniem autora „niewidoczny, ale bardzo skuteczny pierścień nadzoru”⁸, który tworzyły posterunki Polnische Polizei, znacznie utrudniał lub uniemożliwiał Żydom ucieczkę i ukrycie się po tzw. aryjskiej stronie. Niestety, Grabowski nie rozstrzyga takich kwestii jak ta, do kąd mieliby uciekać Żydzi (by się ukryć, zapewniając jednocześnie zaspokojenie wszystkich potrzeb niezbędnych do przeżycia), ani też czy siły policji w Opocznie (nie podano bowiem ich liczebności) były w stanie realnie kontrolować ruch między dzielnicą żydowską i tzw. aryjską częścią miasta. Jednocześnie sam autor podkreśla, że obok posterunku policji „grana-

⁷ *Ibidem*, podrozdział *Szkolenie i rekrutacja*.

⁸ *Ibidem*, rozdział II, podrozdział *Nadzór policyjny w mniejszych ośrodkach: Opoczno*.

tovej” w Opocznie znajdował się dziecięcioosobowy posterunek niemieckiej żandarmerii. Na ile zatem prawdziwa jest teza o braku nadzoru? Czytelnik winien sam odpowiedzieć sobie na to pytanie.

Analogiczny zabieg stosuje autor, pisząc o obozie w Mordach na Mazowszu. Według Grabowskiego, szkoleniem wartowników tego obiektu miała się zajmować Polnische Polizei, a rekrutować się oni mieli spośród ochotników do tej formacji, których kierowano do pilnowania obozu z ludnością żydowską. Podobna miała być sytuacja ochotników do policji, którzy trafili w szeregi 202. Batalionu Ochronnego (notabene, nienależącego nigdy do tzw. polskich formacji policyjnych i niewchodzącego w skład Polskiej Policji w Generalnym Gubernatorstwie). Jednak również tutaj czai się błąd, którego nie wykryje osoba niezajmująca się dziejami formacji policyjnych – zarówno decyzja o utworzeniu batalionu, jak i sposób przekazywania kandydatów do służby w nim nie leżały w gestii polskich władz policyjnych, które postawiono przed faktem dokonanym – najpierw żądając ochotników, a potem zmuszając do transferu ludzi (zarówno ochotników do służby, jak i kadry). Fakt, że wyszkoleniem w tym batalionie zajmowali się polscy policjanci, o niczym nie świadczy, zostali oni bowiem delegowani na życzenie

niemieckich władz policyjnych, którym polskie kadry dowódcze nie mogły się przeciwstawić.

Właściwie we wszystkich opisach możemy się spotkać z informacjami o niemieckim udziale lub współudziale w zbrodniach, jak chociażby w opisie zbrodni posterunkowego Matusiaka z Łochowa. Oczywiście konformizm, jak już wspominałem, nie może być żadnym usprawiedliwieniem dla morderców. Powstaje jednak zasadnicze pytanie: czy mamy do czynienia z dobrowolnym i ochotniczym sprawstwem w ramach niezależnej formacji – jak chce tego autor – czy raczej z jednostkami sprowadzonymi do roli katów w ramach służby zależnej od okupanta, poddanej ostremu nadzorowi i nieustannej kontroli? Ponadto – jaka była realna skala zjawiska w stosunku do liczby policjantów? Na to pytanie nigdzie w pracy Grabowskiego nie znajdziemy odpowiedzi. Jeśli np. źródłem dającym obraz skali zbrodni ma być ilość zużytej amunicji, to powstaje oczywiste pytanie o skuteczność prowadzonego ognia – nie każdy wystrzelony pocisk zabija, ponadto (co sam autor przyznaje) policjanci dopuszczali się różnych drobnych oszustw ze użytą amunicją, chcąc pozyskać dodatkowe naboje na handel lub do polowania.

Szkoda, że autor pominął te kwestie, które wydają się sprzeczne z jego teza-

mi. Cytując pamiętniki krakowskiego policjanta Franciszka Banasia (którego nie sposób nie przywołać z racji przyznania mu tytułu Sprawiedliwy wśród Narodów Świata), Grabowski pomija cały opisany przez niego wątek skierowania kilku przedwojennych policjantów na posterunki do getta przez mjr. Ludwika Drożańskiego – przedwojennego komendanta miasta, a w czasie wojny zastępcę dowódcy krakowskiej policji mjr. Franciszka Erhardta (wspomina jednocześnie o aresztowaniu obu oficerów, podając, za Banasiem, błędną datę, którą można zwerfikować dość łatwo na podstawie dostępnych źródeł). Co więcej, w przypadku opisów niesienia pomocy Żydom przez policjantów w Krakowie ogranicza się do „dzielnego wiedeńczyka” Oswalda Bousko – wachmistrza niemieckiej policji. Zapomina natomiast o wspomnianym przez Banasia Wojciechu Ficku, którego razem z Banasiem skierował do getta mjr Drożański, a który zapłacił życiem za swoje zaangażowanie w ratowanie Żydów.

Być może brak wzmianki na ten temat wynika stąd, że nazwisko Ficka widnieje na obelisku poświęconym pomordowanym policjantom polskim – żołnierzom Podziemia, znajdującym się na terenie KL Płaszów, gdzie część z nich zabito. O tym upamiętnieniu autor

pisze następująco: „Wróćmy do pomnika bohaterskich granatowych policjantów. Obelisk można było ustawić przed komendą policji w Krakowie. Można go było ustawić przed którymkolwiek z ponad stu dwudziestu krakowskich kościołów. Ustawiono go jednak na terenie obozu koncentracyjnego w Płaszowie, miejscu, gdzie niektórzy z uhonorowanych policjantów zostali przez Niemców rozstrzelani. Miejscu, które – jak dotąd – było utożsamiane przede wszystkim (jeżeli nie wyłącznie) z męczeństwem ofiar Zagłady, z dziesięcioma tysiącami Żydów, którzy w płaszowskim obozie ponieśli śmierć. Umieszczenie tam pomnika to gest symboliczny, który w równej mierze oddaje hołd zabitym policjantom, co »rewindykuje« teren obozu na potrzeby polskiej martyrologii”⁹. Najwidoczniej coś tak elementarnego, jak uczczenie symbolicznym nagrobkiem ludzi, których kości nie mają swojego miejsca pochówku i których bliscy nie mogą odwiedzać na cmentarzu, w przypadku ofiar innych niż żydowskie nie mieści się w jego światopoglądzie.

Niestety, ten passus dobrze oddaje charakter całej książki, w której im gorszą są zarzuty wobec policjantów, tym w opinii autora prawdziwsze. Towarzyszą temu przekłamania. Na przykład mjr Franciszek

⁹ *Ibidem*, *Zakończenie*, podrozdział *Pamięć*.

Przymusiński to u Grabowskiego tylko karierowicz, były pruski oficer, wysługujący się Niemcom. Nie ma ani słowa o jego zeznaniach złożonych w czasie Powstania Warszawskiego przed wywiadem AK (w których informował m.in. o swojej współpracy z Państwowym Korpusem Bezpieczeństwa), ani też o współpracy z wywiadem ZWZ/AK. Podpułkownik Marian Kozielski został z kolei przedstawiony jako mierny i żądny awansów – autor nie wspomina o tym, że to on wydatnie pomógł swojemu bratu, Janowi Karskiemu (właśc. Janowi Kozielskiemu), w sporządzeniu słynnego raportu o sytuacji w okupowanej Polsce (co widać zwłaszcza w pierwszej wersji tego dokumentu), ani że od samego początku okupacji tworzył struktury konspiracyjne w policji (ujęte w tej wersji raportu jako „Firma Asekuracyjna POL”).

Pomieszczenie katów i ofiar

W swojej pracy Grabowski podaje wiele przykładów zbrodni popełnionych przez polskich policjantów na terenie całego Generalnego Gubernatorstwa. Niewątpliwych i prawdziwych. Jednakże zarówno kontekst historyczny, jak i skala tych zbrodni zostają przez niego rozmyte lub wręcz zaciemnione. Nie chodzi tutaj bynajmniej o relatywizowanie zbrodni – morderstwa zawsze pozostaną

czynami ohydny, zasługującymi na potępienie. Jednak stawiając tezę, że co do zasady korpus policji był dobrowolnym i chętnym współnikiem Zagłady, winno się ją udowodnić, także w ujęciu statystycznym – nic takiego w tej pracy nie znajdziemy. W zamian za to jesteśmy zmuszeni, by zaakceptować wyjątkowość jednych tylko ofiar i jednego zagrożenia. Wedle słów autora: „Czy można sugerować, że losy Polaków i Żydów pod okupacją były podobne, że zagrożenia, którym musiały stawić czoła oba narody, były porównywalne? Mam nadzieję, że czytelnicy tej książki zgodzą się, że tego rodzaju porównania są z gruntu nieuprawnione. Postawienie morderców i ich żydowskich ofiar na jednej szali jest formą fałszowania historii Zagłady, którą badacze Holokautu nazywają »równoważeniem winy za Zagładę« (ang. *Holocaust equivalence*)”¹⁰.

W ten oto sposób Polacy, naród tak ciężko doświadczony w czasie wojny, zostają przez Jana Grabowskiego ustawieni w jednym szeregu z mordercami spod znaku swastyki.

¹⁰ *Ibidem*.



Michał Chlipała (ur. 1981) – prawnik i historyk, pracownik Katedry Historii Medycyny Collegium Medicum Uniwersytetu Jagiellońskiego. Autor książki: (z Krzysztofem Musielakiem i Jackiem Walaszczykiem) *Kompanie rezerwy Policji Państwowej* (2018) i in.

PRENUMERATA

gwarancją regularnego otrzymywania „Biuletynu IPN”

Polecenie przelewu / Wpłata gotówkowa

INSTYTUT PAMIĘCI NARODOWEJ
WOŁOSKA 7 02-6 75 WARSZAWA

7 1 1 0 1 0 1 0 1 0 0 0 9 2 9 2 2 2 3 1 0 0 0 0 0 0

PLN 36 WP

PRENUMERATA BIULETYNU IPN
OD NR. 6 / 2020 DO NR. 12 / 2020

odcinek dla instytucji przyjmującej zlecenie

PRZY PRZELEWIE - SWÓJ NUMER KONTA PRZY WPŁACIE GOTÓWKĄ - KWOTA SŁOWNIE

DANE OSOBY, DLA KTÓREJ ZAMAWIANA JEST PRENUMERATA: IMIĘ NAZWISKO DOKŁADNY ADRES

Polecenie przelewu / Wpłata gotówkowa

INSTYTUT PAMIĘCI NARODOWEJ
WOŁOSKA 7 02-6 75 WARSZAWA

7 1 1 0 1 0 1 0 1 0 0 0 9 2 9 2 2 2 3 1 0 0 0 0 0 0

PLN 36 WP

PRENUMERATA BIULETYNU IPN
OD NR. 6 / 2020 DO NR. 12 / 2020

odcinek dla zleceńodawcy

PRZY PRZELEWIE - SWÓJ NUMER KONTA PRZY WPŁACIE GOTÓWKĄ - KWOTA SŁOWNIE

DANE OSOBY, DLA KTÓREJ ZAMAWIANA JEST PRENUMERATA: IMIĘ NAZWISKO DOKŁADNY ADRES

Zamów „Biuletyn IPN” bezpośrednio do domu!



**W PRENUMERACIE TANIEJ
I BEZ DOLICZANIA
KOSZTÓW PRZESYŁKI**

Koszt prenumeraty

od nr. 6 (2020) do nr. 12 (2020) wynosi **36 zł.**

Otrzymają Państwo 6 kolejnych numerów (w tym pięć po 160 stron i jeden o objętości 200 stron).

Do każdego numeru dodajemy płytę DVD z filmem lub muzyką. Do numeru wakacyjnego dodamy też broszurę *Czerwony marsz na Zachód. 1918-1919* (s. 56).

Zamówienie prenumeraty można składać za pomocą blankietu płatniczego zamieszczonego na poprzedniej stronie.

Prosimy o przesłanie informacji o wpłacie

- mailem pod adresem: prenumerata@ipn.gov.pl

- lub pocztą: Instytut Pamięi Narodowej – Księgarnia IPN, ul. Wołoska 7, 02-675 Warszawa

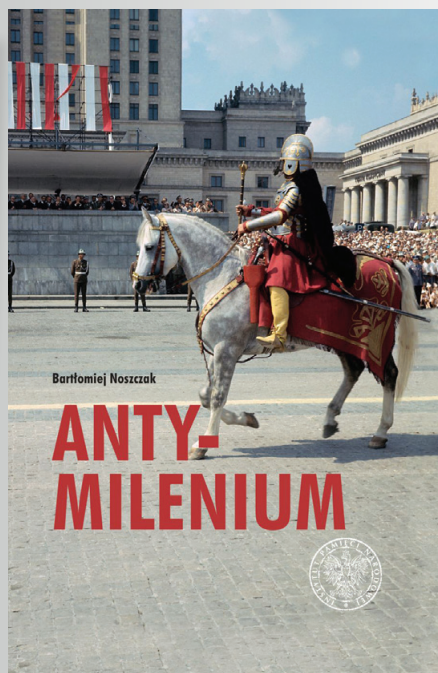
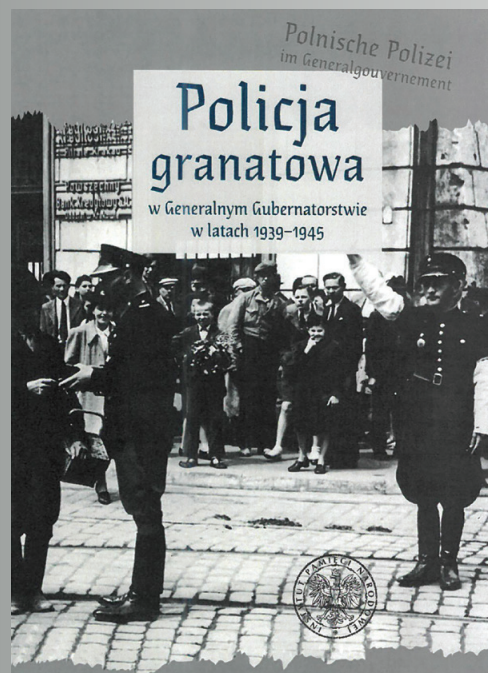
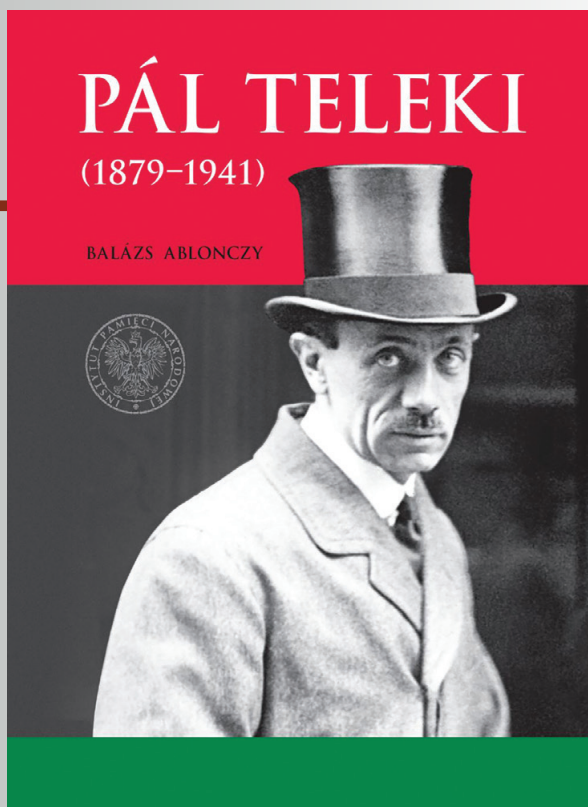
Pod te adresy można też przysyłać zamówienia z prośbą o podanie możliwych form płatności.

Wszelkie informacje, w tym także o prenumeracie zagranicznej,

pod numerami: (22) 581-86-78, (22) 581-86-79.

Informacje związane z ochroną danych osobowych: <https://ipn.gov.pl/pl/o-ipn/ochrona-danych-osobowyc>

Nowości IPN





Prymas Polski kard. Stefan Wyszyński podczas uroczystości milenijnych na Jasnej Górze, 1966 r. Fot. NAC

W NASTĘPNYCH NUMERACH:

Znaczenie kard. Stefana Wyszyńskiego dla Kościoła powszechnego

Jak Prymas Tysiąclecia przeprowadził naród przez Morze Czerwone

Związki ks. Stefana Wyszyńskiego z Armią Krajową

Porozumienie w 1950 roku. Non possumus. Trzyletnie internowanie

Jasnogórskie Śluby Narodu Polskiego i Wielka Nowenna

Troska o Kościół na Ziemiach Zachodnich

Tajna służba dla milczącego Kościoła na Wschodzie

Dokumenty sowieckiej bezpieki o Prymasie Polski

„Rodzina Bogiem silna” – ruch Rodzina Rodzin

Przywódcą Kościoła w Polsce

Dwa zwycięstwa nad komunizmem (1920 i 1980)

